

MARIA KRUGER

GODZINA PAŚSOWEJ RÓŻY

Księgarnia internetowa: www.siedmiorog.com.pl
Wrocław 1999

Oto Anda. Kilka miesięcy temu skończyła czternaście lat. Spotykamy ją, kiedy razem z Teresą wraca ze szkoły. Teresa to koleżanka. Po drodze zatrzymują się przed wystawą.

W grubej, lśniącej tafli sklepowej witryny jak w lustrze odbijają się ich sylwetki — ta wyższa z ciemnymi włosami to właśnie Anda. Ta niższa jasnowłosa to Teresa. Zatrzymały się przed wystawą, aby obejrzeć rękawiczki.

— Które chciałabyś mieć? — pyta Teresa. I nie czekając na odpowiedź dodaje szybko: — Mnie się podobają te różowe. A do tego niebieska suknia.

— No wiesz! — Anda wzrusza ramionami. Jest to coś pośredniego między pogardą a politowaniem. — Niebieska suknia i różowe rękawiczki! Ohyda, moja droga! Cukierkowa ohyda. Ja bym chciała mieć czarną suknię — rozumiesz?

Diabelnie obcisła, plecy gołe...

— Gołe, chude i nie domyte...

Anda pomija uwagę milczeniem i ciągnie dalej w rozmarzeniu:

— Czarna suknia, czerwone pantofle i czerwone rękawiczki. A te twoje różowe rękawiczki, moja droga, mogłabyś mieć jedynie do popielatej sukienki. Jeśli w ogóle może być mowa o jakiejś przyzwoitej sukience dla takiego ślimaka jak ty.

Teresa, nie urażona, mruczy pogodnie:

— Są tacy, którzy uważają, że jestem zupełnie niebrzydka.

— Czy masz na myśli tego niedorozwiniętego umysłowo nieboraka z dziesiątej klasy?

— Którego? Nie wiem o kim mówisz — broni się Teresa.

— A tego, który tak ślicznie sepleni. Nie przypominasz sobie? Dziwne. A przecież biłaś mu brawo jak szalona, kiedy na przedstawieniu szkolnym deklamowała z ogromnym uczuciem:

"Zapatsony, ze samymi zęsami zmiotłbym śnieg z twojej ścieski, chwytam w zachwyt nich twój —

Wszyscy wiedzieli doskonale dla kogo przeznaczona jest ta uczuciowa recytacja.

— No to co? — Teresa zaczerwieniła się.

— A to że on cię ponad życie, strasznie uwielbia. Ale nie martw się. Podobno takie seplenienie można uleczyć.

— Łesz. On wcale me sepleni.

— Aha. Złapałam cię! Więc przyznajesz się do tego romansu!

— Odczep się! Powiedz lepiej, jak ty mizdrzysz się do tego rudzielca Karola. Jak to na mistrzostwach juniorów klaskałaś jak szalona i krzyczałaś: Karol! Karol!

-Miał dobre wyniki _ powiedziała z godnością Anda - klaskałam więc przez uprzejmość. Nie z innych względów. A ty, Teresa, jeśli będziesz takie różne rzeczy we mnie wmawiać to zerwę z tobą. Rozumiesz?

-Nic me rozumiem. Powiedz lepiej, co jest zadane na jutro z algebry. Ale ten nasz cudny Cuduś wlepił ci dziś niezgorszą dwójeczkę.

Anda posępnije. Ze też Teresa musiała jej akurat teraz przypomnieć o tej dwójce. Teraz, kiedy Ciesząc się wczesnym wiosennym popołudniem zapomniała na chwilę o tej historii. A swoją drogą Cuduś naprawdę po prostu uwziął się.

- No powiedz tylko, Teresa to ma jakiś cień sensu; żeby jedną uczennicę pytać dzień po dniu, podczas kiedy na liście jest czterdzieści nazwisk? Przecież to jest właściwie ze szkodą dla innych. Wszyscy powinni być kolejno pytani, nie?

~ Dlaczego on na przykład nie pyta Urszulkę, co?

Pewnie dlatego, że Urszula jest prymuską i że zawsze wszystko ^lepiej umie. Swoją drogą to jest piekielnie zdolna dziewczyna.

Urszula to geniusz matematyczny. Zobaczysz, z niej jeszcze bę-11 ruga Skłodowska-Curie. Mówię ci.

Ale ja nie jestem geniuszem — stwierdziła skromnie Anda. Oczywiście, że nie jesteś geniuszem, moja droga — przytaknęła iikowo zgodnie Teresa. —A Cuduś być może pragnie, abyś została niuszem. Słuchaj, a może on się w tobie kocha, co?!

- Idź, nie wygłupiaj się. No wiesz, zupełnie zepsułaś mi humor. v ty się orientujesz, jakie to może mieć konsekwencje?

- E, chyba na drugi rok cię nie zostawią?

- Daj spokój, co ty pleciesz?! — Anda w przerażeniu szuka nie malowanego drewna, żeby odpukać. Lepiej to zrobić dla wszelkiej pewno-

\ nuż głupie powiedzonko Teresy sprawdzi się? W szkole wszystko UOŻe się człowiekowi przydarzyć. I Anda puka w drewniane obramowanie witryny wystawowej. —Nie gadaj, Teresa, takich głupstw. Już i tak ć nieszczęścia. I tak już dosyć będę miała kłopotów z tą dwójką. Czy icsz, że przez to może się zawalić cała moja kariera sportowa?

- Eee, gadasz!

- Gadam? Gadam? No to musisz wiedzieć, że jeśli ojciec dowie się tej dwójki, to na pewno zabroni mi chodzenia na basen. To już trzecia

i ka w tym miesiącu. I za co? Pytam się, za co? Czy człowiek, który ipzedniego dnia odpowiadał, może przeczuć, że będzie wbrew wszel-

— Spróbuję — obiecuje ojciec. Trzaśnięcie drzwi i już go ma. Tak, od tej strony to wygląda nie najgorzej — myśli wobec tego Anda

— tylko żeby jeszcze jakoś udało się z mamą. Albo żeby miała okropnie dużo pacjentów, albo żeby miała mało i poszła, na przykład, z ojcem do kina. Powinni chodzić do kina. Ciężko pracują i należy im się rozrywka. A przez ten czas można by zupełnie niepostrzeżenie wyskoczyć na jedną małą, malusieńką chwileczkę. Oczywiście, że z lekcjami jakoś się załatwi. Nie ma mowy o nieodrobieniu. Broń Boże! Na pewno wszystko się da pogodzić. Tylko starsi tak zawsze przesadzają. Tymczasem słysząc głos mamy:

— Dzieci, ręce myć, do stołu!

Obiad upływa w pogodnym nastroju, uświetniony pierożkami z mięsem — popisowym daniem z repertuaru Genowefci. Pierożki są — jak zwykły mawiać Zbyszek — nieprzytomnie pyszne, ale czy można opychać się pierożkami nawet najpyszniejszymi, jeśli się ma zamiar pójść na pływalnię? Otóż to — nie można. I Anda walcząc bohatersko z podsuwaną jej przez Genowefcię gastronomiczną pokusą — stanowczo odmawia.

Odmowa wywołuje po pierwsze: zaniepokojenie mamy. — Czy nie jesteś chora, Anduś? Czemu nie masz apetytu?

Po drugie: zachwyt Zbyszka. — Hura! Proszę mi dać wszystkie pierożki, które ewentualnie zjadłaby Anda.

Po trzecie: uwagę Ewy. — Mamo, ona chce się odchudzać!

I po czwarte: rozpacz Genowefci. — A co, dziecko? Nie smakują ci dziś pierożki?

Całe szczęście, że dzwonek telefonu likwiduje to zainteresowanie osobą Andy. Teraz cała trójka: Anda, Ewa i Zbyszek rzucają się w stronę aparatu, wołając każde możliwie głośno: to do mnie, to na pewno do mnie!

I co to jednak znaczy zaprawa sportowa: Anda pierwsza dopada słuchawki.

To na pewno dzwoni Karol. Woła zalotnie: — Halo!

— To ty, córeczko? — brzmi w telefonie głos ojca. — Czy już zabierasz się do lekcji? Poproś mamę.

— Już proszę.

Tak, tera/ jest bardzo ważne, jak mama umówi się z tatkiem. Czy się gdzieś wybiorę ;| i o której.

Trzebi uważnie słuchać, co mówi mama. A mama najpierw dziwi się.

10

— Jak to, już skończyło się to posiedzenie? Aha, przerwa. No to słu-i daj, za godzinę będę wolna, tak, tak, na dziś mam zapisane tylko trzy pacjentki. No, może za godzinę i kwadrans. Zadzwoń jeszcze raz, jeśli będziesz mógł. A jeśli ja będę wcześniej wolna, to spotkamy się na mie-ście. Pa, kochanie.

Teraz mama zapala papierosa i prosi Genowefcię o filiżankę mocnej kawy. Zgodnie z codziennym rytuałem Genowefcia, która już od dwu-dziestu lat prowadzi gospodarstwo rodziny Szemiotów, czuje się w obowiązku powiedzieć mamie parę słów o tym, co ona myśli o nadmiernym piciu kawy i paleniu papierosów. Mama jak zawsze zgodnie kiwa głową, i .miecha się bezbrinnie i pyta, czy w gabinecie są czyste ręczniki i biały 1 itel. Dzwonek brzęczący w przedpokoju wskazuje, że przyszła któraś pacjentek.

— No, to już idę — mama podnosi się i odstawia pustą filiżankę. A wy, dzieci, co robicie po południu?

Biedna mama. Mimo zmęczenia i ciągłego pośpiechu usiłuje wypeł-niać swoje macierzyńskie obowiązki.

— Wychodzisz, Ewita?

I twa kiwa głową. Tak, tak, wychodzi. Umówiła się z koleżankami, \dą do teatru. A przedtem wpadną do klubu.

Zbyszek też wychodzi. Za jakieś dwadzieścia minut. Lekcje odrobił

I u zed obiadem. Więc teraz idzie do kolegi. Mama nawet nie pyta, po co

11 idzie, gdyż wiadomo, że będą budować samochód. Ze starego rowe-maszyny do szycia, maszynki do kawy, resztek motocykla i innych rupieci. Co prawda, Zbyszek ma nie skończone szesnaście lat i nie dosta-jeszcze prawa jazdy, ale tatko zapewnia, że zanim zbudują ten samo-bód, to akurat będzie już mógł dostać pozwolenie na prowadzenie wozu.

— A ty, córeczko? — mama dotyka dłonią policzka Andy. — Czy ty masz temperaturę? Nie, tętno masz dobre. Połóż się dzisiaj wcześniej

pac. Mam nadzieję, że szybko odrobisz lekcje. Nikt ci nie będzie prze-kadzać. Pa, Bimbusiu!

„Bimbusiu” — wołało się na Andę, kiedy była jeszcze zupełnie małą. i u/ mama tak ją nazywa w chwilach macierzyńskiego roztkliwienia. \uulę leż w tej chwili wzrusza ciepły ton głosu mamy. Przytula się ! i n i leżeniu i cmoka mamę w policzek. Kochana mama.

A nda przez sekundę czuje szalone wyrzuty sumienia i nawet postana-

11

_J

o pacjentów, albo żeby miała mało i poszła, na przykład, z ojcem do i. Powinni chodzić do kina. Ciężko pracują i należy im się rozrywka, rzeż ten czas można by zupełnie niepostrzeżenie wyskoczyć na jedną a, malusieńką chwileczkę. Oczywiście, że z lekcjami jakoś się zała-Nie ma mowy o nieodrobieniu. Broń Boże! Na pewno wszystko się logodzić. Tylko starsi tak zawsze przesadzają. Tymczasem słysząc głos mamy: — Dzieci, ręce myć, do stołu!

Dbiad upływa w pogodnym nastroju, uświetniony pierożkami z mię— popisowym daniem z repertuaru Genowefci.

Pierożki są — jak kł mawiać Zbyszek — nieprzytomnie pyszne, ale czy można opy-; się pierożkami nawet najpyszniejszymi, jeśli się ma zamiar pójść na valnię? Otóż to — nie można. I Anda walcząc bohatersko z podaną jej przez Genowefcię gastronomiczną pokusą — stanowczo od-/ia.

3dmowa wywołuje po pierwsze: zaniepokojenie mamy. — Czy nie ś chora, Anduś? Czemu nie masz apetytu?

3o drugie: zachwyt Zbyszka. — Hura! Proszę mi dać wszystkie pie-i, które ewentualnie zjadłaby Anda.

>o trzecie: uwagę Ewy. — Mamo, ona chce się odchudzać! po czwarte: rozpacz Genowefci. — A co, dziecinko? Nie smakują ci pierożki?

Załe szczęście, że dzwonek telefonu likwiduje to zainteresowanie ą Andy. Teraz cała trójka: Anda, Ewa i Zbyszek rzucają się w stronę

atu, wołając każde możliwie głośno: to do mnie, to na pewno do

.1

CO to jednak znaczy zaprawa sportowa: Anda pierwsza dopada słu-

h" d/woni Karol. Wola załotnie: — Halo!

brzmi w telefonie głos ojca. — Czyjużzabie-

ii.iiin;

mama umówi się z tatkiem. Czy się

— Jak to, już skończyło się to posiedzenie? Aha, przerwa. No to słuchaj, za godzinę będę wolna, tak, tak, na dziś mam zapisane tylko trzy pacjentki. No, może za godzinę i kwadrans. Zadzwoń jeszcze raz, jeśli będziesz mógł. A jeśli ja będę wcześniej wolna, to spotkamy się na mieście. Pa, kochanie.

Teraz mama zapala papierosa i prosi Genowefcię o filiżankę mocnej kawy. Zgodnie z codziennym rytuałem Genowefcia, która już od dwudziestu lat prowadzi gospodarstwo rodziny Szemiotów, czuje się w obowiązku powiedzieć mamie parę słów o tym, co ona myśli o nadmiernym piciu kawy i paleniu papierosów. Mama jak zawsze zgodnie kiwa głową, uśmiecha się bezbronnie i pyta, czy w gabinecie są czyste ręczniki i biały kitel. Dzwonek brzęczący w przedpokoju wskazuje, że przyszła któraś z pacjentek.

— No, to już idę — mama podnosi się i odstawia pustą filiżankę. — A wy, dzieci, co robicie po południu?

Biedna mama. Mimo zmęczenia i ciągłego pośpiechu usiłuje wypełniać swoje macierzyńskie obowiązki.

— Wychodzisz, Ewita?

Ewa kiwa głową. Tak, tak, wychodzi. Umówiła się z koleżankami, idą do teatru. A przedtem wpadną do klubu.

Zbyszek też wychodzi. Za jakieś dwadzieścia minut. Lekcje odrobił przed obiadem. Więc teraz idzie do kolegi. Mama nawet nie pyta, po co tam idzie, gdyż wiadomo, że będą budować samochód. Ze starego roweru, maszyny do szycia, maszynki do kawy, resztek motocykla i innych rupieci. Co prawda, Zbyszek ma nie skończone szesnaście lat i nie dostanie jeszcze prawa jazdy, ale tatko zapewnia, że zanim zbudują ten samochód, to akurat będzie już mógł dostać pozwolenie na prowadzenie wozu.

— A ty, córeczko? — mama dotyka dłonią policzka Andy. — Czy ty nie masz temperatury? Nie, tętno masz dobre.

Położ się dzisiaj wcześniej spać. Mam nadzieję, że szybko odrobisz lekcje. Nikt ci nie będzie przeszkadzać. Pa, Bimbusiu!

„Bimbusiu” — wołało się na Andę, kiedy była jeszcze zupełnie małą. Teraz mama tak ją nazywa w chwilach macierzyńskiego roztkliwienia. Andę też w tej chwili wzrusza ciepły ton głosu mamy. Przytula się w milczeniu i cmoka mamę w policzek. Kochana mama.

Anda przez sekundę czuje szalone wyrzuty sumienia i nawet postana-

11

m, że będzie okropnie, wprost niebotycznie solidna, że nie pójdzie na Pływalię i zaraz, ale to zaraz usiadzie do algebry.

Ale jakże kruche bywają najszlachetniejsze nawet postanowienia. Niestety, Niestety. Silna wola jest bezcennym skarbem, nie każdy wszakże jest jej posiadaczem. Anda na przykład nie jest. Bo zaledwie mama ideszła, Anda zdążyła już zrezygnować ze swych szlachetnych jak kryształ zamiarów i szybko ułożyła zupełnie zręczny plan miłego spędzenia popołudnia na basenie. Chodzi teraz tylko o to, aby wyjść z domu natych-mast po wyjściu mamy. Mama z ojcem wrócą nie wcześniej, jak co naj-nmej kwadrans po ósmej — co oznacza pełne dwie godziny wolnego zasu! A ostatecznie, zanim mama wyjdzie, można się już przyszykować.

Trzeba sprawdzić, czy kostium wysechł. Najpraktyczniej byłoby wciągnąć go na siebie. Bo inaczej Genowefcia gotowa zauważyć, że mda wychodzi z paczką, i zaraz zacznie się gadanie.

Kostium kąpielowy wisi w łazience i na szczęście jest suchuteńki! eraz trzeba będzie przebrać się. Ale gdzie? W ich wspólnym pokoju

zaleje jeszcze Ewa. Przebiera się i zapewne wygłupia przed lustrem__

rymierza różne ciuchy i przeczesuje się sto razy. I myśli, że będzie okropnie sławna. A to wcale nie jest takie pewne, bo jest w tej rodzinie toś, kto być może będzie jeszcze bardziej sławny. Tak, tak, moja panien-o. Zanim więc Ewa się wyguzdrze, można ten czas wykorzystać na dy-lomatyczną pogawędkę z Genowefcia. To jest nieodzowne. Genowefcię ' takich wypadkach należy mieć za sobą. Oczywiście trzeba postępować miejętnie. Najlepiej zacząć jak zwykle — od bólu głowy. Wchodzi się stentacyjnie do kuchni i również ostentacyjnie bierze się szklankę mniej wody. Jest to posunięcie pewne, sprawdzone, niezawodne. Geno-efcia jest wtedy od razu zaniepokojona i skłonna do niesienia pomocy, 'ięc i tym razem pyta z żywym zainteresowaniem:

— A po co ci, Andusiu, woda? Pić ci się chce?

— E, nic. Głowa mnie trochę boli, chyba wezmę proszek.

— Masz ci los! Może to od żołądka, co?

— E, nic. To ze zmartwienia, moja droga. Mam straszny kłopot, Ge-wefciu. Taka jakaś dziś byłam zdenerwowana w szkole, że nie zdąży-m zapisać, co zadane. To może się każdemu zdarzyć. Więc gdybym nie ogła sobie przypomnieć, to chyba będę musiała pójść do koleżanki

12

i sprawdzić. Oczywiście, że wolałabym nie chodzić, ale sama Genowefcia rozumie.

Genowefcia kiwa głową, ale nie traci czujności.

— A zatelefonować nie możesz?

— Skądże! Ta koleżanka, która najlepiej zawsze ma wszystko zapisane, nie ma telefonu. Ale to niedaleko. Więc gdybym tak już ostatecznie musiała wyjść, to Genowefcia będzie wiedziała, że ja tylko tak, na chwilę.

— Ale zaraz wrócisz, co?

— Ojej, no pewnie.

Tak, Genowefcia już jest załatwiona. Teraz należy działać dalej — szybko i rozsądnie. Rozmowa w kuchni zajęła ładne parę minut. Już jest prawie wpół do szóstej. Mama być może wyjdzie przed szóstą? Ktoś trzasnął drzwiami? To na pewno Ewa poleciała już do tych swoich koleżanek i wreszcie można będzie poruszać się spokojnie.

Zabrawszy po drodze z przedpokoju teczkę z książkami, Anda wsuwa się do pokoju, który dzieli ze starszą siostrą.

Słowo: dzieli — jest dokładnym odbiciem istotnego stanu rzeczy; Ewa urządziła się po swojemu w swojej części pokoju, a Anda po swojemu. To znaczy, że na przestrzeni zajmowanej przez Ewę panuje nienaganny porządek, podczas gdy w części pokoju przeznaczonej dla Andy panuje stan, zwany potocznie bałaganem. Nie jest to jednak w tej chwili najważniejsze. Najważniejsze jest zorganizowanie wyprawy na basen. Stary, porcelanowy zegar wskazuje godzinę piątą minut trzydzieści pięć. W sam raz jest czas, aby się przygotować do wyjścia. Przedtem jednak byłoby praktycznie rozpakować książki i sprawdzić, co jest do odrobienia. Masz ci los! W teczce nie ma zeszytu do algebry! Anda jeszcze raz sprawdza, jeszcze raz gorączkowo przewraca i ogląda wszystkie zeszyty! Nie ma! Co się z nim stało? Zaraz... zaraz... Prawda! Przecież zaraz po lekcji wzięła ten zeszyt Jolanta. Nic innego, tylko zeszyt jest u Jolanty.

Oczywiście, że trzeba to natychmiast sprawdzić. Całe szczęście, że Jolanta ma telefon.

Telefon Jolanty jest, niestety, ciągle uparcie zajęty. 66-37-99 — zajęty. Jeszcze raz — 66-37-99 — zajęty. Znów zajęty! A czas mija! Co robić? Jeszcze raz — 66-37-99 — oszaleć można! Znów sygnał zajęcia. Ładna historia. Jeśli to Jolanta dorwała się do telefonu, to będzie tak gadała co najmniej godzinę.

13

Anda odwraca się gwałtownie i niechcący zaczepia rękawem o kwiatki wazonie. Wazonik przewraca się, potrącając po drodze flakonik z atramentem do wiecznych piór. Flakonik spada na kolana Andy. Niestety! Nie był dość szczelnie zakręcony i na popielatej spódniczce Andy znaczy się, wąska co prawda, ale za to atramentowa strużka. Anda zrywa się na równe nogi.

— Co to za idiotyzm ustawiać kwiatki przy telefonie. To oczywiście Ewitunia! Ustawia kwiatki w mieszkaniu, gdzie się tylko da, i przewraca oczami. A te suche badyle to na pewno przywłókł ten aktorzyzna, ten chudy Dorosz, w którym się ta idiotka podkochuje. A atrament? Kto tu postawił atrament?

Anda przypomina sobie w tej chwili, że to nikt inny, tylko ona sama postawiła tu wczoraj nie dokręcony widać porządnie flakonik. Co będzie? Cała spódnica na nic! Trzeba będzie zanieść do pralni.

Gnana rozpaczą Anda wpada do swojego pokoju i gwałtownie otwiera szafę w poszukiwaniu innej spódnicy. Może niebieską? Masz ci los! Niebieska nie jest do włożenia. To ukochana Genowefcia odpruła cały obrębek z zamiarem podłużenia spódniczki. Odpruła — ale nie podszyła na nowo.

— Oszaleć można! — jęczy Anda — cóż ja włożyć? Czarną aksamitną? Wykluczone — to wyjściowa sukienka. Ale zaraz... zaraz... Przecież można by włożyć spodnie! Nowe, cudne spodnie. Będzie to nawet świetna okazja do pokazania ich dziewczętom w klubie.

Trzeba przyznać, że spodnie uszyte są doskonale. I materiał też jest pierwszorzędny.

— Hopla — splamiona spódnica, ściągnięta przez głowę, pofrunęła na tapczan. — Szałowe portki! — stwierdza z zadowoleniem Anda przeglądając się w lustrze. I dla sprawdzenia, czy są dość wygodne, podskakuje na jednej nodze, a drugą wyrzuca wysoko w górę. Hop! I jeszcze raz hoop!

Spodnie zdają egzamin. Sanie tylko przepiękne, ale i doskonale dopasowane, są zgrabne, a przecież pozwalają na swobodę ruchów. Nigdzie nic nie uwiera i nie ciągnie się.

Śliczne są te modne nogawki. Właśnie takie, jakie Anda sobie wymarzyła. Jeszcze jeden skok, jako wyraz całkowitego uznania dla zacnego pana Rybki, którego dziełem są powyższe porcięta.

— No i co za pech!

14

W pokoju rozlega się brzęk tłuczonego szkła. Nie, nie, to nie lustro ani szyba w oknie. To tylko pantofel, który spadł z prawej nogi podczas wyrzucania jej tak zgrabnie w górę, trzasnął w wiszącą na ścianie w ramach fotografię i zbił w niej szkło.

To jest fotografia ciotki Eleonory. Właściwie nie ciotki, tylko prababki. Bo to jest cioteczna babka mamy. Zresztą Anda nie jest zupełnie pewna, jak to jest naprawdę, dość, że jest to jakaś prababka. Podobno, jak głosi rodzinna legenda, prababka była bardzo ładna i po wyjściu za mąż rozstała się z rodziną. Wyjechała gdzieś okropnie daleko. Może do Ameryki, a może do Australii? Na pamiątkę po niej została ta fotografia w staroświeckiej ramce z zielonego pluszu, z metalowymi okuciami na narożnikach. Mama i ciotka Mira, która jest najrodzeńszą siostrą utrzymuje, że Anda jest nawet trochę podobna do tej ciotecznej prababki. Ale Anda wcale tak nie uważa. Cóż za podobieństwo może być

między nią a tą damą w strojnej, powłóczystej sukni, w dziwacznym kapeluszu z kwiatami i piórami? Stary porcelanowy zegar, który stoi na szafce, to podobno jest pamiątka po tej ciotce. Ale teraz trzeba będzie jak najszybciej sprzątnąć rozsypane na podłodze kawałki szkła. Jeśli się uprzątnie, to być może nikt na razie nie zauważy, że zostało rozbite. Takie szklane okruszki można doskonale zmieścić choćby szczotką do ubrania. Potem się tę szczotkę umyje. A zamiast śmietniczki weźmie się gazetę. Ot tak. Operacja dokonuje się szybko i zgrabnie. Ale zaraz, czy nie byłoby rozsądniej usunąć z ramki pozostałe kawałki szkła? Anda zbliża się do ściany i wyciąga rękę, aby wyjąć ostre odłamki. Na staroświeckiej, spło-wiałej fotografii cioteczna babka Eleonora stoi w zadumie, wsparta o kolumnę, a w prawej ręce trzyma różę. Swoją drogą ubrana jest dziwacznie! Uczesanie w loki — okropnie dużo jest tych loków. A kapelusz? — Cudeńko. I kwiatki, i wstążka, i pióra. Suknia też jest fantastyczna, spódnica długa, z ogonem. A tam, gdzie człowiek ma pośladki, spódnica upięta jest okropnie suto. Do tego wcięty żakiecik. Też istne cudactwo! A wszystko to marszczone, podpinane, pełne kokardek i falbanek. Właściwie można by powiedzieć, że ta cioteczna babka jest niebrzydka. Tylko że...

— Ach! — Anda jęczy żałością. Oczywiście, że wyjmując szkło z ramy nie omieszkała skaleczyć się w palec.

15

Ifi

1'siakość! mruczy Anda i wysysa ranę. Całe tylko szczęście, I już wszystko zostało zgrabnie usunięte. I teraz naprawdę nikt nawet ! mważy braku szybki. Ale swoją drogą, śmieszna rzecz! Krew ze kaleczzonego palca kapnęła na fotografię i to akurat na tę różę, którą Hzyma cioteczna babka. I teraz to tak wygląda, jakby cioteczna babka Eleonora wachała żywy, pąsowy kwiat.

No tak, tak, ale czas ucieka. Na te wszystkie historie Anda straciła co najmniej piętnaście minut. — Zanim teraz ubiorę się, zanim złapię autobus, będzie już okropnie późno. Ktoś trzasnął drzwiami? To na pewno mama. A zanim dojadę na miejsce — kiedyż to będzie? Ile czasu zostanie na trening? Przecież trzeba jeszcze pobiec do zatłoczonej szatni i czekać, jyc może, w kolejce, trzeba pójść pod prysznic, trzeba potem jakoś osuszyć się. Nie sposób wracać z mokrymi włosami. Jechać taksówką? Ba, de skąd wziąć na taksówkę, kiedy ostatnie grosze lekkomyślnie zostały wydane na rurki z kremem? Andę ogarnia panika.

— Co robić?

Stary, brzuchaty zegar z porcelany wydzwania właśnie nikłym głosi-dem godzinę szóstą piętnaście.

— Co robić? Co robić? — powtarza automatycznie Anda. Naraz — lśnienie:

— Prawda! Przecież można by cofnąć zegar. To jest pomysł! Ależ ak, naturalnie! Jeśli zegar będzie cofnięty, wszystko da się zwalić na to, :e spóźnił się o godzinę. I jeśli nie jest to sposób zupełnie zabezpieczaj a-ly przed rodzinną awanturą, to w każdym razie może on osłabić pierwszy mpet.

Dziwacznie rzeźbiony kluczyk spoczywa na aksamitnej poduszce pod zklanym kloszem, pod którym stoi również i zegar.

Trzeba więc ostrożnie, ostrożnie podnieść klosz... Mama co prawda ligdy na świecie nie pozwoliłaby, aby ktoś inny prócz niej nakręcał stare;o porcelanowego brzuchacza. Ale przecież moment jest wyjątkowy, no de?

Trrrr... Trrrrrr... kluczyk obraca się z cichutkim zgrzytaniem, mistr-e, ażurowe wskazówki cofają się jakby z trudem i niechętnie. Aż nagle lechanizm porcelanowego zegara zaskrzypiał dziwacznie, Czy ktoś rzyknął?Nie, nie... nikogo przecież nie ma w pokoju. Śmieszne przywi-

16

dzenie! Ale co to? Wskazówki zegara obracają się teraz z niesłychaną szybkością w stronę przeciwną do normalnego ich biegu!...

— Zepsułam, zepsułam zegar! Co robić, co robić? Jak je zatrzymać? — Anda oczami pełnymi przerażenia śledzi oszalałe obroty, bezradna i zrozpaczona. — Czy już nigdy nie zatrzymają się?!

Ale wreszcie zatrzymały się. Przystanęły, delikatne i ażurowe, wskazując godzinę piątą minut piętnaście. Zadzwoiło cichutko i srebrzyście uderzenie pierwszego kwadransa.

— No, nareszcie! — odetchnęła Anda.

— Nareszcie! — powtórzył ktoś za jej plecami cichym i trochę znudzonym głosem. Można by powiedzieć, że brzmiało to jak wymówka.

Anda odwróciła się gwałtownie. Mama wróciła? Ale nie, w pokoju nie było nikogo. Wzruszyła więc ramionami nad własnym przywidzeniem, gdy tenże sam głos powtórzył teraz jakby w rozmarzeniu:

— Nareszcie!

— Co to jest, do licha? — podskoczyła Anda.

— Nareszcie — powtórzył jeszcze raz cichy głos, który można by zakwalifikować jako melodyjny. — To straszne przecież stać tyle czasu. A poza tym kopnęłaś mnie, moja droga!

— Ja? Kopnęłam? — oburzyła się do żywego Anda. — O, przepraszam, nikogo nie kopnęłam!

— Mnie kopnęłaś! Tym swoim okropnym butem — głos brzmiał cicho, dyskretnie, lecz stanowczo. Była też w nim domieszka urazy. — Mnie kopnęłaś, moja droga!

Anda odwróciła się teraz gwałtownie w tę stronę, skąd dobiegał głos, ale w pokoju nie było nikogo.

— Nie rób takiej niemądrej miny — zabrzmiała znów uwaga. Nie, tego było dosyć.

— Cóż to za idiotyczne żarty! — wrzasnęła zirytowana na dobre Anda, kiedy z niesłychanym zdumieniem spostrzegła, że sztywno dotychczas stojąca na fotografii cioteczna babka zmieniła pozę i że w dodatku wachluje się zabarwioną przed chwilą czerwoną różą.

— Co to za głupstwo! — krzyknęła wobec tego, przecierając oczy. — Zdaje mi się, że pani jest prababką na fotografii, i zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób może się pani poruszać i mówić.

— Możesz mi mówić ciociu Eleonoro — zaproponowała dama na

2 — Godzina pąsowej...

17

fotografii, najzupełniej nie przejmując się zdumieniem Andy, A poza tym musisz zrozumieć, że o mało co nie popsukaś mego pięknego holenderskiego zegara.

— To jest zegar mamy! — szepnęła Anda, uznając za stosowne stanąć w obronie prawa własności najbliższej swojej rodziny. Ale dama pominęła milczeniem tę uwagę i ciągnęła dalej:

— Powtarzam, że o mało co nie popsukaś mego pięknego zegara, gdy majstrując przy nim cofnąłś czas. Tak, tak, moja miła. Nie rób takiej niemądrej miny! Po prostu cofnąłś czas. Mniej więcej o sto, a może trochę więcej lat.

— O więcej niż sto lat?...

— Tak, tak, ale ostatecznie to nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest natomiast to, że cofnąłś go w godzinie pąsowej róży...

— A to co znowu za historia? W godzinie pąsowej róży? Co to znaczy pąsowej?

— To znaczy, że róża odzyskała swoją pierwotną barwę.

— Nie rozumiem, powtarzam, co to znaczy „pąsowej”. Widzę przecież, że jest po prostu ciemnoczerwona.

— Jest pąsowa! — powtórzyła z zacięciem dama.

— Śmieszne! Czemu pani upiera się nazywać kolor „pąsowym”? Ja widzę kolor czerwony.

— W moich czasach — w głosie damy brzmiało zniecierpliwienie — w moich czasach ten odcień czerwieni nazywano barwą pąsową. Cofnąłś czas wtedy, moje dziecko, kiedy róża odzyskała swoją barwę. Rozumiesz?

— Nic nie rozumiem — oświadczyła Anda — ale zdaje mi się, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, proszę pani.

— Proszę cioci — poprawiła dama, sadowiac się wygodnie w swojej zielonej pluszowej ramie — sądzisz więc, że to nie ma żadnego znaczenia? — I nie czekając na odpowiedź, roześmiała się cichutko i dziwnie, po czym dodała: — Spójrz, jak ty wyglądasz.

Anda krzyknęła ze zdumienia.

Rozdział drugi

Otaczał ją ogród pełen zaledwie rozkwitających drzew owocowych i młodej zieleni. Przed nią stała, tym razem w naturalnych rozmiarach i barwach — cioteczna babka Eleonora i z uśmiechem wachała pąsową różę.

— Co to znaczy? — spytała Anda. I jednocześnie spostrzegła ze zgrozą, że zamiast swoich pięknych, popielatych spodni, ma na sobie również długie, bo sięgające do łydki, białe perkalowe majtki z falbankami.

— Co to ma znaczyć? — powtórzyła głośniejszym głosem, bardzo już zdenerwowana. — Gdzie ja jestem? Gdzie moje spodnie?

— Drogie dziecko — cioteczna babka uśmiechała się nadal — mówiłam ci już, że przecież sama, własnoręcznie cofnąłś wskazówki starego, holenderskiego zegara, że przecież sama, własnoręcznie cofnąłś czas.

— Co to za głupstwa — jęknęła Anda — jeśli to jest sen, to jest to najbardziej wariacki sen pod słońcem! I w ogóle, co to za historia?! — wrzasnęła już porządnie zirytowana.

— Przecież ci wszystko wytłumaczyłam, moja mała — ciotka Eleonora-rozejrzała się wokoło — tylko proszę cię, nie krzycz tak głośno, gdyż mogłabyś wywołać skandal towarzyski, grożący kompromitacją całej rodziny!

— Ale dlaczego ja mam na sobie te ohydne majtki?

— Tsss — przerwała z niesmakiem cioteczna babka. — Takie słowa są niedopuszczalne w ustach młodej panienki. Zwłaszcza niedopuszczalne w epoce, do której się przeniosłaś.

19

r

o to gacie albo portki, jak pani woli!

i itraszne! —zatrzepotała powiekami Musisz pamiętać o tym, moja droga, że lal łatwo szafowałaś, są niedopuszczalne md tiesiątym. Mówiąc językiem epoki: „kalają ia Musisz odzwyczaić się od używania ich. ni i lobie, abym potrafiła zmienić mój słownik — \ poza tym ciągle jeszcze nie rozumiem tej całej dzi-111

ni i /c wyj aśniłam ci to już dosyć przystępnie — oświad-11 i dama. cc nibj ta godzina pąsowej róży czyjak tam? I ten cofnięty zegar,

(ioteczna babka skinęła potakująco głową zdobną w kapelusz, zktó-i |. > spływały strusie pióra.

A czy nie można by... — zaczęła Anda i naraz dotknęła swego boku co mnie, u licha, tak tu uwiera?

Ze zdumieniem przekonała się, że jest uwięziona w mocno zasznurowanym gorsecie. I że zamiast swojej ładnej różowej koszulki ma na sobie białą koszulę z grubego płótna, z krótkimi rękawami.

— A to heca! Rany boskie! Przecież ja mam na sobie gorset! Czy pani nie ma nożyczek albo scyzoryka, albo bodaj żyletki, żeby przeciąć te sznurowadła? Przecież ja się uduszę!

— Nie pani, nie pani, tylko ciocia Eleonora — zaprotestowała łagodnie ta wytworna istota — ale proszę cię, dla twojego dobra, moja droga, dla twojego własnego dobra zaniechaj używania wulgarnych wyrażań. Ja już zdołałam osłuchać się z nimi podczas pobytu na ścianie waszego pokoju. Ale zapewniam cię, że nikt inny z moich

współczesnych nie potrafi słuchać ich spokojnie. Są skandaliczne i szokujące. Co zaś do sznurówki, to muszę ci zwrócić uwagę, że panienki w twoim wieku powinny już dbać o figurę. Teraz jednak przede wszystkim należy się czymś okryć.

— No pewnie, bo już mi zaczyna być zimno. A jak dostanę kataru albo grypy, to mój trening diabli wezmą.

— Ach, o czym ty mówisz, moja mała? Jaki trening? — dama z fotografii była już wyraźnie zniecierpliwiona. — My, kobiety z dziewiętnastego wieku, nie znamy tego słowa. Staraj się wżyć w klimat tej epoki. Jesteś

20

przecież dosyć inteligentna na to, aby ci się to w końcu udało. A teraz okryję cię po prostu moją rotundą. Musisz przecież jakoś pojechać do domu.

— Niech będzie ta, jak się tam nazywa, rotunda — zgodziła się Anda. — Grunt, żeby mi było ciepło. Ale gdzie my jesteśmy, proszę pani, to znaczy, ciociu Eleonoro?

— Jak to gdzie? Jesteśmy tam, gdzie byliśmy przed chwilą. No co, ciepło ci teraz? — spytała zdejmując z siebie popielatą pelerynę ze stojącym futrzanym kołnierzem i narzucając ją na ramiona Andy.

— Więc to się nazywa rotunda? — zdziwiła się Anda. — Myślałam, że rotunda to jest zupełnie co innego. Ale mniejsza o to.

Rotunda była rozkosznie ciepła i lekka, woniejąca przy tym przedziwnie ni to różą, ni to jakimś innym, niezwykle delikatnym, ale zarazem odurzającym zapachem.

— Więc gdzie my właściwie jesteśmy, ciociu Eleonoro, bo jakoś nie zrozumiałam?

— Przecież powiedziałam ci, moje dziecko, że jesteśmy tam, gdzie byliśmy przed chwilą.

— Nie rozumiem.

— No, pomyśl! Gdzie byłaś przed chwilą? No, w tym momencie, gdy zaczęłyśmy rozmowę?

— Jak to gdzie byłam? W swoim pokoju. Na Rakowieckiej!

— No więc właśnie. Stoimy dokładnie w tym samym miejscu. Cofając czas w godzinie pąsowej róży, cofnął się do okresu, kiedy w tym miejscu na Rakowcu, zamiast czteropiętrowej kamienicy oznaczonej numerem piątym, była jeszcze urocza wioska i prześliczne, jak sama widzisz, ogrody.

— Kiedy przecież my nie mieszkamy w ogrodzie. To jakiś kawał. My, proszę pani, mamy nakaz kwaterunkowy na nasze mieszkanie! Nam się to mieszkanie należy! I metraż wcale nie jest za duży! Mama jest lekarzem i musi przyjmować pacjentów. A zresztą ja już nie chcę tu być. I chcę być w naszym mieszkaniu!

— Uspokój się, kochanie! — Ciotka Eleonora położyła na ramieniu Andy piękną i starannie utrzymaną dłoń, ozdobioną pierścionkami. — Uspokój się, dziecko. Zaraz pojedziemy do domu.

— Tylko aby jak najprędzej. A zresztą, i tak już wszystko jedno. Całe popołudnie zmarnowane, a w dodatku, jeśli się spóźnię, to będzie awantura. I co ja w ogóle powiem w domu?

21

— Powiesz, że byłaś ze mną. To na pewno uspokoi twoich rodzi-

— E, jak ja mogę im opowiadać takie historie. I tak mi nie uwierzą. A. mama na pewno zaraz każe zmierzyć gorączkę, bo będzie myślała, że majaczę. Daję słowo!

— Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Zresztą ja cię wytłumaczę orzed rodzicami, tylko musimy jak najszybciej pojechać do miasta.

— Właśnie, musimy jak najszybciej pojechać! — ucieszyła się Anda. — Najlepiej byłoby złapać taksówkę, bo obydwie jesteśmy tak dziwnie abrane, że wywołałoby to sensację. Może ja pobiegnę do postoju taksówek? Chyba tu jest jakiś w pobliżu? A w najgorszym wypadku musi tu kursować autobus.

Cioteczna babka nie uważała jednak za stosowne odpowiedzieć, tylko lekko klasnęła w dłonie. Na ścieżce ogrodu natychmiast ukazał się jakiś mężczyzna z siwiejącymi bokobrodami, ubrany w jasnopiaskowy surdut ze złotymi guzikami i popielatą cylinder, który zdjął, kłaniając się z szacunkiem ciotce Eleonorze.

— Słucham, jaśnie pani — powiedział.

Anda w odpowiedzi na jego ukłon skinęła, jak potrafiła najuprzejmiej głową. Żenowała ją ta dziwna sytuacja i niekompletny strój i zupełnie nie wiedziała, jak należy się zachowywać w obecności tak dostojnego jegomościa.

— Ciociu — szepnęła — kto to jest? Wygląda, jakby był aktorem. Ale ciotka Eleonora pominęła milczeniem to pytanie i zwracając się

do jegomościa w cylindrze, powiedziała:

— Mój Janie, niech powóz podjedzie tu bliżej. Muszę odwiedzić panienkę do domu.

— Słucham, jaśnie pani — uklonił się znów jegomość z cylindrem i odszedł spiesźnie, podczas kiedy ciotka Eleonora zwróciła się do Andy z lekką naganą w głosie:

— Moja droga. Aczkolwiek grzeczność dla ludzi niższego stanu jest ze wszech miar godna pochwały, to jednak nie wypada, abyś mego służącego, zresztą bardzo zacnego, pozdrawiała ukłonem tak uniżonym. Proszę cię bardzo, posłuchaj mnie uważnie: jeśli już poprzez godzinę pąsowej róży wkroczyłaś w cofnięty przez siebie czas, to zaklinam cię na wszystko, abyś zachowywała się w sposób właściwy i godny młodej, dobrze

22

wychowanej panienki. Inaczej będziesz miała masę kłopotów, zupełnie zresztą niepotrzebnych.

— Bardzo wątpię, czy uda mi się być dobrze wychowaną panienką, zwłaszcza — jak to nazywasz, ciociu — w tym cofniętym czasie...

— Ależ przecież możesz postarać się, droga Anusiu.

— Kiedy ja nie jestem Anusia, tylko Anda. Nie lubię, kiedy ktoś woła na mnie: Anusiu!

— Hm. Nie wiem, jak by ci to wytłumaczyć. Otóż w naszej epoce — mam na myśli lata osiemdziesiąte ubiegłego stulecia — to zniekształcenie twego imienia wydawać się może ekstrawaganckie i rażące. Nie sądzę, aby było dopuszczalne w świecie, w którym obracają się twoi rodzice, no i ja. Jest to imię odpowiednie raczej dla aktorki, a nie dla młodej panny z dobrego domu.

— A cóż to ma jedno do drugiego? Czy aktorka nie może być z dobrego domu?

— Nie sądzę. Aktorki, na ogół, nie są chętnie tolerowane w towarzystwie. Oczywiście istnieją wyjątki. Jakaś słynna śpiewaczka czy na przykład taka Modrzejewska to co innego. Ale radzę ci, kochanie, unikaj rozmów na te tematy. A poza tym imię Anusia brzmi naprawdę bardzo ładnie. Tak słodko i dziewczęco.

— Nie mam zamiaru być ani słodka, ani dziewczęca — zbuntowała się Anda. — A zresztą, jeśli nazywam się Anna Danuta, to nie rozumiem, dlaczego z tych dwóch imion nie można zrobić jednego, właśnie: Anda.

— Anna Danuta? — zdziwiła się cioteczna babka. — Pierwsze słyszę. O ile mi wiadomo, a byłam przy obrzędzie twego chrztu, otrzymałaś piękne imiona Anna Domicela.

— Domicela? — jęknęła zupełnie tym zgnębiona Anda — nie, to przekracza wszelkie granice! Domicela! A to ubaw!

— Nie podoba mi się to słowo — oświadczyła wyniośle ciotka Eleonora. — Jest wulgarnie i nieodpowiednie.

— No to jak mam mówić? Zawsze tak się mówi w naszej klasie. I w starszych też. Naprawdę. Ale najlepiej byłoby to wszystko odkręcić.

— Jak to odkręcić?

— No, odkręcić ten czas z powrotem. To wszystko jest nie dla mnie. Daję słowo. Cholernie trudno być taką dobrze wychowaną panną z twoich czasów.

23

I i

— Ach, znów jesteś niemożliwa! — zdenerwowała się tym razem na dobre ciotka Eleonora. Stała przez chwilę w milczeniu, przykładając do ust koronkową chusteczkę. — Nie ma rady, musisz przystosować się do epoki. W tejże chwili nadszedł ów jegomość o wyglądzie aktora, który gra dyplomata, i oświadczył z godnością:

— Powóz zajechał.

— Zupełnie jak w teatrze — zdołała zauważyć Anda, jednak ze względu na chłodny wyraz twarzy ciotki Eleonory zaniechała dalszych komentarzy. Poza tym dopiero w tej chwili zorientowała się, że nie ma na nogach pantofli. Prawda, spadły przecież wtedy, kiedy tak machała nogami. Skąd natomiast wzięły się te dziwaczne czarne, ażurowe pończochy?

— Nie wiem, czy dam radę gnać tak na bosaka po tym żwirze — zwróciła się do ciotecznej babki.

— Chciałaś zapewne powiedzieć: stapać? Ależ oczywiście, trzeba pędzić na to poradzić. Janie, proszę przynieść z powozu pled. Trzeba nanieść panienkę do pojazdu.

— Rany boskie, za nic na świecie! — zaprotestowała Anda. — A któż na mnie nieść?

— Jan.

— To już wolę iść sama, proszę ciotecznej babci. Daję słowo, bez żadnego wygłupiania!

— Ach, gdybyś ty wiedziała, jaka jesteś nudna, powtarzając ciągle ak uparcie te swoje okropne wyrażenia. Odnoszę wrażenie, że to jest akaś swoista kokieteria...

— Kiedy to nie jest żadne wyrażenie. Daję słowo! Mówię zupełnie zwyczajnie, przysięgam! Ja nawet takich najgorszych słów to nie uży-vam. Sama ciocia mogła się o tym przekonać, wisząc przez tyle lat v naszym pokoju... A czy ciocia słyszała, jak się wyraża Zbyszek?

Nie otrzymała jednak odpowiedzi, gdyż w tejże chwili nadbiegł służący, niosąc elegancki kraciasty pled.

— Janie — rozkazała ciocia Eleonora — proszę owinać nogi panien-:e i pomóc jej przejść do karety.

— Do karety? — zdumiała się Anda.

Po chwili stały już przed czarnym, lśniącem pojazdem.

— To strasznie śmieszna rzecz taka kareta. Pewnie tu będą kręcić jakiś film, co?

24

— Nie rozumiem, o co ci chodzi? Kareta czeka na nas.

— Na nas? Kareta? A ja myślałam, że pojedziemy może autem?

— Zmęczona jesteś widocznie i mówisz takie rzeczy, moje dziecko. Mylisz ciągle pojęcia z dwóch epok, moja mała.

— Nic nie myślę! Tylko myślałam, że po prostu tu kręcą film.

— Film?...

— Ojej, ciociu Eleonoro! Wiesz, co to jest film? Przecież ciągle o tym rozmawialiśmy z Ewitą.

— Ale oczywiście, już sobie przypominam. Wracałyście do domu i opowiadałyście jakieś długie historie. Odniosłam wrażenie, że są to historie, które ludzie wyobrażają sobie, a potem fotografują. No, ale wsiadamy, już późno.

— Naprawdę mam wsiadać? Ale to będzie zabawa, kiedy w domu opowiem, jak jechałam prawdziwą kareta. Nie będą chcieli uwierzyć!

Tymczasem Jan z ukłonem otworzył drzwiczki pojazdu. Cioteczna babka wsiadając zręcznie zgarnęła fałdy swej szerokiej i długiej sukni, ukazując przy tym masę jedwabnych i koronkowych falbanek.

— Masz szalową halkę, ciociu! — zawołała z uznaniem Anda.

Ale ku jej wielkiemu zdumieniu, ta entuzjastyczna uwaga nie wywołała oczekiwanego efektu. Cioteczna babka zmarszczyła lekko łuki swych cienko zarysowanych brwi, a gdy Anda znalazła się już we wnętrzu karety, szepnęła: — Elegancka dama nosi takie rzeczy, ale nie mówi się o tym głośno. Pamiętaj, moje dziecko.

Potem rozległ się trzask zamykanych drzwiczek, służący Jan wdrapał się na kozioł i usiadł obok stangreta, a ciotka Eleonora wydała polecenie:

— Jedziemy na Miodową. Kareta ruszyła.

Na Miodową? Po co na Miodową? — chciała zapytać Anda. Miały przecież jechać do domu. Ale ciotka Eleonora, wachając trzymaną w dłoni pąsową różę, oparła głowę o poduszki wyścielające pojazd i zdawała się tonąć w głębokiej zadumie, której Anda nie miała odwagi przerwać.

Rozdział trzeci

Pojazd podskakiwał na nierównej drodze. Ciągłe jeszcze jechali wśród ;rodów. Były to jakieś nie znane jej zupełnie okolice i Anda postanowiła wyjaśnić sytuację.

— Dokąd oni nas wiozą? Przecież ciągle jesteśmy na wsi.

— Oczywiście, że jesteśmy jeszcze na wsi. Przecież już ci mówiłam, jest to śliczna wieś Rakowiec. Byłaś tu trzy lata temu z rodzicami na :nisku.

Anda chciała zaproponować, ale cioteczna babka nic dopuszczała jej i głosu.

— I musisz wiedzieć, moja Anusiu, że nawet powstał projekt dopro-idzenia wąskotorowej linii kolejowej do Mokotowa. Czytałam o tym swoim czasie w „Kurierze Warszawskim”. Pomyśl tylko, do czego do-odzi postęp.

— Kolej do Mokotowa? — zdumiała się Anda — pierwszy raz sły-?•

— Właśnie, pomyśl tylko. Kolej do Mokotowa! A poza tym do samej gatki dochodzi obecnie tramwaj. O spójrz, już jesteśmy przy rogatce!

— A co to takiego dziwnego? Co to za wagonik zaprzężony w dwa nie? Czy to jakaś wycieczka? W wagoniku siedzą ludzie! Czemu są : śmiesznie ubrani?

— To właśnie jest tramwaj, moja droga, czy nigdy nie widziałas mwaju?

26

— Ale przecież tramwaj jest elektryczny, a nie zaprzężony w konie!

— Tramwaj elektryczny! Anusiu, ty ciągle mylisz pojęcia! Nie zapominaj, że cofnęłaś czas o prawie sto lat. A my wtedy jeszcze nie mieliśmy tramwajów elektrycznych, tylko konne. Postaraj wżyć siew epokę, moja droga! Jeśli już znalazłaś się w niej...

— Ale zupełnie niechcący — zdenerwowała się Anda. — Zdaje mi się, że ta piękna epoka już mi wyłazi bokiem. To ten cholerny gorset!...

Gorset ją cisnął, a w rotundzie było teraz zbyt ciepło. Najchętniej byłaby wysiadła z tego śmiesznego pojazdu, ale cóż? Ciotka Eleonora na pewno też by się na to nie zgodziła. Zaproponowała więc, że po prostu zdejmie gorset. — To mi zupełnie przedziurawiło jeden bok i uwiera mnie w żołądek! — poskarżyła się, licząc na współczucie ciotecznej babki. Ale piękna dama była nieugięta.

— Proszę nie poruszać tego tematu — oświadczyła surowo.

Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko działanie podstępem. Korzystając z obszerności rotundy oraz z mroku panującego w karecie, Anda zdołała z niezwykłym wysiłkiem rozplatać wreszcie tasiemki sznurówki, a następnie, zachowując przy tym zamyślony wyraz twarzy, uwolnić się od przedmiotu swej udręki. Zdjęty gorset zwinęła w rulon, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Tymczasem ciotka Eleonora mówiła swym melodyjnym głosem:

— Ach, nareszcie jesteśmy w mieście. Nie wychylaj się, ma cheri, z okna, aby cię kto nie dostrzegł. Co by sobie ludzie pomyśleli, widząc cię bez kapelusza. Dopiero by mówiono o tobie w całej Warszawie!

— Kiedy ja przecież nigdy nie noszę kapelusza. Nie zniósłabym czegoś podobnego na głowie!

— Moja droga, takie rzeczy są dopuszczalne w waszej szalonej epoce, ale nie w naszej. Noszenie kapelusza przez panienkę z dobrego domu jest nieodzowne, moja droga. Kapelusz to w pewnej mierze symbol przynależności do sfery. Nie sądzę więc, abyś chciała kompromitować w ten sposób rodzinę tak szanowaną jak nasza.

— Nie jestem wcale pewna — mruknęła Anda — czy cioci chodzi o ten kapelusz, czy też o to, aby mnie kto nie zobaczył. Niech się pani lepiej przyzna, czy to nie jest raczej taki mały kidnapping, co?

Ciotka Eleonora spoglądała na nią w milczeniu, z lekkim, nieco ironicznym uśmieszkiem. Przymrużone oczy połyskiwały tajemniczo.

27

\ii< i poi lla się trochę niepewnie i dla dodania sobie otuchy w tej iwacznej sytuacji dodała:

Iki wypadek zaznaczam, że Karol nauczył mnie takiego '. ego, że dobrze się zastanów, bo mogę cię załatwić od- i dama w odpowiedzi ziewnęła tylko dyskretnie i wyszep-

\i li, żebyś ty wiedziała, jaka jesteś nudna, powtarzając te swoje okr< >pnc w \ rażenia!

A i kI.i, przejęta świętym oburzeniem, otworzyła szeroko oczy i krzyk-Mi/1, i

Ja się wyrażam?! Ja?! Tyle lat wisałaś u nas na ścianie i nic lepszego nie słyszałaś?!

(liotka Eleonora wzruszyła ramionami i pokiwała w milczeniu głową. Były to gesty pełne politowania i wyrozumiałości.

— Biedne dziecko. Okropnie brzmią podobne słowa w ustach niewinnego dziewczęcia! Ale cóż, może z czasem sama zrozumiesz i nałóżysz ocenę nietakty, które tak chętnie teraz popełniasz! Ponadto chciałam ci jeszcze zwrócić uwagę na inną sprawę, bardzo ważną. Otóż obawiam się, że twoja dotychczasowa samodzielność na tle ostatnich lat dziewiętnastego stulecia będzie bardzo szokująca i że mogłabyś w ten sposób przysporzyć masę kłopotów twoim rodzicom. Chciałam cię jednocześnie uprzedzić, że... jak by to powiedzieć... no, że twoi rodzice będą prawdopodobnie troszkę odmienni niż ci z drugiej połowy wieku dwudziestego. Musisz być przygotowana na nieco inny nastrój twego rodzinnego domu.

— Jak to odmienni? Gdzie są moi rodzice? Co się z nimi dzieje? Co pani z nimi zrobiła? Pani wcale nie jest moją ciotką, pani jest jakimś diabełcem.

— Nie histeryzuj, moja mała. Co prawda dziewczęta w twoim wieku zawsze mają tę skłonność. Zastaniesz swoich rodziców żywych i zdrowych. Jeśli mówiłam o ich pewnej inności, to oczywiście będzie ona wynikiem czegoś, co nazwiemy może duchem czasu albo mówiąc językiem twoich czasów: klimatem końca epoki. Twoi rodzice będą teraz odmienni, bo żyją w odmiennych warunkach. Był określa świadomość — sama to często powtarzałaś. A jak widzisz — mam niezłą pamięć i jestem dość pojętna. Muszę cię również uprzedzić, że wszyscy będą

28

trochę inaczej wyglądać. To już oczywiście kwestia ubrania, kosmetyki, no i trybu życia. Jeśli nie chcesz swoim dobrym rodzicom przysparzać kłopotów, postaraj się przystosować do nowego otoczenia.

— Więc mam chodzić w kapeluszu, tak? I w gorsecie?

— Tak, tak, kochanie — szepnęła ciotka Eleonora.

— Nie, za nic na świecie. Błagam panią, jeśli pani jest moją cioteczną babką, to proszę — już przez jakieś sentymenty rodzinne — odwrócić tę całą sprawę.

— Odwrócić sprawę?

— Tak, ciotko Eleonoro. Gdzie jest ten zwariowany zegar? Czy nie mogłabym w jakiś sposób popchnąć naprzód jego wskazówek? Ja muszę, muszę to wszystko odkręcić. Przecież zwariuję, daję słowo!

W mroku karety zabrzmiał srebrzysty śmieszek, dziwnie przypominający dźwięk kurantów, wydzwanianych przez stary porcelanowy zegar. Biała, wypiełgnowana ręka zasunęła szybę w oknie karety.

— Przecież już wyjaśniłam ci, kochanie, że to jest niemożliwe. Igraszki z czasem nie są rzeczą powszednią. Poza tym uważam, że jesteś bardzo zmęczona przebytymi przygodami i że natychmiast po powrocie do domu powinnaś położyć się do łóżka. Wierzaj mi, że tak będzie najlepiej.

— Nie, nie — zaprzeczyła słabo Anda. Rzeczywiście jednak była bardzo zmęczona. Usiłowała zorientować się, gdzie się w tej chwili znajdują. Ale nie mogła nic dojrzeć prócz tego, że jechali jakąś wąską, bardzo źle oświetloną ulicą. Światło, padające z małych, niskich i wąskich witryn sklepowych, też nie bardzo rozjaśniało mrok tego dziwnego wieczoru. Po ulicach snuły się jakieś postacie, dziwacznie, jak się Andzie wydało, poubierane.

— Ciociu Eleonoro, gdzie my naprawdę jesteśmy? Ja chcę wiedzieć.

— Bądź spokojna, moje dziecko, za chwilę będziemy w domu. Wyglądasz na bardzo zmęczoną, czy źle się czujesz? W takim razie otworzę na chwilę okno, aby cię powietrze orzeźwiło.

— Czuję siejak najgorzej — mruknęła Anda ponuro — a okno trzeba otworzyć, bo się zaraz uduszę.

— Tylko jeszcze raz cię proszę, nie wychylaj się i nie wyglądaj na ulicę.

Przez odsuniętą szybę wionęło świeże, wiosenne powietrze. Korzystając z ciemności, można było rozchylić nieco rotundę. Poza tym —

29

I

ul o ąd

i \iui,i tworzyła się fa

tastyczna sytuacja do pozbycia się IUWagi ze strony ciotki i zwinięte tało I'I skawicznie wyrzucone za

.....I razu poprawiło humor Andy,

i i .il.i teraz bolesny ucisk w okolicy

imyślała w jakimś błysku sekundy. Ale ,u, \\ duchu sama Z siebie. Tajemnicze więzy okaza-K mi. gumowymi podwiązkami, które powodowały miała właśnie zamiar je zdjąć, aby podzieliły losy

n kiedj naraz kareta zatrzymała się, a cioteczna babka oznajmiła: Oto i jesteś już w domu, Anusiu.

W domu, nareszcie w domu! To brzmiało miło, ciepło i bezpiecznie. To obiecywało wreszcie wypoczynek i spokój.

Mamie i tatłowi wszystko jakoś chyba da się wytłumaczyć. Może nie będą się tak bardzo gniewali.

Zawinięta w rotundę i w koc, z pomocą Jana niezgrabnie wygramoliła się z karety. Stała przed bramą nie znanego jej domu. Ulica była słabo oświetlona jakimiś dziwaczными latarniami o słabych płomykach gazowych.

— Co to jest? — spytała zdumiona i zaniepokojona zarazem.

— Jest to dom, w którym mieszkają twoi rodzice, Anusiu.

— Jak to? Przecież my mieszkamy gdzie indziej. Ja, ja tu nie mieszkam...

Na bramie starej kamienicy wisiała latarnia, na której z trudem można było odczytać: nr 7, ulica Miodowa.

— Ja tu nie mieszkam — powtórzyła Anda z przerażeniem.

— Proszę cię, przestań dziwaczyć — w głosie ciotki brzmiała teraz lekka irytacja — nie rób z siebie widowiska. — I chwyciwszy Andę za rękę, pociągnęła ją za sobą.

— Dobry wieczór, jasnie pani — zabrzmiał naraz obok jakiś głos.

— Dobry wieczór, mój Stanisławie — cioteczna babka łaskawie skinęła strojną w ogromny kapelusz główką — dobry wieczór.

Anda spojrzała na pozdrawiającego, gdyż głos jego wydał się jej znajomy. Przed bramą, z czapką w ręce, stał jakiś wąsаты mężczyzna w zielonym fartuchu, wsparty na miotle.

30

Gdzie ja już go widziałam — zaczęła zastanawiać się, ale za chwilę co innego pochłoneło jej uwagę. Ciotka Eleonora, unosząc jedną ręką tren sukni, drugą ujęła Andę pod ramię i zaczęła wchodzić z nią na jakieś schody. Anda nigdy w życiu nie widziała podobnych. Były marmurowe, wyłożone czerwonym chodnikiem, a na każdym półpiętrze stała figura kobiety, trzymającej w podniesionej ręce płonący świecznik gazowy. Anda miała zamiar znów protestować, że to nie tu, że na pewno nie tu mieszkają jej rodzice, kiedy naraz zatrzymały się przed wielkimi, drewnianymi drzwiami, ozdobionymi rzeźbami.

Obejrzała się więc na ciotkę Eleonorę i powiedziała najgroźniej, jak tylko potrafiła:

— Ale jeśli się okaże, że tu nie ma moich rodziców... Ciotka w milczeniu wskazała na drzwi.

W słabym świetle gazowym połyskiwała mosiężna tabliczka. Anda nigdy nie widziała podobnej, ozdobionej takimi zakrętami. Na tabliczce było wyryte:

Adam i Wanda Szemiotowie

Tak, nie ulegało wątpliwości. To była tabliczka z nazwiskiem rodziców. Anda chciała zapytać jeszcze, gdzie jest tabliczka mamy z godzinami przyjęć, kiedy cioteczna babka pociągnęła za wiszącą przy futrynie drzwi rzeźbioną gruszkę. Rozległ się cienki i jęklivy dźwięk dzwonka. Za drzwiami odezwał się znajomy głos:

— Kto tam?

Genowefcia! Kochana Genowefcia! — ucieszyła się Anda. Nadzieja teraz wstąpiła w jej serce. Nareszcie skończy się ta cała głupia historia. Niechby już nawet i trochę pokrzykali w domu za to włóczenie się nie wiadomo gdzie, ale grunt, żeby być w domu.

Zamek u drzwi zazgrzytał jakoś ochryple i drzwi uchyliły się.

— Genowefciu! — krzyknęła radośnie Anda, ale to, co przedstawiło się jej oczom, w bardzo słabym stopniu przypominało Genowefcię. Rysy twarzy, kochany kartoflowaty nos, pulchne policzki i małe, pocziwe, bardzo niebieskie oczki miały pewne cechy podobieństwa. Ale poza tym! Rany boskie! Zamiast sztywnej trwałej ondulacji, głowę osoby, która miała być Genowefcia, zdobił jakiś dziwaczny, biały czepek; zamiast

31

cochanego, niebieskiego sweterka, ramiona dziwacznej osoby okrywa-cicmna, bura suknia. Spódnica również szara, długa do ziemi, a do tego rtuch na szelkach.

— Dobry wieczór, moja Genowefo! — łaskawie odezwała się cio-czna prababka.

— Dobry wieczór, jasnie pani! — szepnęła osoba nazwana Geno-efą, przykucając w niskim ukłonie. — Zaraz zawiadomię naszych pań-wa. Taka wizyta! Taka wizyta! — powtórzyła wzruszonym głosem.

— Co ty wyprawiasz, Genowefciu? —jęknęła Anda. I już miała za-iar pobiec za tą odmienioną Genowfcia, aby z nią porozmawiać o tych szyskich dziwnych historiach, które się działy wokoło. Tak, Genowef-a, która zawsze wszystko wiedziała, i tym razem na pewno potrafi wyśnić te niepewności.

Ale w tejże chwili poczuła na swym ramieniu mocny, można by po-iedzieć, żelazny uścisk pięknej i tak pozornie delikatnej ręki ciotki .eonory. Jednocześnie usłyszała szept:

— Oto znów jesteś w twym domu rodzinnym, lecz w czasie odmie-onym cofnięciem wskazówek zegara. Zachowując tę świadomość, poj-iesz przedziwną wartość i znaczenie czasu. Czasu, który tworzy i niszczy, dwróciłaś bieg minionych trzydziestu ośmiu tysięcy siedmuset sześć-:iesięciu dni twym jednym, lekkomyślnym ruchem. Musisz teraz umie-ić się jakoś w tym czasie, dopasować się do niego. Tak — to właśnie iciałam powiedzieć — dopasować się do niego...

Jakże to zrobić? — chciała zapytać Anda, ale zaraz usłyszała kocha-r, drogi głos ojca. Rzuciła się w tę stronę korytarza, skąd dobiegał ^wieczny baryton, ale natychmiast cofnęła się w najwyższym zdumie-u. W żółtym, pełgającym świetle wiszącej w przedpokoju lampy uka-ił się jegomość przypominający co prawda sylwetką i wzrostem ojca, e jakże inaczej ubrany! I w dodatku z brodą.

Cofnęła się więc, niepewna, co ma począć, ale ciotka Eleonora przy-zymała ją za łokieć. — Nie rób głupstw, moja mała.

Tymczasem brodaty pan szedł spieszenie poprzez zastawiony dzi-acznymi lustrami i stolikami przedpokój.

— Ach, cóż za drogi i niespodziewany gość! Witaj w naszych skroniach progach, droga kuzynko! Genowefo, proszę zapalić lampy w salo-e! Moja małżonka zaraz zjawi się, aby cię powitać.

32

— Witaj, drogi kuzynie! — ciotka Eleonora wyciągnęła na powitanie swą upierścienioną, białą dłoń, którą brodaty tatko ucałował. —Nie chcę was deranżować, drogi kuzynie! Odwiozłam Anusię, która miała dziś niemiłą przygodę...

Anda spojrzała w tej chwili z napięciem na twarz ciotki Eleonory. Wal, ciotuchna! Bo też sensacja jest nielicha!

— Otóż wasza najmłodsza pociecha wpadła dziś, podczas przejażdżki łodzią, do stawu w Łazienkach. Ach nie, nie lękajcie się! Przypuszczam, że to jej nie zaszkodziło. Oczywiście, że musiała zostawić zmoczoną suknię. Ale owinęłam

ją moją rotundą, sądzą więc, że nie zziębła. Niemniej jednak uważam za słuszne, aby przez parę dni traktować ją jako rekon-walescentkę.

No nie, ta ciotka z fotografii to już sobie za dużo pozwala! Co za bezczelne kłamstwo. Trzeba w ogóle od razu jakoś tę sprawę wyjaśnić. Wobec tego Anda zawołała możliwie wesołym tonem:

— Ależ nic mi nie jest! To tylko taka draka...

Zamilkła jednak natychmiast, zmrożona spojrzeniem ciotki Eleonory.

— Ach, nie wiem, jak ci dziękować, droga kuzynko — szepnął brodaty pan, trochę podobny do tatki.

— Doprawdy nie ma o czym mówić. Nie jest to moją zasługą, że w tym czasie zażywałam przejażdżki kareta i przypadkiem byłam świadkiem tej przygody.

— Ależ skądże Anusia tam się wzięła? — odezwał się teraz głos, co do którego nie było żadnych wątpliwości, że był głosem mamy, aczkolwiek osoba, która się odezwała, była do mamy zupełnie niepodobna. Zjawiała się obok brodatego tatki, spowita w jakąś fałdzistą a powłóczystą suknię i uczesana podobnie do ciotki Eleonory, w spadające na ramiona loki. Natychmiast też rzuciła się w ramiona ciotki Eleonory, wymieniając z nią uściski i pocałunki.

— Pozwól do salonu, droga kuzynko — zapraszał tymczasem niezupełnie jeszcze zidentyfikowany tatko.

— Nie, nie, dziękuję, spieszę się ogromnie; jak wiecie, szykuję się do podróży.

— Ale nadziwić się nie mogę, w jaki sposób nasza Anusia znalazła się dziś w łazienkach — powtórzyła głosem mamy dama w powłóczystej sukni.

! Godzi

33

Anda chciała koniecznie zaraz sprostować, że wcale nie była w łazien-ktch, ale ciotka Eleonora powstrzymała ją znaczącym ściśnięciem ra-1 iicnia, po czym powiedziała z uśmiechem i trochę, jak się zdawało \ udzie, protekcjonalnym tonem:

— Och, to nie jest w tej chwili ważne, droga Wando! Wytlumaczę wam to innym razem. Teraz nie radzę nawet wypytywać Anusi. Wypadek, któremu uległa, wstrząsnął jej nerwami. Nie jest to groźne, ale wymaga spokoju. Badał już jamój konsyliarz i nic jej w tej chwili nie grozi. Być może tylko, że przez parę dni będzie się zachowywała nieco dziwnie i będzie ulegać różnym stanom nerwowym. Trzeba jej to wybaczyć. A teraz żegnajcie.

Rozpoczęły się pożegnania i życzenia szczęśliwej podróży dla pięknej krewniaczki. Ona zaś, okryta popielatą rotundą, zatrzymała się jeszcze na chwilę w otwartych drzwiach i odwracając się w stronę Andy powiedziała wesoło:

— Bądź zdrowa, Anusiu. I baw się dobrze.

Słowem tym, jak się Andzie ku jej zdumieniu wydało, towarzyszyło porozumiewawcze, urwisowskie zmrużenie oka.

Chciała jeszcze zatrzymać cioteczną babkę, jeszcze raz zapytać, gdzie jest zegar, ale już zatrzasnęły się ciężkie dębowe drzwi i została sama, w nieznanym mieszkaniu, z dziwacznie ubranymi rodzicami. Bo jednak byli to jej rodzice. Gdy przypatrywała się im i słuchała ich głosów, coraz bardziej nabierała tej pewności. Mimo śmiesznie skrojonego jakiegoś surduta czy fraczka ten brodaty pan był na pewno tym samym ukochanym tatkiem. A błada, siwiejąca pani patrzyła na nią tak dobrze znanymi, ślicznymi oczami mamy.

Anda stała przed nimi w swoim dziwacznym stroju, skonsternowana niezwykłością sytuacji. Naraz zaświtała jej myśl, że może oni tak jak ona też zdają sobie sprawę z tego, że przeniesieni zostali do innej epoki, że po prostu, jeśli to się wyjaśni, to cała ta kłopotliwa historia stanie się, być może, jakąś świetną zabawą.

Tylko należy to wyjaśnić. Wobec tego zagaiła rozmowę:

— No, więc mamy rok tysiąc osiemset któryś tam, co?

— Anusiu, dziecię moje — odezwała się, wyciągając ramiona, odmieniona mama.

Anda, nie przyzwyczajona do podobnych gestów ze strony matki,

34

patrzyła w tym samym stopniu zdumiona, co ubawiona. Mama zachowywała się zupełnie, jakby była na scenie. Anda chciała jej to powiedzieć, ale w tej chwili odezwał się tatko, brodaty i okropnie poważny:

— Cóż to dziecię opowiada? Moja droga Genowefo — powiedział do Cjenowefci, która właśnie ukazała się w drzwiach, prowadzących widać do jakiegoś pokoju. — Genowefo, proszę natychmiast położyć spać panienkę.

— Mnie położyć spać? A to świetny kawał! — mruknęła Anda. I już była gotowa pobiec do ojca, aby go ucałować, ale tatko wyglądał nie wiadomo czemu tak jakoś dostojnie i nieprzystępnie, że cofnęła się w milczeniu, poprawiając tylko kraciasty koc ciotki, w który była zawinięta.

Pani w długiej sukni dopytywała się tymczasem Genowefci, czy łóżko panienki jest już posłane i czy przepalono w piecu, bo mimo wiosny wieczory są przecież jeszcze chłodne. I że może trzeba by panience dać gorącego bulionu, gdyż nic tak nie leczy wszelkich przeziębień jak dobry, mocny bulion.

— Zaraz zapytam kucharki, proszę pani — odpowiedziała na to istota, która mimo przebrania była chyba Genowefcią. Cała ta rozmowa znów zachwiała świadomość Andy. Jakie piece? Po co palić w piecu, kiedy przecież u nich w domu jest centralne ogrzewanie? Chociaż, co prawda, w takim starym jak ten domu piece są możliwe. Ale kucharka?

Przecież nie było u nich w domu żadnej kucharki.

— Proszę za mną, panienko — szepnęła tymczasem udiwniona Ge-nowefcia, ujmując Andę za rękę. — Trzeba się położyć. Panienka jest zmęczona i na pewno źle się czuje.

Anda chciała koniecznie odpowiedzieć, że to nieprawda, że czuje się zupełnie dobrze, ale Genowefcią nie dała jej dojść do słowa. Pod tym względem była dawną, prawdziwą Genowefcią. Ciągnęła ją za sobą przez jakieś nie znane, ciemne korytarze i ogromne, źle oświetlone pokoje; cały czas bez najmniejszej przerwy opowiadała o tym, że

rozesłała już łóżko, że pościel jest świeżo powleczone, że w łóżku jest kamionka, która nagrzewa właśnie pościel, i że za chwilę ona, Genowefcia, przyniesie filiżankę najwspanialszego pod słońcem bulionu.

— Nie chcę bulionu — zaprotestowała Anda, mimo ogromnego zmęczenia, które dosłownie ścinało ją z nóg. — Nie chcę żadnego bulionu. Chcę tylko wiedzieć, czy ta pani w długiej sukni, ta z lokami, która była

35

w przedpokoju, to naprawdę jest moja mama? Powiedz uczciwie, Geno-wefciu. Bo wy wszyscy jesteście tacy jacyś...

— W imię Ojca i Syna! — Genowefcia przystanąła teraz i przeżegnała się z rozmachem. — Boże wielki! Cóż to za dopust na nas przyszedł? Widać, że panienka jest bardzo chora, jeśli takie rzeczy opowiada i matki rodzonej nie poznaje. Proszę zaraz położyć się do łóżka. A może by tak pijawki przystawić? Po mojemu pijawki są najlepsze na wszystko!

— Nie chcę żadnych pijawek — jęknęła Anda. Dreszcz ją przeniknął na samą myśl o takim zabiegu. — Genowefciu! Rany boskie! Już nic nie powiem! Postaram się przystosować na zasadach naukowych! Będę nosiła te straszne majtki... iiii... nawet gorset...

Była tak zmęczona i senna, że zaczęło jej być wszystko jedno, co Genowefcia do niej mówiła. Marzyła tylko o możliwości wyciągnięcia się na swoim tapczanie i zaśnięcia. Szła więc dalej posłusznie za Genowefcia, niosąc lichterz z zapaloną świecą.

— Cóż to? Elektryczność wysiadła? — zapytała w pewnej chwili. Na Mokotowie elektryczność psuła się dosyć często i Anda bardzo tego nie lubiła. Mówiła zawsze, że jest jej zimno, kiedy brak światła. Ale tym razem Genowefcia wyraźnie się zaniepokoiła.

— Jaka znowu lelektryczność, panienko? Co też panienka Anusia opowiada! Nic innego, tylko ktoś rzucił urok. To z tej choroby panienka takie rzeczy mówi. Lelektryczność! Proszę już lepiej nic nie mówić, tylko zaraz rozebrać się i położyć.

Dobrzeńły wreszcie do pokoju, gdzie Genowefcia postawiła lichterz ze świecą na jakimś stoliczku.

— Szybko do łóżka, panienko! — zakomenderowała.

Anda chciała jeszcze koniecznie zapytać ją, czemu nazywa ją panienką zamiast po dawnemu Andą, ale nie miała już na to siły. Poczula tylko, że Genowefcia ściąga jej z nóg pończochy, a potem pomaga ułożyć się na pościeli.

Podziwiała podświadomie jego miękkość oraz doceniała fakt, że Genowefcia przykryła ją czymś również bardzo miękkim, ciepłym i lekkim.

— Dobranoc, Genowefciu — mruknęła z wdzięcznością.

Rozdział czwarty

Anda obudziła się i, nie otwierając oczu, niechętnie pomyślała, że zaraz pewnie trzeba będzie wstawać. Jednocześnie uprzytomniła sobie ze zgrozą, że ma nie odrobione lekcje i że będzie na pewno odpowiadać z algebry. Nie chciało jej się wstawać i nawet przez chwilę marzyła o tym, że po prostu nie pójdzie do szkoły. Oczywiście, że w praktyce byłoby to niewykonalne. Mama zaraz by poznała, że nic jej nie jest, a innej wymówki poza chorobą nie można było znaleźć. Swoją drogą widać jest jeszcze bardzo wcześnie, jeśli budzik nie dzwoni i jeśli nie słychać trzaskania drzwiami, co stanowi niedościgłą specjalność Zbyszka. Ewita też pewnie jeszcze śpi. No tak, na pewno, przecież była wczoraj w teatrze, a potem jeszcze na pewno poszli całą paczką na jakąś kawę. Ach Boże, Boże! Pospałoby się jeszcze trochę. Nawet żał oczy otwierać. I taki człowiek jest jakiś ociężały i rozmarzony. To pewnie po wczorajszym trenin-gu, nic innego! Ale zaraz... zaraz... Czyja byłam wczoraj na pływalni? — Anda usiłuje sobie przypomnieć, jak to było z tym pływaniem, ale wszystko jakoś dziwnie płącze się w pamięci. Śmieszna rzecz — byłam, czy nie byłam? Zaraz... zaraz... Aha, prawda! Sen! Prześmieszny sen! Jak to było... Aha! Najpierw jakiś ogród. Tak, tak, ogród! I majtki! Majtki za kolana! Białe! Swoją drogą, w takich majtkach się pokazywać! Sny są okropnie dziwaczne i śmieszne. No, ale ten to był naprawdę przekorniczny. I rzeba to będzie opowiedzieć Ewicie. Ona nie miewa takich snów, bo Ona nie ma poczucia humoru. Zaraz... Co to? Gdzieś zegar bije ósmą. Ale

37

co to za zegar, do licha? Pewnie u sąsiadów przez ścianę. Nic innego, tylko sobie zafundowali nowy zegar. Ależ ma uderzenie! Zupełnie jak na wieży kościelnej. Wybił ósmą? Niemożliwe, żeby była ósma, bo wtedy już cały dom byłby na nogach. I słyszał by było bieganie i rozmowy, i wszystkie kąpania się w łazience. No, oczywiście, przecież o ósmej łazienkę zajmuje mama. I to jest też śmieszne, że powieki mogą być takie ciężkie, że nie można ich podnieść.

Naprawdę! I chyba to wszystko znaczy, że można obrócić się na drugi bok i jeszcze trochę pospać.

Zaraz, co to właściwie jest za kołdra? Nie, to nie jest kołdra! To jest chyba poduszka. Cóż za pomysł, żeby spać pod poduszką. Ależ to przecież jest pierzyna! Skąd się tu wzięła, do licha ciężkiego?

Anda wzdycha i decyduje się mimo senności podnieść powieki. W pokoju panuje mrok. — Nic nie rozumiem — mruczy Anda — widać jest jeszcze nieludzko wcześnie.

Obracając się na drugi bok czuje ze zdumieniem, że oprócz nocnej koszuli, która zresztą wydaje się dziwnie sztywna i gruba, ma na sobie jeszcze jakiś kaftanik z długimi rękawami. Nic innego, tylko Genowef-cia korzystając z jej senności wtoczyła na nią coś podobnego. Wszystko oczywiście z tej dbałości o Andzinc zdrowie. Mruczając więc niezbyt pochlebne epitety pod adresem Genowfcici, Anda ściąga z siebie kaftanik i rzuca go z rozmachem w tę stronę, gdzie powinno stać krzesło z jej niezbyt porządnie ułożonym ubraniem. No tak, ale ze spania już nic nie będzie. Odwraca się więc z powrotem i decyduje się otworzyć oczy.

— Czemu, do licha, jest tak ciemno? Aha! Okno jest zasłonięte. I przecież to nie jest okno! Co to ma znaczyć? Firanki podpięte kokardami? Zaraz, przecież to w ogóle nie jest ten pokój!!!

Anda siada gwałtownie na łóżku. To jest zupełnie inny pokój! — Gdzie ja jestem?

W półmroku widać zarysy jakichś nie znanych mebli, pokój jest dużo większy. A ona, zamiast na swoim ukochanym tapczanie, leży w łóżku. Ale jakim! Z kolumnami, firankami i baldachimem! Leży pod pierzyną, ubrana w płócienną koszulę. Nie ulega wątpliwości, że to jest płótno. Coś tak grubego!

— Co to jest? Gdzie jestem? — powiedziała na głos i jednocześnie uszczypnęła się mocno w rękę. Uszczypnięcie zabolalo porządnie.

38

— Gdzie ja jestem, do licha? Co to wszystko ma znaczyć? — powtórzyła jeszcze raz głośno.

W odpowiedzi usłyszała jakby lekkie westchnienie. Zaczęła więc bacznie nasłuchiwać. Westchnienie powtórzyło się. Tylko że teraz przypominało raczej chrapnięcie.

— Kto tam? — spytała wobec tego.

Ale nikt nie odpowiedział, tylko przyzwyczajony już nieco do mroku wzrok Andy odróżnił w drugim kącie pokoju jakby zarys drugiego łóża z baldachimem. Wpatrując się usilnie, dojrzała, że w cieniu podpiętych kokardami firanek łóża spoczywa jakaś postać ludzka. Ale kto?

— Kto?

Nie mogła dojrzeć, więc desperacko spuściła nogi z łóżka, gotowa biec w tamtą stronę. Ale naraz powstrzymał ją lęk; dziwny i nagły, więc przez ściśnięte gardło, nieswoim głosem krzyknęła:

— Kto tam jest?! Gdzie jestem?!

Postać na łóżku poruszyła się. Rozległo się ziewnięcie i senny jeszcze, ale jakże drogi i bliski, głos Ewy:

— Co się stało, Anusiu? Czemu krzyczysz?

— Ewita, to ty?

Anda wyskakuje z łóżka i boso biegnie w stronę łóżka z firankami. Ale zaraz zatrzymuje się pełna wahania.

— Czy to na pewno ty jesteś, Ewitko?

— Nie rozumiem, czemu tak dziwnie przeinaczasz moje imię—mówi postać w łóżku. Jest przyodziana — tak, tak, przyodziana, bo trudno to nazwać inaczej — jest więc przyodziana w biały kaftanik czy też koszulę nocną z długimi aż do dłoni rękawami, zapiętą pod samą szyję. A na głowie... cóż to takiego ma na głowie? Coś białego z falbankami.

Nie, naprawdę! Na głowie ma czepek. Ale przecież to jest twarz Ewity!

— Ewita, powiedz, Ewita, gdzie my jesteśmy, co to wszystko ma zna-czyć? — Anda przysiadła na brzegu ogromnego łóżka. — Słuchaj, miałam strasznie śmieszny sen. Ale czy sen może ciągnąć się dalej, tak, żebyśmy obydwie w nim były? Nic nie rozumiem. Błagam cię, uszczypnij mnie, ale mocno!

— Wiesz, Anusiu, że nasza droga mama uważa, że szczypanie jest czymś bardzo brzydkim i niewłaściwym — odpowiedziała uprzejmie Ewita, ściągając przy tym wargi w śmieszny ryjek.

39

— Ewita, nie wygłupiaj się! Powiedz zaraz, co to wszystko znaczy. Gdzie jesteśmy? Czy ty mi się śnisz, czy jesteś naprawdę?

— Przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego przeinaczasz moje imię i dlaczego używasz takich okropnych wyrażeń, zupełnie nieodpowiednich dla panienki. Całe szczęście, że mama tego nic słyszała! Co prawda twój wczorajszy wypadek usprawiedliwia trochę dzisiejsze wybryki.

— Jaki znów wypadek? Zaraz, czekaj, o czym ty mówisz?

— O twoim wypadku. Przecież ciotka Eleonora odwiozła cię wczoraj i uprzedziła nas, że stan twoich nerwów może być naruszony. Przeto...

— Mówisz, ciotka Eleonora... To ty też jesteś taka bardziej z epoki? Co?

— Ależ...

— Słuchaj, czy sny mogą trwać bardzo długo?

— Nie rozumiem, siostrzyczko, co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic już, nic. No to żyjemy, siostro, w tej epoce. Ale na razie to wiesz co? Okazuje się, że podróże w czasie bardzo zaostrzają apetyt. Mam pierońską melodię do żarcia. Czy w tej epoce się jada?

Ewita zatrzepotała powiekami z przerażenia, ale wyszeptała uprzejmie:

— Jeśli ci chodzi o śniadanie, to Gcnowfcia zaraz przyniesie. W tej chwili rozległo się pukanie.

— Proszę! — zawołały jednocześnie.

Drzwi otworzyły się powoli i ukazała się w nich wysoka, tęga postać Genowefci w białym fartuchu i w czepku na głowie.

— Dzień dobry panienkom!

— Dzień dobry, Genowefciu! — powitała ją radośnie Anda — dzień dobry! Ty mi przynajmniej powiesz uczciwie: czy mi się śnisz, czy ty jesteś naprawdę?

— Co też panienka, za przeproszeniem, znów opowiada?

— Jesteś śmiesznie ubrana i diabli wiedzą, po co masz na głowie ten czepiec, ale grunt, że jesteś. Powiedz mi, co się dzieje? Gdzie jesteśmy? Co to za mieszkanie?

— W imię Ojca i Syna — przeżegnała się pobożnie Genowefcia. — Przecież jest panienka w domu rodzinnym, na Miodowej. Jak można się pytać, co to za mieszkanie? Przecież rodzice panienki tu mieszkają od dnia swojego ślubu. I panna Ewusia tu się urodziła, i panicz Zbyszek,

i panienka też. A jakże. Ee, zły sen widać panienka miała. Trzeba okno odsłonić, to przejdą złe zmyry. To widać z przemoczenia w stawie ta cała choroba jeszcze się panienki trzyma.

To mówiąc Genowefcia podeszła do okna i zaczęła ciągnąć za sznurek, wobec czego zaciemniająca okno roleta podniosła się do góry. Jasne światło wiosennego poranka zalało cały pokój. Anda rozejrzała się teraz na dobre. Cóż za dziwaczne, ciężkie meble — brzuchata komoda, ogrom-niasta szafa, śmieszny stoliczek otulony w firaneczki i zasłonki z czegoś białego i cienkiego. Wszystko przy tym popodpinane tu i ówdzie różowymi kokardami.

— Co to jest? — spytała wskazując palcem na ten dziwny mebel.

— Toż to toaletka, panno Anusiu! — wykrzyknęła z bolesnym zdumieniem Genowefcia.

— Toaletka? Naprawdę? Strasznie śmieszna jest ta toaletka.

— A cóż w niej śmiesznego? — uważała za stosowne obrazić się Genowefcia i chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Anda dała znak ręką, żeby nic nie mówiła.

— Zaraz, zaraz, Genowefciu! Daj mi spokojnie zastanowić się. Stała ze ściągniętymi brwiami, zbierając myśli — zaraz, zaraz, jak to

było wczoraj? Ogród i ta staroświecka piękność. Co się stało z mieszkaniem na Rakowieckiej? A teraz ten pokój nieznanym! Ewita i Genowefcia nic się temu nie dziwią. Najwidoczniej czują się tu doskonale.

Podbiegła szybko do okna i rozsuwając marszczone, falbaniaste i również kokardami podpięte firanki, wyjrzała na ulicę.

Widok był nieoczekiwany. Ulica wydawała się dziwnie wąska, a domy jakby mniejsze. Jezdnia była brukowana kocimi łbami, a na chodniku stały latarnie zupełnie odmienne od tych, jakie dotychczas widywało się na ulicach Warszawy.

Przechodnie byli ubrani dziwacznie. Mężczyźni w wysokich kapeluszach podobnych do saganków lub w cylindrach.

Okrycia mieli krótkie, a spodnie o wąskich, nieomal obcisłych nogawkach. Kobiety przechadzały się w długich i sutych sukniach, zręcznie unosiły fałdy spódnic w ten sposób, że ukazywały brzegi falbaniastych halek. Nosiły też zabawne, krótkie pelerynki i ogromne kapelusze. Ale jakie! Były to kapelusze-ogrody, kapelusze-torty, kapelusze-zwierzyńce.

Tyle na nich było kwiatów, wstążek, piór, owoców, a nieraz i małych, wypchanych ptaszków.

41

Anda wpatrywała się w ten widok z zachwytem, tak się jej wydał zabawny. Ale co to jest właściwie? Jakaś dekoracja?

Jakaś scena z filmu? Ależ to wszystko wygląda jak prawdziwe. Oto służąca niesie koszyk pełen zakupów, a tam

biegnie zabawny, mały kuchcik czy piekarczyk w białym fartuchu i w białej, okrągłej czapce. Na jednej ręce, wysoko

nad głową, niesie tacę pełną apetycznych bułeczek! A tu znów idzie pani z dziewczynką. Strasznie śmieszna jest ta mała! Ma kapelusz jak dorosła dama i dosyć długą sukienkę, też jakoś dziwnie przybraną kokardami i koronkami. I ma obszyte koronką majteczki, które widać spod spódniczki! A teraz znów jedzie kareta...

Zaraz, co to było z tą kareta? Jak to właściwie było? Ciotka Eleonora...

W oddali jakiś zegar wydzwonił godzinę, melodyjnie, jakby ktoś dotknął strun harfy.

Anda odwróciła się szybko od okna.

— Biję jakiś zegar! Genowefciu, a gdzie jest zegar porcelanowy?

— Jaki znów porcelanowy zegar, panienko?!

— Ten porcelanowy, malowany, ten z kwiatami. No ten, który stał w naszym pokoju! Pod szklanym kloszem!

— Ależ panno Anusiu! Jako żywo nigdy u nas nie było porcelanowego zegara...

— Więc może jest w innym pokoju? Tu są przecież jakieś inne pokoje...

Teraz Ewita uznała za stosowne wtrącić się:

— Anusiu! Nie pojmuję, o jaki zegar ci chodzi? Nigdy w naszym domu nie było porcelanowego zegara!

— Nie było? To niemożliwe!

— Przywiduje ci się coś, siostrzyczko — powiedziała łagodnie Ewita. — Zaniechaj tych dziwnych myśli, które cię trapią.

Słusznie radziła ciotka Eleonora, abyś wypoczęła po wypadku, który, jak mówiła, wczoraj ci się zdarzył.

— Więc mówiła o wypadku? O dziwnym wypadku? Słuchaj, Ewito, a czy mówiła o godzinie pąsowej róży? Tak, tak to nazwała: godzina pąsowej róży...

— Nie wiem, o czym mówisz, Anusiu. Nic nie rozumiem — Ewita wyglądała na prawdziwie zatroskaną.

42

— Naprawdę nie wiesz? — nastawała Anda.

— Ależ naprawdę, siostrzyczko. Ach, być może, że to cierpienie jakieś nerwowe cię trapi. Genowefciu, czy nie uważasz, że należałoby powiedzieć mamie, że Anusia... że Anusia źle się czuje.

— Wcale nie „czuję się”, tylko jest mi po prostu głupio — wyznała z westchnieniem Anda, przysiadając na taborecie.

Chciała zebrać myśli i uporządkować je w swojej łepetynie; naraz poderwała się.

— Genowefciu, Ewito, błagam, powiedzcie, ale nie żartujcie, powiedzcie, który teraz jest rok?

— Przecież tysiąc osiemset osiemdziesiąty, a dlaczego o to pytasz?

— Ewita ze zdziwienia aż usiadła na łóżku.

— Tysiąc osiemset osiemdziesiąty! Jesteś tego pewna?

— Święta Apolonio! — jęknęła Genowefcia. — Jak panienka nie wierzy, to proszę popatrzeć na kalendarz. O tam!

Anda, wiodąc wzrokiem za wyciągniętą ręką Genowefci, dojrzała na ścianie duży kalendarz z kartkami do zrywania. Czerniła się na nim liczba 10, a poniżej napisane było: kwiecień. Na tak zwanej zaś „ściance” kartonowej, do której przymocowane były kartki, na tle zimowego wi-doczka z sarenkami widniała liczba: 1880.

— Więc to jest prawda. Więc jest rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty

— szepnęła Anda. Więc to, co widziała dokoła siebie, co się działo wokół niej, było dalszym ciągiem tej dziwacznej przygody. Czas cofnięty w godzinie pąsowej róży! Cofnięty o ponad sto lat. Więc tak wyglądają jej rodzice i Ewita, i Genowefcia, i całe życie, i dom, i ulica, tak wyglądają w przesuniętym czasie. Tylko że podczas kiedy nikt z nich nie zdaje sobie sprawy z tego, ona jedna zachowała pełną świadomość tej zmiany.

I to w tej chwili wydało jej się zachwycające. I ogromnie zabawne.

Ulica zaludniona dziwacznie ubranymi postaciami, jakby wyciętymi ze starych żurnali, wydała się jej w tej chwili ogromnie pociągająca. Miała ochotę wybiec, oglądając wszystko, cieszyć się tą innością, taką zabawną. Jednocześnie poczuła, że jest ogromnie głodna. Najzwyczajniej w świecie głodna. Swoją drogą trzeba będzie jakoś koniecznie zobaczyć się z tą ciotką Eleonorą i później odkręcić czas, ale teraz najważniejsze jest, aby dostać cokolwiek do jedzenia. A czy to jedzenie będzie prawdziwe?

43

— Genowefciu! — zawołała wobec tego przymilnie, gdyż w sprawach jedzenia zawsze trzeba było do Genowefci przemawiać przymilnie — jestem szatańsko głodna. Czy nie poczęstowałabyś mnie jakimś przepysznym śniadaniem?

— A jakże — twarz Genowefci rozpromieniła się — zaraz, zaraz przyniosę — a pochylając się ku Ewicie, szepnęła konfidencjonalnie: — Jak zje, biedactwo, to zaraz jej się odmieni. Może dlatego tak opowiada, że jest na czczo?

— Możliwe — zgodziła się szeptem Ewita. A. potem dodała głośnie: — A ja to bym zjadła śniadanie w łóżku, dobrze, droga Genowefciu?

— Czy jesteś chora? — zaniepokoiła się Anda. Ewita dotychczas zawsze wstawiała wcześniej, szybko jadła śniadanie i potem pędziła na wykład, do biblioteki lub do teatru na jakąś próbę, którą chciała koniecznie zobaczyć. Ale teraz, spuściwszy wstydliwie oczy, szepnęła:

— Nnnnie, nie jestem chora. Cóż znowu... Genowefcia pospieszyła z wyjaśnieniem.

— Jak to? Panienska Anusia zapomniała, że dziś przychodzi konkurent i panna Ewusia musi być śliczna i wypoczęta? Musimy się spodobać

— dodała figlarnie.

— Ach, Genowefciu, co Genowefcia mówi! — broniła się sploniona

Ewita — takie rzeczy...

— No nic, nic, już przynoszę śniadanko — sapnęła po swojemu Genowefcia, co było nieomylną oznaką wzruszenia.

— Genowefciu! Sapnęłaś zupełnie tak samo jak na Rakowieckiej — ucieszyła się Anda. — Daję słowo!1

Genowefcia co prawda na to oświadczenie najpierw dyskretnie ruszyła ramionami, a potem przeżegnała się ukradkiem, ale Anda nie zwracała już na nią uwagi. Owo sapnięcie dodało jej otuchy.

Będę musiała znaleźć zegar — postanowiła raz jeszcze — a poza tym muszę sobie jakoś dawać radę. I w ogóle ciekawe, co będzie dalej. —No, to szoruj po śniadanie, Genowefciu — zakomenderowała — a ja tymczasem umyję się. Aha, prawda, zapomniałam o gimnastyce porannej.

Hooop!

To mówiąc Anda jednym ruchem ściągnęła z siebie sięgającą do ziemi koszulę nocną i stanęła nago na środku pokoju.

44

— Aaach! — rozległ się przerażony okrzyk Ewity.

— Co ci się stało, Ewituś? — Anda podbiegła do niej, pełna siostrzanej troski. — Czy cię co boli?

—Uuuubierz się! —jęknęła tymczasem Ewita — przecież jesteś naga. Ostatnie słowo wymówiła z rumieńcem zażenowania.

— Eee, co ty wyprawiasz? Ewita! Jestem goła, bo mam zamiar po-gimnastykować się! Tobie też by to doskonale zrobiło. Zresztą nie rozumiem, dlaczego nie wstajesz. No, dalej, wyłaż z łóżka, ściągać z siebie te gałgany i zaczynamy... Hooooop!

To mówiąc wyrzuciła prawą nogę wysoko w górę — hoop!

W tej chwili w pokoju rozległ się jakiś pełen zdumienia i grozy okrzyk i brzęk tłuczonego szkła.

Czyżby znowu trafiła nogą w jakąś fotografię? — zaniepokoiła się Anda. Ale nie, to tylko Genowefcia, stojąc w otwartych drzwiach, patrzyła na nią pełna przerażenia. Na podłodze zaś spoczywała taca i jakieś naczynia, z których sączył się płyn, mający wszelkie pozory mleka.

— Śniadanie! — zmartwiła się Anda.

— E tam, śniadanie —jęknęła Genowefcia — mniejsza o śniadanie, ale jakże tak można, takie zgorszenie!

— Jakie znowu zgorszenie? — zirytowała się na dobre Anda —jakie /gorszenie?

Ale nie doczekała się na razie żadnej odpowiedzi, gdyż Genowefcia, i /uciwszy się jak pantera, okryła ją jakąś kapą.

— To pewnie jeszcze ta gorączka albo co — szepnęła przerażona. — I Mktora by trzeba. Na Lesznie była taka jedna, co się raz do goła rozebrała, to ją do szpitala zabrali.

— Co za bzdury... Dom wariatów, czy co? Przecież jesteśmy same labki! — zawołała Anda z wściekłością, ale naraz wzrok jej padł na kalendarz i dodała już zupełnie spokojnym głosem: — Genowefciu, powiedz mi, czy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku nie ma nagich

l/i?

— Pewnie, że nie ma takich bezceństw — odparła Genowefcia.

— A kobieta przed kobietą może obnażyć tylko duszę — dodała odnością Ewa.

— I nikt się nie gimnastykuje? Nikt? W całym domu?

45

I

— Pewnie, że nie — wykrzyknęła triumfująco Genowefcia — u nas kamienica jest porządna!

— No, to ładnie mnie ta cioteczna prababcia urządziła — wzdrygnęła się Anda — jeśli nie będę mogła gimnastykować się. Brrr! Cóż to za straszne czasy. I w dodatku jestem coraz bardziej głodna. Genowefciu — dodała pojednawczo — dajmy na razie temu wszystkiemu spokój. Błagam cię tylko: śniadanie! I pokaż mi drogę do łazienki, bo przecież muszę się umyć. Albo jeszcze lepiej, zrobię sobie prysznic.

— Do jakiej łazienki?! O Boże! To dziecko znów zaczyna mówić od rzeczy — zdenerwowała się Genowefcia. —

Przecież myjecie się zawsze, jak się patrzy, w umywalce! Zaraz przyniosę wody!

To mówiąc Genowefcia podreptała w stronę jakiegoś mebla stojącego w kącie pokoju. Przypominał on niską szafkę dwudrzwiową i podobnie do toaletki otulony był w jakieś muśliny i tiule i ozdobiony kokardami z różowej wstążki. Po dokładnym przyjrzeniu się można było zauważyć, że na wierzchu, między firaneczkami stała niewielka porcelanowa miska, a na niej malowany w kwiatki, porcelanowy dzbanuszek. Tenże dzbanuszek wzięła właśnie Genowefcia z najwidoczniejszym zamiarem przyniesienia w nim wody.

— Jak to, tu mam się myć? — Anda załamała ręce. Jednocześnie z rozpaczą patrzyła na Genowefcię, na tę Genowefcię, która zawsze była istną boginią czystości i ładu, która zawsze tak ochoczo, wesoło podśpiewując, szorowała łazienkę i nigdy nie narzekała na to, że ktoś za długo się chlapie, była bowiem zawsze najwierniejszą wyznawczynią maksymy, że czystość to zdrowie. To ona zawsze przewyżczała wszystkie opory Zbyszka w kierunku starannego mycia uszu i dokładnego szorowania się.

— Jak to? Tu mam się myć? — powtórzyła Anda, ale jednocześnie w tej chwili zrozumiała, że rozmowa na ten temat nie będzie łatwa. Przecież Genowefcia, tak jak prawdopodobnie cała rodzina, nic nie rozumiała.

Wszyscy oni byli tacy, jak gdyby żyli w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym! Nie pozostało więc nic innego, jak tylko postarać się przystosować do tych zmienionych warunków. A na razie grunt — aby coś zjeść. Na głodnego źle się myśli. Oto Genowefcia lekko zasapana wraca do pokoju, niosąc triumfalnie dzbanek z wodą. Uśmiecha się prawie po swojemu, pocziwie, i nalewa wody do miski.

46

— Proszę włożyć, panienko, koszulę, staniczek, hałeczkę i zabrać się do mycia.

Masz ci los! To znaczy, że trzeba się ubrać po to by się umyć. Pal sześć, niech i tak będzie. Już wszystko jedno. Na razie najważniejsze, aby dobrnąć wreszcie do śniadania.

Genowefcia krząta się, otwiera szuflady wielkiej, brzuchatej komody i wyciąga jakieś białe sztuki bielizny.

— Oto koszulka — mówi.

— Koszulka? — szydzi Anda — to ma być koszulka? Chyba nocna i to ze szpitala dla niezamożnych położnic. —

Zapomina o tym, że przecież obiecywała sobie niczemu już się nie dziwić. — Przecież to jest tak długie, że sięga do połowy łydek. A to co? Co to za kaftan?

I potrząsa przed oczyma przerażonej i zgorzzonej Genowefci czymś w rodzaju staniczka, zaopatrzonego w króciutkie rękawki i ozdobionego niezliczoną liczbą zakładeczek oraz ręcznie dzierganym hafci-kiem.

— To jest staniczek odpowiedni dla panienki — oświadcza urażonym tonem Genowefcia — i ośmielam się zwrócić uwagę, że nasza pani na pewno byłaby niezadowolona, gdyby słyszała, jakich niestosownych wyrażań panienka Anusia używa.

— Jakich znów wyrażań, Genowefciu? Nie nudź! — Anda z determinacją naciąga długą koszulę z dość grubego płótna, zaopatrzoną w króciutkie rękawki i silnie nakrochmaloną. — Czemu to jest, u licha ciężkiego, takie sztywne? Co?

Zagipsować mnie chcecie! A to co znowu? Co to ma być?

Anda wymachuje podsuniętą jej przez Genowefcię następną sztuką bielizny. — Przecież te nogawki sięgają prawie do kostek! I dlaczego to się wiąże w pasie na tasiemki? Cóż to, gumki zabrakło? I jak się to nosi? Przecież to jest rozcięte?

Z suto zasłanego łóża rozległ się w tej chwili głos Ewity, która najwidoczniej uznała za stosowne wypowiedzieć się na temat tak drażliwy.

— Nasza droga mama uważa, że skromne panienki z dobrego domu nie powinny nosić innych reform. Jeśli myślisz o tych modelach z kłapami, to, moja droga, zapominasz najwidoczniej, że uznane zostały przez bardzo poważne panie jako nieprzyzwoite nowatorstwo. Wstydziłabym się nawet prosić o uszycie czegoś podobnego.

47

— Pewnie — przytakuje skwapliwie Genowefcia — gdyby tak kto się o tym dowiedział, to jeszcze by potem panna Ewunia za mąż nic wyszła.

— E, opowiadanie — wzrusza ramionami Anda — nic majtki zdołają człowieka, ale człowiek majtki, jak mówi ludowe przysłowie. Poza tym, czy tu są w domu jakieś nożyczki?

Nożyczki są, leżą na ozdobionej tiulami toalecie. Anda chwytając je z okrzykiem triumfu i paroma cięciami likwiduje ku przerażeniu Ewity zbyt długie nogawice tak wstydliwie przez nią potraktowanej części bielizny. W rezultacie staje się właścicielką pary krótkich majtek, które wdziewa, nie zwracając uwagi na okrzyki Genowefci. Tak, teraz jeszcze

sztynna, krochmalona halka z falbanką. Dlaczego taka długa? Przecież sięga do samych kostek, ale trudno, niech już będzie, byle prędzej.

Mycie się w takiej małej misce też nie jest łatwe. Oho, to wymaga na pewno dużej zręczności, żeby jakoś udało się bez rozlewania wody. Ale trudno, trzeba się pogodzić z losem, aby dobrać do śniadania.

Teraz naburmuszona Genowefcia podaje jakiś różowy, ozdobiony falbankami kaftanik.

— Proszę włożyć matinkę, panienko Anusiu — oświadcza ponuro.

— Co? Co włożyć?

— Matinkę — powtarza boleśnie Genowefcia — i proszę usiąść przy tym małym stoliku, ja zaraz przyniosę śniadanie.

Kucharka już się denerwuje, że kawa będzie niesmaczna, bo ją musiała odgrzewać.

— Kucharka? Jaka kucharka? — zapytała z najwyższym zdumieniem Anda. Genowefci już nie było w pokoju,

skierowała więc pytanie do Ewity — przecież my dotychczas nie mieliśmy żadnej kucharki.

— Jak to nie mieliśmy kucharki? — Ewita jest tym razem oburzona. — My nie mieliśmy kucharki? Moja droga, co ty opowiadasz? Jesteśmy dostatecznie przyzwoitym domem, który stać na kucharkę i na pokojówkę.

— Na pokojówkę? Jaką pokojówkę?

— No przecież Genowefa jest pokojówką. Nie jest co prawda tak elegancka jak subretki w niektórych dużych domach, ale jest za to bardzo pracowita i do nas przywiązana.

Kucharka? Genowefcia pokojówka? To było coś nieoczekiwanego. Ewita tymczasem rozprawiła dalej:

— Cóż ty chcesz, moja droga? Gotowanie na siedem osób...

48

— Jak to na siedem?

— Nas pięcioro i dwie osoby służby...

— Aha.

— Więc, gotowanie na siedem osób, sprzątanie sześciu pokoi...

— Ilu? — zdziwiła się Anda.

— Sześciu — powtórzyła ze zdumieniem Ewita. — Czy ty nie wiesz, ile mamy pokoi?

— Dotychczas mieliśmy trzy... — szepnęła Anda — czyżbyśmy dostali teraz sześć? To cudownie. Nareszcie mama będzie mogła przyjmować pacjentów w oddzielnym gabinecie, a nie w swoim pokoju.

— Co ty pleciesz, Anusiu? Jakich pacjentów? Przecież to ojczulek właśnie musi mieć gabinet.

— Tak, tak, tatko też powinien mieć swój pokój do pracy.

— Więc właśnie — tatko ma gabinet, potem jest sypialny, jest nasz pokój, jest stołowy, w którym sypia Zbyszek, salon i buduar mamy.

— Buduar? — zdumienie Andy nie miało granic.

— Buduar, oczywiście — powiedziała Ewita tak wyniośle, że Anda nic miała odwagi roztrząsać dłużej tej sprawy. Przynajmniej jakaś dobra strona tego roku 1880 — pomyślała z zadowoleniem Anda — nareszcie mamy obszerne mieszkanie.

Tylko nie mogę zrozumieć, jak to jest z pacjentkami mamy. A może w tej epoce nie przyjmowało się pacjentek w domu, tylko w szpitalu? Ale / tego wszystkiego widać, że Ewita nie pamięta nic a nic i tylko jest I ! wita z roku 1880. Niech tam!

Rozmyślania przerwało wejście Genowefci z ogromną tacą. W po-koju zapachniało świeżo parzoną kawą i pieczywem. Anda wydała okrzyk Mchwytu. Obok dzbanuszka z kawą stał drugi — ze śmietanką, świe-fclltką, jak zaznaczyła Genowefcia. Ułożone w koszyczku rogaliki i okrągłe i umiane bułeczki były tak apetyczne, że niepodobna było oprzeć się pokusie schrupania ich. A masło? A jakie sery ułożone na płaskiej pod-Itawce! I konfitury! Jedne z nich mają odcień bursztynowy, a drugie i wy.

- Co to za konfitury, Genowefciu?

- Jak to? Czereśniowe. Przecież nasza pani sama je smażyła.

- Eee, co ty opowiadasz? Mama smażyła? Żart i satyra, moja droga. (Vy mama ma czas zajmować się takimi rzeczami?

Godzina pąsowej...

49

— Zapominasz, droga Anusiu, że nasza mama jest wzorową gospodynią— uważała w tym momencie za stosowne wtrącić Ewita. — I że jej pragnieniem jest, abyśmy również dobrze potrafiły gospodarować. A te czereśnie na konfitury to przecież drylowaliśmy razem z mamą.

— Nie pamiętam, żebym robiła coś takiego — westchnęła Anda — ale konfitury owszem, doskonałe.

Jadła z apetytem i czuła, że odzyskuje siły oraz dobry humor.

— Szałowe żarcie, Genowefciu — oświadczyła wreszcie, kiedy poczuła, że nie będzie w stanie zjeść więcej. — Pod różnymi względami nie mogę się z wami dogadać, ale czuję, że na tej płaszczyźnie zawsze dojdziemy do porozumienia! No, to co? Teraz bym chętnie wyszła na ulicę. I to jak najszybciej.

Podbiegła do okna. Tak, to wszystko zaczynało być zabawne i nabierało coraz więcej smaku zwariowanej przygody. I w dodatku nie wiadomo, co się jeszcze może okazać i wydarzyć.

— Anusiu — odezwała się tymczasem Ewita — pragnę ci przypomnieć, że powinnaś wkrótce udać się na twoją pensję.

— Na jaką znów pensję?

To było coś zupełnie nowego i zaskakującego. Z pomocą Ewicie przyszła Genowefcia, krzątająca się po pokoju. — A toż na pensję trzeba będzie pójść, jak co dzień, panno Anusiu. Tyle że dzisiaj można trochę później. Kucharka spotkała się dziś u reżi-nika z kucharką od panny Kołtasińskiej i dowiedziała się od niej, że podobnież ten profesor od bakaniki, czy czegoś tam, zachorował i dziś nie przyjdzie. — Od botaniki — poprawiła machinalnie Anda — ale my nie mamy żadnej botaniki. I nic z tego nie rozumiem. To znaczy, że mam pójść do liceum, tak? — Nie do żadnego liceum, tylko na pensję — zaprotestowały tym razem zgodnym chórem Genowefcia i Ewita. Prawda — uprzytomniła sobie Anda — przecież w tych okropnych dawnych czasach dziewczęta nie chodziły do liceum, tylko na pensję! — To wydało się jej mniej zabawne, bo niewątpliwie wiązało się z jakimiś obowiązkami przygotowania lekcji. Ale trzeba najpierw przekonać się, co to jest. — A ty, Ewita — zwróciła się do siostry — ty nie masz dzisiaj żadnych wykładów, że się wylegujesz?

50

— Co też panienka mówi?! — oburzenie Genowefci było nieomal bezgraniczne. — Nasza panienka Ewunia przecież już skończyła chlubnie pensję panny Kołtasińskiej, i świadectwo dostała, z nagrodą, a jakże. Taką piękną książkę w czerwonej okładce, ze złoceniami, a jakże! A teraz jest już panną na wydaniu. Ewita panną na wydaniu, czekającą na męża! A tymczasem Genowefcia gadała dalej: — Nasza panienka Ewunia, chwała Bogu, już jest zupełnie dorosłą panienką i już nawet była na jednym balu w tym karnawale. I starającego się już ma, a jakże! A panienka to niech się pomału szykuje! Ubierać się trzeba! — Ja też chyba wstanę — oświadczyła Ewa. Odrzucając kołdrę zdobną w jakieś falbany i hafciki, stanęła boso na dywaniku, przeciągając się. I ona miała na sobie białą koszulę z płócienka, ozdobioną hafcikami, i ona miała na sobie pozaszywany w drobne zakładeczki kaftanik. Wstydliwie skryła się za jakimś haftowanym w papugi parawanem, aby zmienić tę długą koszulę na inną, prawie tak samo długą, po czym, narzuciwszy krochmaloną halkę, przystąpiła do niezmiernie oględnego mycia. — Czy wy wszyscy tak się myjecie? To znaczy tylko czubek nosa i końce palców? — spytała ze zdumieniem Anda, ale ponieważ nikt nie rozumiał, o co chodzi, więc nie otrzymała właściwie żadnej odpowiedzi, która dostatecznie wyjaśniłaby sprawę mycia. Zresztą uwagę jej pochłonęła dalsza toaleta Ewity. Otóż po oględnym obmyciu się Ewita usiłowała zakuć się w rodzaj pancerza, składającego się z różowego, grubego materiału, ogromnej liczby fiszbinów i metalowych zapieć. Genowefcia brała żywy udział w tych manipulacjach, usiłując ściągnąć jak najsilniej sznurowadła gorsetu z tyłu. W pewnym momencie doszło do tego, że dopomagała sobie nawet kolanem. — Za dużo panna Ewunia zjadła na śniadanie — wy sapała w pewnej chwili z naganą. — A cóż mam robić? Zagłodzić się? — jęknęła żałośnie Ewa. Była już tak silnie ściśnięta w pasie, że przypominała osę, i Anda miała w pewnej chwili wrażenie, że przy jeszcze jednym energiczniejszym dociągnięciu sznurowadeł przez Genowefcię Ewita zostanie najzwyczajniej w świecie przepołowiona. Ta perspektywa tak ją przeraziła, że przyskoczyła do Genowefci i wyrrywając jej sznurowadła z ręki wrzasnęła:

51

— Co Genowefcia robi?! Przecież ona się udusi! Hwa, zrzuć to z siebie natychmiast! Co za głupstwo! Jakiś idiotyczny pomysł! — Nie mogę—wyjąkała na wpół uduszona ofiara — jakże bym mogła chodzić bez gorsetu? — Panienka chce, żeby nasza panienka Ewunia za mąż nie wyszła, czy co? — rzuciła się oburzona Genowefcia. — Przecież to jest panienka z dobrego domu, jak się patrzy, nie żadna prosta dziewczyna! I musi być cieniutka w talii. — Ależ to nonsens i barbarzyństwo! Czyś ty zwariowała, Ewita, żeby robić coś takiego? Zrzuć to natychmiast z siebie! Mówię ci! Jednak ani Ewa, ani Genowefcia nie zareagowały na te pełne oburzenia okrzyki. Ewa stała nieruchomo jak lalka, podczas gdy Genowefcia starannie wiązała dociągnięte już sznurowadła. Ponieważ w tym miejscu, gdzie powinien znajdować się biust, pozostawało nieco pustego miejsca, Ewita z pewnym zażenowaniem wsunęła tam złożone w kłębuszek dwie batystowe chusteczki do nosa, po czym Genowefcia podała jej coś w rodzaju poduszki, tylko raczej owalnej w kształcie i zaopatrzonej w tasiemki. Ten dziwny przedmiot przywiązany został do kibici Ewity w ten sposób, że wybitnie uwypuklał jej sylwetkę w okolicy pośladków. — A to co takiego? — zdumiała się na nowo Anda. — Czyżbyś rozchorowała się na nerki? Ale co to za sens w takim razie kłaść kompres wtedy, kiedy wstałaś z łóżka? Uważam, że powinnaś natychmiast położyć się. Czekaj, zaraz zawołam mamę! — Ach, nie wołaj mamy! Wiesz przecież, że śpi jeszcze o tej porze. A poza tym dlaczego chcesz ją obudzić? — Bo ty coś ukrywasz, Ewusiu! Jesteś naprawdę poważnie chora. Czy odczuwasz jakieś bóle w okolicy nerek? I czy taki kompres chociaż pomoże? — Jaki kompres, jaki kompres? — wtrąciła zniecierpliwiona Genowefcia. — Co też nasza panienka Anusia dzisiaj nie nawydziwia! Zupełnie jakby nigdy tiumiury nie widziała! — Czego? — Tiumiury! Mówię przecież wyraźnie, panienko! — Rety! A po co to? — Jak to po co? Każda elegancka i modna osoba musi nosić tiurniu-rę! — oburzyła się teraz z kolei Ewita.

— Elegancka osoba! Trzymajcie mnie, bo pękne! Słuchaj, przecież to jest okropnie śmieszne. Wiesz co? Mogłabyś na tym posadzić jakiegoś pieska. Byłoby jeszcze ładniej. Oszalałaś zupełnie? Ja rozumiem, epoka, godzina pąsowej róży i takie w ogóle różne dziwne rzeczy, ale żeby do tego stopnia nie mieć poczucia humoru, żeby nosić coś podobnego, to skandal!

— Słyszę, że mówi tu ktoś o skandalu! — rozległ się naraz głos mamy. Można było przypuszczać, że jest lekko zakatarzona, mówiła bowiem wyraźnie przez nos.

— Mama! Mama! — ucieszyła się Anda — nareszcie mama! No bo posłuchaj, czy to nie skandal?...

— O jakim skandalu mówisz, moje dziecko? — Głos był zakatarzonym głosem mamy, ale postać? W powłóczyстых szatach, trochę posiwiła i jakby starsza. A na głowie czepeczek koronkowy... Ale mimo wszystko to przecież jest mama.

— Strasznie źle wyglądasz, kiedy jesteś nie umalowana... — zaczęła Anda niepewnie i z troską w głosie.

— Ja miałabym się malować? — oburzyła się ta istota, tak mało przypominająca elegancką, zgrabną i młodzieńczą sylwetkę mamy. — Ja miałabym postępować tak niegodnie? I któż to śmie o tym mówić? Dziecko moje? Dziecko, które obmawia swoją matkę. Matkę dorastających córek na wydaniu?

— Ależ, mamó, przecież zawsze podbarwiasz włosy i nigdy nie robisz z tego tajemnicy... — usiłowała bronić się Anda.

— Ach, cóż ja słyszę! Wyrodne dziecko! I to ty mówisz? Ty, która lałaś się przyczyną skandalu, który hańbą okryje nasz dom i może złamać życie twojej niewinnej siostry.

— Mamó, mamó, przecież ty nie mówisz tego na serio! Ty żartujesz, prawda? Żartujesz jak zawsze, powiedz. To niemożliwe, abyś była tak zupełnie i okropnie inna niż tam na Rakowieckiej. To wszystko jest właściwie strasznie dziwnym i śmiesznym w \ darzeniem.

— Co nazywasz śmiesznym wydarzeniem? — spytała tymczasem i ioba podobna do mamy, a jednocześnie tak do niej niepodobna.

— No, tę całą historię z pąsową różą, i z tą ciotką, i w ogóle — wyliczała niepewnie Anda. Jednocześnie zrozumiała rzecz straszną, że

mama z roku 1880 była zupełnie inna.

52

53

— A czy i tę historię nazwiesz śmiesznym wydarzeniem? — spytała teraz zidentyfikowana mama, podsuwając pod nos Andy jakiś zwinięty w rulon, różowy przedmiot. — Co to jest?

— Zdaje mi się, że gorset — wyjąkała Anda niepewnie.

— A może poznajesz też, czyją on jest własnością?

— Nnnie.

— Nie? A posłaniec, który to przyniósł, twierdzi, że przedmiot ten został wyrzucony wczoraj wieczorem z karety przez jakąś młodą osobę. Pewien młody człowiek, który podniósł ten przedmiot, rozpoznał, do kogo należy kareta i kto w niej jechał. Ach, ten twój wybryk, moja córko, może mieć dla nas nieobliczalne skutki.

— Mamó, ja przez to mogę zostać starą panną — zaszlochała Ewita.

— Nawet nie mówmy o takiej strasznej możliwości — westchnęła mama. — Ale to pewne, że całe miasto weźmie nas na języki. Obawiam się, że jesteśmy skompromitowani. Dlatego też uważam za słuszne, aby przyspieszyć w tym roku nasz wyjazd do wód. Rozmawiałam już o tym z waszym ojcem i zgadza się ze mną najzupełniej.

—! Tak, to jedyny ratunek — westchnęła Ewita, osuszając łzy — ale czy pamiętasz, droga mamó, że potrzebuję kilku sukienek odpowiednich na ten wyjazd?

— Ależ pamiętam, pamiętam. Podobno Matuszewski dostał nowe modele.

— Ach, nie, mamó, nie! Chodźmy lepiej do Hersego — ożywiła się Ewita zapominając o łzach — to jest teraz najelegantszy magazyn w Warszawie. I kapelusz mi będzie nowy potrzebny. Wiesz? Taki fason Marion de Lorme\ Noszą ten model najelegantsze i najbardziej dystygowane damy w Warszawie.

— Zobaczymy, moje dziecko — pokiwała głową mama, po czym, zwracając się do Andy, powiedziała ze smutkiem:

— Wiele nam zmartwienia przyczyniłaś, droga córko. I gdyby nie to, że kuzynka Eleonora wstawiała się jeszcze wczoraj za tobą, tłumacząc nam twoje ekstrawagancje jako skutki wypadku, któremu uległaś, zostałabyś srogo ukarana.

— Kiedy ja naprawdę nie chciałam, mamó — zapewniała Anda.

— Chcę temu uwierzyć, córko moja, lecz z trudnościami to przycho-

54

dzi. Teraz już idź na pensję, po powrocie zaś będziesz klęczeć przy piecu, na grochu, przez godzinę, gdyż uważam, że jednak powinnaś zostać ukarana za swój wybryk.

Rozdział piąty

Anda stoi gotowa do wyjścia. Nie bardzo może oddychać, gdyż jest także ściągnięta gorsetem dosznurowanym przez Genowefcię. Fatalnym gorsetem, który wywołał taką awanturę. Jest najzupełniej zrozpaczona i drętwieje na samą myśl, że ma wyjść na ulicę w stroju, który musiała na siebie włożyć. Oprócz gorsetu, owej płóciennnej bielizny i grubej

halki ma na sobie długą, prawie do kostek sięgającą granatową spódnicę, naszytą suto na dole czarnymi tasiemkami. Spódnica jest bardzo szeroka. Kompletuje ją śmieszny kaftanik, wcięty, z bufiastymi rękawami, ozdobiony prześmiesznym kołnierzem, też z naszytami. Ewita nazwała ten kołnierz marynarskim. Mniejsza o to! Gorzej, że suknia poza tym ma drugi kołnierz, wysoki, na fiszbinach, uwierający w szyję. Na nogi trzeba włożyć dziwaczne pończochy, dość grube, przerabiane, szafirowo-czar-ne, w poprzeczne paski, a do tego okrągłe podwiązki z gumy. Te pończochy można by darować — są zabawne. Ale buty?! Sięgaj aże poza kostkę, na niewysokim obcasiku, który jest czymś pośrednim między obcasem francuskim a szpilkowym. Przecież można nogi połamać. Anda nigdy dotychczas nie chodziła na wysokich obcasach. Nie miała na to wielkiej ochoty, a i mama, ta mama z Rakowieckiej, uważała, że dziewczynka w jej wieku nie powinna nosić tego rodzaju obuwia. A tymczasem! Jeszcze Genowefcia nakrzyzczała na nią, że wydziwia i grymasi i że to są bardzo piękne i drogie buty od samego Hiszpańskiego. Co do tej piękności, to można pęknąć ze śmiechu! Buty mają nawet wydłużone noski, ale nie jest to ładne wydłużenie, o nie, noski są spiczaste, a w dodatku całe buty ozdobione są jakimiś deseniami, dziurkowaniem, Bóg wie czym! I w dodatku zapinane na guziki. A te guziki wcale nie dają się zapiąć. Więc Genowefcia znów wsiadła na Andę z krzykiem, że zgubiła swój haczyk do zapinania butów. — Jaki haczyk? Nigdy w życiu przecież nie miała żadnego haczyka! Wobec tego Genowefcia wyjęła z włosów podwójną szpilkę i tą szpilką dopiero dziwnie zręcznie zapięła buty. Ale na butach nie kończy się cała historia stroju! Skądże! Jest jeszcze kapelusz! I to jest dopiero zabawa. Kapelusz jest wiosenny, jak podkreśliła Genowefcia. Składa się z czegoś w rodzaju patelni wykonanej z dziwacznej słomki. A na tej patelni — czegoż tam nie ma? I kokarda ogromna, i cała masa niezapominajek, i jakieś bufki z tiulu czy koronki, i dwa spore skrzydełka w odcieniu szafirowym. — Śliczny, skromny kapelusik typu marynarskiego, odpowiedni dla młodej panienki — wtrąciła swą uwagę Ewita. — Ja w tym nie wyjdę na ulicę! — krzyczy Anda — wszyscy będą się za mną oglądali! Czyż nie mogę wyjść bez kapelusza? Wszystkie dziewczęta chodzą już z gołymi głowami! Zapytajcie której z naszej klasy! Albo wezmę chusteczkę!

Teraz uważała za stosowne zabrać głos Genowefcia.

— Co też panna Anusia nie opowiada! A któż to widział, żeby panienka z dobrego domu chodziła z gołą głową. Co by ludzie na to powiedzieli i c i i! Z gołą głową lub w chusteczkach chodzą na ulicy tylko dziewczęta i prostego stanu, panienko. Jeszcze by kto pomyślał, że panienka służąca i! Ibo jaka praczka czy co innego!

- No to co? A cóż to jest złego? Nie rozumiem, o co chodzi.

- Ach, ach, czy chcesz dalej nas kompromitować?! — oburzyła się Ewita — cóż by ludzie o nas mówili!

- Nie masz się o co awanturować — uspokoiła ją Anda. Podeszła do na i spojrzała na ulicę.

I;im, niestety, snuło się pełno kobiet i dziewcząt podobnie do niej ranych, a na ich głowach spoczywały podobnie suto ozdobione kape-1'iekielna historia! Nie ma jednak rady, tylko trzeba się przystoso-do epoki i już. Ale to jest straszne! O, niedobra ciotko Eleonoro! To ;tko przez ciebie. I \ mczasem Genowefcia ponaglała:

56

57

i

— Już czas, już czas, niech się panienka spieszy! Trzeba zaraz wychodzić z domu. A książki panienka ma zapakowane?

— Nie wiem — wyznała Anda. Najzupełniej nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajdują jej książki szkolne.

Zresztą w tym dziwnym mieszkaniu w ogóle nie potrafiła się poruszać. Nawet nie zdołała jeszcze poznać jego rozkładu. Ale oto pocziwa Genowefcia — jednak zawsze pocziwa, mimo zmiany epoki — podaje jej kilka książek ujętych w rzemienie zaopatrzone metalową rączką. Anda już chciała powiedzieć, że przecież to nie jej książki, że ona ma swoją nową kraciastą torbę, kiedy w porę zdołała sobie uprzytomnić, że widać w tamtych latach dziewczęta używały rzemieni z klamkami i że nie było wtedy mody, żeby nosić torby przerzucone przez ramię. Wzięła więc owe paski z książkami i oświadczyła ochoczo: — Idę teraz do szkoły! — Pomyślała przy tym, z nadzieją w sercu, że chyba w szkole będzie mniej dziwnie.

— Tak, tak, już bardzo późno — przytaknęła Genowefcia.

— No to ja pojadę stąd autobusem.

— Chciałaś powiedzieć, siostrzyczko, omnibusem — sprostowała Ewita. — Ach, proszę cię, nie przekręcaj tak słów! Mama uważa, że dobrze wychowana panienka nie powinna wyrażać się w ten sposób.

— Kiedy ja nic nie przekręcam! Co mam przekręcać?! Nie wiem tylko, czy stąd idzie 3, czy 144. Już zupełnie mi się wszystko pokręciło. Zrozum, Ewito, że ja zupełnie nic mogę się w tym połapać...

— Ależ, siostrzyczko, nie pojmuję twojej dzisiejszej skłonności do ekstrawagancji! Przecież na pensję kochanej panny Kołtasińskiej możesz doskonale przejść pieszo! Jakżeż chcesz jechać omnibusem na ulicę Niecałą?

Na jaką znów Niecałą? Przecież szkoła jest na Marszałkowskiej — chciała zaoponować Anda, ale w tej chwili wróciła Genowefcia w obszernym, bufiastym zakiecie i czarnym szalu na głowie.

— Idziemy, panienko — powiedziała energicznie — proszę mi dać książki, to poniosę!

— Idziesz w tamtą stronę, Genowefciu? To cudnie!

Zawsze jakoś było różnie wyruszyć w towarzystwie Genowefci na tę inną, odmienną ulicę warszawską, którą widać było z okna pokoju.

— Pewnie, że idę w tamtą stronę, muszę przecież panienkę odprowadzić na pensję.

— Odprowadzić? A po co? Ja przecież nie mam zamiaru uciekać. I jakoś trafię. Owszem, mam zamiar uciec za jakiś czas z tej epoki, ale to nie to samo, Genowefciu. Wierz mi! To o wiele trudniejsze. Zresztą wy i tak tego nie rozumiecie. Ale jeśli masz jakieś sprawy do załatwienia, to nie krępuj się, Genowefciu, i spływaj spokojnie.

— Jakże to! — Genowefcia zdenerwowała się wyraźnie — co też panienka dziś opowiada?! Sama chce iść przez ulicę! Co by ludzie powiedzieli, gdyby tak zobaczyli młodą panienkę bez opieki? Dopiero by była historia! Przecież panienka wie, że nie wypada jej samej wychodzić z domu! No, proszę mi dać książki.

— Dziękuję, sama poniosę, Genowefciu.

— O, sama, sama! I znów panienka zaczyna. Nie wypada, żeby panienka z dobrego domu sama nosiła książki. Już ja za panienkę poniosę. No, idziemy.

— Idziemy! — szepnęła pokonana zupełnie Anda.

Przeszły przez obszerne, nie znane jej mieszkanie, w którego rozkładzie zupełnie nie mogła się zorientować, i wyszły na ulicę Miodową. Była wiosna — taka sama jak wczoraj — kiedy razem z Teresą wracały ze szkoły i beztrosko gadały przed wystawą z rękawiczkami. Prawda, rozmawiały o sukienkach, o tym chłopaku Teresy, o Karolu, o dwóji z algebry! Ach, czymże była ta dwójka wobec wszystkich dziwnych historii, które się zdarzyły! A pływanie? A trening? Co będzie z pływaniem?

Trzeba będzie dowiedzieć się, czy istniałaby jakaś możliwość treningu w tych dziwacznych warunkach, póki nie da się odnaleźć porcelanowego zegara i przywrócić właściwego czasu.

To wszystko błyskawicznie przemknęło jej przez myśl, podczas gdy rozglądała się po ulicy z zaciekawieniem turysty zwiedzającego nieznane miasto. Dlaczego sklepy mają takie małe wystawy? I ta jezdnia wybrukowana kocimi łbami! I wszyscy są tak prześmiesznie ubrani! Kobiety ogonami sukien zamiatają kurz z trotuarów, a mężczyźni, kuso odziani, wszyscy mają zarost: brody, wąsy albo bokobrody. I nie wiadomo dlaczego wszyscy mają laski. Czyżby byli kulawi? Wszyscy?

— O, Genowefciu, proszę spojrzeć na tego pana, tam! — woła naraz Anda — na tego, który wychodzi ze sklepu! Ma cylinder i takie ogrom-niaste wąsy! I co to za dziwna peleryna.

59

j

Rzeczywiście, wysoki jegomość, który wychodzi ze sklepu, ma sięgającą prawie do ziemi pelerynę.

Ale Genowefcia mruknęła z wściekłością:

— Proszę się natychmiast uspokoić, panienko Anusiu! Czy chce panienka wywołać skandal na ulicy? Już się wszyscy na nas patrzą. A potem pół miasta będzie opowiadać, że młodsza panna Szemiotówna na ulicy za mężczyznami się ogląda. Ładne rzeczy.

— No to co, że się oglądam? A cóż w tym złego? Nie można patrzeć na ludzi?

— Na mężczyzn nie można! — oblicze Genowefci wyglądało groźnie. Nie ulegało wątpliwości, że tym razem Genowefcia jest nieugięta.

Anda mimo to już miała podjąć nieco szerszą dyskusję na ten temat, ale co innego przykuło jej uwagę. Po wyboistym bruku toczył się powóz zaprzężony w parę koni, a w powozie siedziała dama. Ale jaka! Taka, że Anda na jej widok krzyknęła natychmiast:

— Genowefciu! Anna Karenina albo może jaka aktorka! Spójrz tylko!

W istocie było na co patrzeć. Dama miała wspaniałą suknię w odcieniu szarobłękitnym, przybraną suto falbanami. Na głowie damy spoczywał kapelusz niesłychanych rozmiarów, również popielatobłękitny, ozdobiony mnóstwem aksamitnych kokard oraz strusich piór. Ponadto na szyję i ramiona miała zarzucone coś, co było zrobione z szarych lekkich piórek i wyglądało trochę jak etola.

— Co ona ma na sobie, to szare, puchate? — dopytywała się Anda. — To jest boa z piór — mruknęła ponuro Genowefcia, dodając prawie natychmiast — ale na tę kobietę też proszę nie patrzeć.

— Jak to? — zbuntowała się Anda. — To i na mężczyzn mam nie patrzeć, i na kobiety? A to dlaczego? Co znowu Genowefcia opowiada takie rzeczy?!

— To baletnica albo szansoneta! — wyjaśniła pełnym grozy szeptem Genowefcia.

— No to co, że baletnica. Chciałabym być baletnica. A co to znaczy szansoneta?

— Wstyd nawet dla dobrze ułożonej panienki takie słowa powtarzać! Szansoneta to taka, co śpiewa i tańczy w takim teatrze, co to jest w nocy i nie dla panienek.

60

— Aha, to znaczy w jakimś lokalu nocnym albo w kabarecie, tak? No to przecież nic złego.

Genowefcia wyraźnie kipiła z oburzenia.

— Panienko Aniu, proszę się zaraz uspokoić i iść przyzwójcie.

— Jak to przyzwójcie? Zwariowałaś, Genowefciu?

— Panienko Aniu — syczała teraz Genowefcia — panienka naprzód, aja za panienką z książkami. Kto to widział takie spoufalanie się ze służbą?

Anda już zupełnie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć tej odmienionej Genowefci. Szła więc spokojnie, ale zaraz się zatrzymała.

Naprzeciwko niej biegła młoda dziewczyna, ubrana bardzo skromnie, w chusteczce na głowie. Niosła jakiś spory pakiet i właśnie zatrzymała się, kiedy Anda spojrzała na nią uważnie. Stanowczo młoda dziewczyna przypominała jej kogoś. Ale zaraz, kogo? Tymczasem dziewczyna pozdrowiła grzecznie Genowefcię, która powitała ją jak starą znajomą.

— A co to? Do nas idziesz, Urszulko?

Prawda, przecież to Urszula — ucieszyła się Anda. Chciała ją od razu zapytać o zadanie z algebry, ale Genowefcia tymczasem terkotała:

— Gotowe już to pranie? A falbanki czy aby ładnie wyprasowane?

— A jakże, proszę pani. Mama zawsze bardzo się stara.

— A mama zdrowa? Urszula pokręciła głową.

— Nie bardzo, proszę pani. A to od tego stania przy balii. I nogi jej iik puchną. Pewnie przez tę wilgoć w naszej suterenie. Woda to u nas na

i, mach jak rosa.

- Jak to? — wtrąciła teraz pełna oburzenia i współczucia Anda — ecież mieliście dostać nowe mieszkanie w blokach. I sama mówiłaś,

c w zeszłym roku, że już się przeprowadziliście i że macie ładną icknę. I Urszula spojrzała na nią smutnym, spłoszonym wzrokiem.

- Mieszkamy jak dawniej, w suterenie, proszę panienki.

Co ty! Urszula! Jak ty do mnie mówisz? Dlaczego mówisz do

panienko! Czy ty ze mnie żartujesz? Powiedz lepiej, czy przyjdę / dziś do szkoły.

Nie, skądże, panienko — wyjąkała Urszula.

Dlaczego nie przyjdiesz? Wagarujesz, co? Wreszcie Genowefcia uznała za stosowne wtrącić się do tej rozmowy:

61

— Eee, co też panienka Anusia powiada. Nie możemy zatrzymywać Urszulki, bo się spieszy. Musi odnieść to pranie.

Chodźmy prędej, bo panienka się spóźni. Idź z Bogiem, Urszulko.

Urszulka dygnęła grzecznie i pobiegła, trzymając ostrożnie pakunek, a Genowefcia mruczała tymczasem rozszokowana:

— Oj, panno Anusiu! Takie rzeczy panienka opowiada. Przecież Urszulka nie chodzi do żadnej szkoły. Skądże!

Przecież jej matka to biedna praczka. Głodują obydwie, to skądże by ją było na naukę stać. Tyle że umie trochę czytać i podpisać się. To ją nasza pani nauczyła. Z dobrego serca. A Urszula dobre dziecko, pomaga matce w praniu.

— Jak to? To ona nie chodzi razem ze mną do szkoły? Co ty opowiadasz, Genowefciu. Przecież Urszula jest najlepszą uczennicą w naszej klasie.

— Ee, pomyliło się chyba panience. Co takie rzeczy opowiadać. Przecież wiadomo, że na pensję chodzą tylko panienki zamożne z domu. No, jesteśmy już na miejscu. To tu.

— Co: tu? To niby co?

— No, pensja!

— Jaka znów pensja?

— No, przecież pensja panny Kołtasińskiej. A jaka ma być? Proszę iść zaraz na górę i nie robić żadnych takich rzeczy, które by mogły zmartwić naszą panią. I proszę nie wracać samej do domu. Proszę poczekać, dopóki po panienkę nie przyjdę!

Anda miała zamiar zawołać, że nie trzeba po nią przychodzić, że to nie ma sensu, że przecież trafi sama, ale Genowefcia odeszła szybko.

Z pierwszego piętra kamienicy, na której przybita była przy bramie tablica z napisem:

Pensja dla panien KLOTYLDY KOŁTASIŃSKIEJ

rozległ się naraz dzwonek i głosy dziewcząt.

Zanim zdołała zastanowić się, co ma dalej z sobą zrobić, usłyszała znajomy głos, który zawołał tuż obok niej:

— Anusiu!

Obejrzała się i ku swojemu szalonemu zdumieniu zobaczyła Teresę.

Ale jaką Teresę! Boże! Teresę z 1880 roku. Jak ona wyglądała w tej długiej sukience i jakiejs mantylce! Na głowie miała zawiązaną pod brodą budkę przyozdobioną różyczkami i zielonym ptaszkiem, a na rękach rękawiczki z nie wiadomo dlaczego obciętymi palcami. Aha, i jeszcze w dodatku była uczesana w kok! Naprawdę!

— Och, nie mogę, ratunku, bo pękne ze śmiechu — wyjąkała Anda, ogarnięta na ten widok jakimś szatańskim, niepowstrzymanym chichotem. — Jak ty wyglądasz, Teresa! A więc z ciebie też zrobili takie straszidło?

— Nie rozumiem, o czym mówisz? — Teresa zarumieniła się i zrobiła obrażoną minę — nie wiem, moja droga Anusiu, o co ci chodzi. Nie poznaję cię. Zawsze mniemałam, że jesteś mą przyjaciółką serdeczną, lecz jakąś odmianę w tobie dostrzegam. Cóż znaczy ten śmiech i szyderstwo?

— O rany, Teresa! Po jakiemu ty do mnie mówisz? Wcale nie chciałam ci dokuczyć, tylko tak śmiesznie wyglądasz!

— Śmiesznie? Cóż śmiesznego dostrzegasz w stroju i wyglądzie, który, jak sądzi droga mojamama, najodpowiedniejszy jest dla młodej panienki.

— No dobrze, dobrze, niech już będzie odpowiedni — zgodziła się Anda, gdyż uprzytomniła sobie w tej samej chwili, że przecież i ona sama też jest podobnie ubrana. — Nie rozumiem tylko, dlaczego masz obcięte palce u rękawiczek?

— Ależ moja droga — Teresa pełna była najświętszego oburzenia —
 10 są najmodniejsze mitenki. Mama kupiła mi je u Jakubowskiego.

— U jakiego znów Jakubowskiego?

— Jak to u jakiego? Przecież u tego obok, na Niecałej! A on, moja droga, ma tylko ostatnie paryskie nowości.

— Być może — zgodziła się Anda — a czy pamiętasz, jak wczoraj po kole stałyśmy na Marszałkowskiej przed wystawą z rękawiczkami?

— Co ty mówisz, Anusiu droga? Wszak wczoraj po wyjściu z pensji t n/stałyśmy się od razu, gdyż spieszyłaś się do domu. Ja zaś miałam lek-
 śpiewu.

- To ty się uczysz śpiewu? — Andzie wydało się to niezmiernie 1 Iwne. Teresa ucząca się śpiewu! Bardzo śmieszne. —
 Co ty, Teresa,
 czy występować? Przecież ty nie masz za grosz słuchu.

- Wiem — zgodziła się smutnie Teresa — ale moja mama uważa, że

62

63

I

powinna się uczyć. Teraz jest bardzo modne, aby panienki na wydaniu miały jakieś talenta...

— Talenta! — zachichotała szyderczo Anda, ale znów rozległ się dzwonek i Teresa pociągnęła ją za rękę.

— Chodźmy prędzej na górę! Zaraz zacznie się lekcja.

Anda chciała jeszcze dowiedzieć się czegoś o tej lekcji, ale nie zdążyła, bo Teresa ponagliła ją i wołała, że się spóźnia. Na drewnianych, szerokich schodach, wiodących na pierwsze piętro, wyfroterowanych i wyłożonych chodnikami, spotykały mnóstwo dziewcząt z liceum. Wszystkie były równie śmiesznie ubrane, wszystkie nosiły cudaczne kapelusze. Anda ze zdumieniem rozpoznawała tak dobrze przecież znane twarze koleżanek. Ależ tak! Oto Zosia — ma na sobie fartuszek czarny z falbankami! A to kto? To małe czupiradło w żółtym kapelusiku obłożonym kwiatami, w brązowej sukience z wysokim kołnierzykiem, sięgającym niemal do uszu? Przecież to Agata, mistrzyni w siatkówce! A tamta uczesana w kok — to Małgosia, a ta w sukni naszytej paskami aksamitu uderzająco podobna jest do Elżbiety, zwanej pospolicie przez koleżanki Puckiem.

— Halo! Pucek! — woła wobec tego Anda, bo właśnie przypomniła sobie, że umawiały się na dziś do kina. Ale domniemana Elżbieta nie reaguje na to wołanie. Widać nie jest ani Puckiem, ani Elżbietą. Czy to jednak możliwe, aby to był kto inny? Przecież ta okrągła buzia ze śmiesznie zadartym nosem nie może należeć do kogo innego. Co prawda jest przekomiczna w tym ohydny kapeluszu z kokardą i dwoma skrzydłami, które wyglądają jakby pochodziły od jakiejś zwariowanej zielonej papugi! Trzeba spróbować jeszcze raz. — Halo, Elżbieta! Nie poznajesz mnie?

No, nareszcie, uśmiechnęła się. Poznała! To ona, to nie ulega wątpliwości. — Co z naszym kinem? — chciała jeszcze dodać Anda, ale w szatni. rozdzielił je tłum dziewcząt.

Tak, więc to były koleżanki przeniesione prawie setkę lat wstecz. A swoją drogą, mimo wszystko, to jest jakaś zabawa — zupełnie jak na balu kostiumowym. Anda poczuła, że chwilami ta cała historia może się jej nawet podobać.

Naraz koło drzwi, prowadzących widać do jakiejś sali, rozległ się szelest. Anda obejrzała się i zobaczyła damę w powłóczystej sukni z sze-
 64

leszczącej jedwabnej tkaniny w kolorze popielatym. Ponadto damę zdobiło uczesanie składające się z całej masy siwawych loków, a do oczu przykładła szkiełka w złotej oprawie, z rączką do trzymania.

A to kto znowu? — chciała zapytać, ale ku jej szalonemu zdumieniu wszystkie dziewczęta w szatni i w korytarzu przykucnęły jednocześnie w niskim dworskim ukłonie. A że głupio było tak sterczeć ponad nimi samotnie, przykucnęła więc również. Nie ulegało wątpliwości, że dama byłajakimś gościem zagranicznym. Prawdopodobnie jakaś królowa-matka czy królowa-teściowa, czy coś w tym rodzaju. Jedna z tych starszych ukoronowanych osobistości, które lubią w późniejszym wieku zwiedzać różne kraje. Ciekawe jednak byłoby wiedzieć o niej coś bliższego. Na pewno przykucnięta obok Teresa jak zawsze wie wszystko najlepiej.

— Teresa, a ta królowa to skąd? — zabrzmiał przenikliwy szept Andy.

Zaintrygowana nim dama zwróciła się teraz w ich stronę i nawet podeszła dwa kroki bliżej. Wydawała się dziwnie znajoma. Zaraz, zaraz, do kogo ona jest podobna? O rety! Przecież to wykapana dyrektorka ich liceum, pani Turbaczowa. Ależ ma minę srogą i nadętą! W tym żabocie z koronek wygląda jak indyk. A przecież nigdy dotychczas takich min nie robiła. Przeciwnie, wszyscy w szkole mówią o niej zgodnie, że jest „równa i fajna”. A tymczasem ta odmieniona pani Turbaczowa syczy przez zaciśnięte wargi:

— Co to za szept, moje panny?! Kto szeptał? Ja potrafię znaleźć winowajczynię. Proszę przechodzić do klas, gdzie czekają na was profesorowie.

Wystraszone dziewczęta przykucnęły jeszcze niżej w wiernopod-dańczym ukłonie, a potem parami szły na drugi koniec korytarza.

— Co ta Turbaczowa taka zła się zrobiła? — dziwiła się Anda.

— Jaka znów Turbaczowa? O kim ty mówisz? — oczy Teresy ze zdumienia zrobiły się jeszcze okrągłejsze niż zwykle.

— Jak to o kim? O tej babie, która nas tak rugała. I co to za moda z tym przykucaniem? Co to ma być?

— Tsss — uciszyła ją Teresa. — To nie jest przecież żadna Turbaczowa tylko nasza przełożona, panna Kołtasińska. Co ty dzisiaj opowiadasz takie dziwne rzeczy?!

— Ale dlaczego ona nie jest Turbaczowa, tylko Kołtasińska? — upierała się dalej Anda. — I to w dodatku panna? Czyżby była niezamężna?

! Godzina pąsowej...

65

I

— Oczywiście, że jest niezamężna, jeśli jest panną.

— To ona jeszcze wyjdzie za mąż, za pana Turbacza. Przekonasz się.

— A skąd ty to wiesz, Anusiu?

Anda miała zamiar poinformować przyjaciółkę, że wie jeszcze wiele innych bardzo interesujących i dziwnych rzeczy, ale znów rozległ się dzwonek i nadbiegła jakaś młoda i szczupła osoba, uczesana w śmieszny ko-czek i niezgrabnie wlokąca za sobą długi tren sukni. Sztywny, biały, krochmalony kołnierzyk więził jej szyję.

— Panienki! Proszę do klasy! Zaczynamy lekcję!

— A to znowu kto? — zdumiała się Anda.

— To przecież nasza dama klasowa. Anusiu, czyś ty wzrok postradała, że nikogo nie widzisz i nie poznajesz?

— Ki licho dama klasowa? Co to jest i czym to sieje?

Nie dostała już jednak na to odpowiedzi, gdyż osoba nazwana „dumą klasową” podbiegła właśnie do nich i krzyknęła ostro:

— Zapiszę do dziennika te panienki, które rozmawiają!

Teraz dopiero Anda poznała, że była to strasznie zresztą miła, przez wszystkich w szkole bardzo lubiana, tak zwana „Pilulka”, wychowawczyni z młodszych klas, która w starszych klasach uczyła chemii. Ale teraz podniosła jeszcze wyżej swój śmieszny, kartoflany nosek i usiłowała być surowa i nieprzystępna.

Klasa—był to stosunkowo spory pokój, w którym stały rzędami ławki o czarnych pulpitych. Przed ławkami, w pobliżu tablicy, stała na podwyższeniu katedra, a obok katedry nieduży stolik, za którym usadowiła się Pilulka.

— Dlaczego ona tam siada z boku? — zaciekała się Anda.

— Jak to? — Na twarzy Teresy malowało się zgorszenie. — Jak to? Przecież mamy matematykę! Jakżeż ty sobie wyobrażasz lekcję z profesorem, z mężczyzną, bez obecności damy klasowej?!

— Matematykę—jęknęła z przerażeniem Anda. Przypomniała sobie nie odrobione zadanie i zdrętwiała. No, teraz będzie bał! Dwója murowana. Ale zaraz, zaraz, może tu, w tej śmiesznej szkole, Cuduś nie jest wykładowcą, tylko kto inny? Przecież teraz wszystko jest możliwe... Otucha wstąpiła w jej serce. Drzwi klasy otworzyły się i ukazał się w nich dość wysoki, szczupły, młody człowiek. Anda patrzyła na niego jak urzeczona, gdyż dotychczas nie widziała jeszcze nic podobnego. Niezmiernie

wąskie, jasne spodenki obciskały długie nogi młodzieńca, do tego miał na sobie dziwnego kroju ni to fraczek, ni surdut, a pod szyją krawat zawiązany w coś, co zdaje się nazywa się fontaziem. Ale to jeszcze nie wszystko.

Młodzieniec miał wąsy! Ale jakie wąsy! Zabójczo podkreślone, tak że wyglądał jak chudy chrapaszcz!

— On jest cudny! — szepnęła Anda Teresie do ucha, dusząc się ze śmiechu.

— Tak, masz rację, Anusiu, on jest cudny! Nie widziałam dotąd równie przystojnego mężczyzny — odpowiedziała także szeptem Teresa. Ale w tym szepcie było rozmarzenie i zachwyt, a w dodatku Teresa wlepiła teraz w owego młodzieńca spojrzenie tak cielece, że nie ulegało wątpliwości, że jest w nim zakochana. To było coś zupełnie nowego i nieoczekiwanego.

Tymczasem Pilulka przy bocznym stoliku miotała się gniewnie woła-jąc nie wiadomo dlaczego po francusku:

— Silence! Mademoiselles! Silence!

Wąsaty młodzieniec przywitał się zaraz ogromnie grzecznie z podnieconą tym wyraźnie Pilulką, ściskając ceremonialnie koniuszki jej palców, a potem powiedział tak dobrze znanym barytonem:

— Witam, moje panienki.

Rany boskie! Przecież to Cuduś! Ten sam Cuduś, tylko w innym ubranku i niezmiernie wąsaty. Zupełnie piekielna historia! Więc ta dwója z algebry ma się za nią wlec poprzez czas, poprzez epoki? Anda przymknęła oczy, doszczętnie zgnębiona. Tymczasem Cuduś wysławiał się wytwornie i melodyjnie:

— Mam nadzieję, że panienki przygotowały na dzisiaj swe domowe zadania. A teraz proszę wziąć kajety.

Kajety? Co to jest kajety? Aha, prawda, Genowefcia tak nazywa zeszyty. No, mniejsza z tym, ale co dalej? Aby tylko nie zaczął wołać do tablicy. Anda czuła, że jest jej coraz ciaśniej w gorsecie, który i tak ukradkiem nieco rozluźniła, i że serce wali jej jak młotem. Epoka nie epoka, ale dwóję jeszcze jedną dostać — żadna przyjemność. A Cuduś nic, tylko włożył na nos zamiast okularów coś w rodzaju małego rowerku — to się nazywa ewikier, tatko kiedyś tak mówił — więc włożył taki ewikier, uwiązany w dodatku na czarnej wstążeczce, i przegląda dziennik. Dzienniki szkolne zostały prawie takie same — poprzez dziesięciolecia! Okrop-

66

nie jest komiczny ten Cuduś w tym cwikierze, ale w takim momencie, kiedy gała wisi nad człowiekiem, odechciewa się wszystkich żartów. No, masz ci los!

— panna gzerniotówna — wywołuje Cuduś, poruszając zabójczo wąsami — panna Szemiotówna, do tablicy proszę.

I gorset i gała — to trochę za dużo, proszę ciotecznej babci Eleonory

— myśli z'goryczy Anda, wychodząc z ławki. Podeszła do tablicy zła i zaczerwieniona. Denerwowała ją ta długa sukienka i sztywny, wysoki kołnierzyk i ciasna sznurówka. W tych warunkach odpowiadać z matematyki! O przepraszam, trochę za dużo na jednego czternastoletniego człowieka! Nawet jeśli ma trochę więcej niż czternaście lat — powiedzmy czternaście i sześć miesięcy.

— proszę wziąć kredę i pisać, panno Szemiot — polecił uprzejmie

^ i . — „Jośkę uważać, jest to zadanie niezmiernie trudne.

— Zginęłam — westchnęła.

— Zaczniemy teraz, moje panie, rzecz trudną, ale już czas, abyście się z tym zapoznały- Zaczniemy działania z ułamkami dziesiętnymi.

Z ułamkami dziesiętnymi? Co on mówi? Najwidoczniej pomyliło mu się, w której klasie ma lekcję.

Ale Cuduś niezmiernie zadowolony z siebie, gładząc zabójcze wąsiki podyktował przykłady z ułamkami, po czym skłaniając głowę z misternym przedziałkiem, grzecznie poprosił Andę, aby wróciła na miejsce, i powiedział do całej klasy:

— panie zechcą zastanowić się dobrze i spróbować wykonać działania w kajetach.

Anda za przykładem innych dziewcząt sięgnęła w głąb pulpitu, gdzie złożyła swoje książki i zeszyty. Ze zdumieniem i przerażeniem przekonała się, że są to zupełnie inne podręczniki niż te, które służyły jej w liceum a zeszyty były oprawione w glansowany papier. W dodatku każdy zeszyt był zaopatrzony w kolorową bibułę do osuszania, a bibuła ta była przymocowana do zeszytu niebieską wstążeczką i ozdobiona kolorowymi nalepiankami przedstawiającymi kwiatki i gołąbki. Bardzo to było śmieszne. Mniej śmieszne wydawało się jednak to, że wszystkie zeszyty były zupełnie czyste, nie zapisane. Nie było jednak czasu na rozważanie Anda wzięła wobec tego pierwszy zeszyt z brzegu i szybko napisała w nim rozwiązanie przykładu z tablicy. Kiedy skończyła, rozejrzała

68

się po klasie. Dziewczęta siedziały zamyślane i widocznie głowiły się nad przykładami. To było zdumiewające!

— Czy która z pań napisała już rozwiązanie? — zapytał Cuduś.

— Ja — zgłosiła się Anda.

— Kto jeszcze?

Nie, to nie do wiary, żadna z siedzących w ławkach dziewcząt nie /głosiła się więcej. Cuduś zszedł ze swojej katedry i zabrał zeszyt Andy. Podczas kiedy ze zmarszczonym czołem sprawdzał przykłady, Andą lagnał niepokój. A może to tylko pozornie było łatwe? Może to był nieczyny podstęp ze strony Cudusia? Patrzcie tylko, najlepsze matematyczki siedzą i głowią się. A przecież ona, Anda, wcale a wcale nie jest gwiazdą matematyczną. Więc na pewno zaraz Cuduś zacznie okropnie szydzić i wlepi jej dwójkę, i w ogóle będzie skandal. I to jeszcze skandal w tej śmiesznej szkole! A co powiedzą wtedy w domu? W tym nowym domu z odmienionymi rodzicami? O Boże, Boże, co to będzie? To wszystko razem może wcale teraz nie być zabawne. Naraz Cuduś piorunująco spogląda na klasę i oświadcza:

— Lubo żadna z pań dotychczas przykładu tego rozwiązać nie zdołała, wszelako znalazła się w klasie panienka, która chlubę jej w tym względzie przyniosła. Mam na myśli pannę Szemiotównę, która z zadziwiającą bystrością umysłu potrafiła poradzić sobie z ułamkami dziesiętnymi.

Rany boskie, on kpi sobie ze mnie w żywe oczy, czy co? Anda zupełnie nie wie, co ma ze sobą zrobić. Ale Cuduś ciągnie dalej:

— Przeto z żywą przyjemnością piątkową notę zapisuję w dzienniku oraz w kajecie panny Szemiotówny. Proszę dalej tak pilnie studiować, droga panienko, i być wzorem dla koleżanek. Rzadki to wypadek takich uzdolnień matematycznych u płci pięknej — dodał podkreślając zabójczo wąsika.

Jeśli on nie kpi, to w takim razie ta cofnięta szkoła szalenie mi się podoba — decyduje Anda. — Z tego wynika, że z moimi wiadomościami mogę zabłysnąć wiedzą na pensji panny Kołtasińskiej. To znaczy zarazem, że nie będę musiała przemęczać się zbytnio przygotowywaniem lekcji. Hura! To mi się na przykład podoba.

Dzwonek na pauzę przeciął te optymistyczne refleksje. Cuduś opuścił klasę, żegnając swoje uczennice wykwinnym ukłonem, a dziewcz-

69

częta przeszły do dużego salonu, zwanego przez nie salą rekreacyjną, i zaczęły wyjmować z zabawnych, małych koszyczków drugie śniadanie. Anda z przykrością zorientowała się, że nie zabrała z tego odmienionego domu nic podobnego, ale Teresa natychmiast ofiarowała się podzielić z nią swe śniadanie. Kromki białego chleba przekładane były jakimś mięsem o wspaniałym smaku i Anda zajadała, że aż jej się uszy trzęsły.

— Ależ to pyszne! Co to jest? — zapytała w końcu.

— To? — Teresa wzruszyła lekceważąco ramionami — to jest zwyczajna rolada z prosięcia, nie poznajesz? Mojej roboty. Nie bardzo lubię przyrządzania wędlin, ale moja mama uważa, że każda panienka powinna potrafić przyrządzać domowe wędliny, jeśli po zamążpójściu chce być dobrą gospodynią.

— A po cóż robić wędliny w domu, kiedy można kupić w sklepie?

— Kupić w sklepie? — Teresa wzruszyła ramionami z bezmiarem pogardy. — W naszym domu, moja droga, nie jada się kupnych wędlin. Może jeszcze pozwolisz kawałeczek?

— Owszem, chętnie — wyjąkała Anda i poświęciła się z zapałem zjadaniu następnej kanapki, gdyż zupełnie nie wiedziała, jakie powinna zająć stanowisko wobec kwestii wędlinowej. Ale znów zadzwieczał dzwonek. Dziewczęta, przechadzające się wokoło sali rekreacyjnej, pobiegły do swoich klas. Teresa chwyciła Andę za rękę.

— No chodź już, chodź prędzej!

— A co teraz będzie? — uważała za stosowne poinformować się Anda.

— Jak to co? Co się z tobą dzieje, że nic nie wiesz? Przecież teraz jest kaligrafia!

— Kaligrafia? — Anda nie posiadała się ze zdumienia. Chciała koniecznie powiedzieć Teresie, że przecież nigdy podobnych lekcji w ich klasie nie było, lecz w tejże chwili uprzytomniła sobie, że widać kaligrafia wchodzi w zakres nauki na pensji panny Kołtasińskiej. Ale na czym właściwie polega lekcja kaligrafii?

O tym miała przekonać się za chwilę. Siedząc w ławkach panny wyciągnęły teraz zeszyty, a jakaś starsza pani, o bardzo spiczastym nosie, napisała na tablicy zdanie:

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

70

— Proszę to teraz pisać, moje panny, tylko starajcie się, aby pismo wasze było piękne i czytelne.

No, to akurat coś dla mnie — pomyślała ze zgrozą Anda, która słynęła w klasie z tego, że bazgrała jak przysłowiowa kura pazurem. Niemniej jednak pochyliła się nad zeszytem i usiłowała pisać, aby nie zwracać na siebie uwagi chudej damy. Ale niestety! Ta niezmiernie koścista osoba opuściła po chwili swoje miejsce na katedrze i zaczęła przechadzać się po klasie. W pewnej chwili przystanęła nad Andą i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jej zeszyt. Wreszcie otrząsnąwszy się z tego osłupienia pochwyciła go i wymachując nim nad głową zaczęła krzyczeć przeraźliwym głosem:

— To ma być zeszyt z kaligraficznym pismem?!

To są ohydne bazgroły! Czy panna Szemiotówna nie zdaje sobie sprawy, jak wielką rolę w życiu odgrywa kaligrafia? Czy panna Szemiotówna nie zdaje sobie sprawy z ważności tego przedmiotu? Czy jest do pomyślenia, aby dobrze wychowana panienka pisała w podobny sposób? Ach! To jest karygodne! Panno Szemiotówno! Proszę za karę napisać trzydzieści razy zdanie: „Pismo jest zwierciadłem duszy”. Proszę natychmiast zabrać się do pisania! Zrozumiano?

— Niezupełnie — odrzekła w miarę możliwości uprzejmie Anda — doprawdy niezupełnie rozumiem, dlaczego mam pisać takie zdanie, kiedy, proszę pani, ja mam ohydny charakter pisma i nigdy już nie będę miała innego. A jeśli pismo jest, jak pani sądzi, zwierciadłem duszy — to widać mam brzydką duszę i już. I na to kaligrafia nic nie poradzi! I piórem nie umiem pisać! Tylko długopisem!

— Co? Co? Co takiego? — chuda dama z trudem wydobywała głos z krtani. Dziewczęta, przerażone zuchwalstwem Andy, patrzyły z niepokojem, co będzie dalej.

— A więc panna Szemiotówna odmawia pisania zadanego zdania i to w sposób wyjątkowo zuchwały, tak?

— No oczywiście, proszę pani, że odmawiam. I wcale nie jestem zuchwałą. Tylko po prostu uważam, że to na nic się nie przyda. Najlepszy dowód, że w naszym liceum nie ma mowy o kaligrafii.

Całe szczęście, że dzwonek zagłuszył ostatnie słowa krnąbrnej uczennicy. W rezultacie sroga i nieubłagana mistrzyni kaligrafii zażądała, aby panna Szemiotówna, za wyjątkowo zuchwałą odpowiedź, została

71

przykładnie ukarana. Winowajczyni miała, ku przestrodze innych uczennic, stać przez całą pauzę w kącie, z zawieszonym na szyi ogromnym językiem z czerwonego kartonu, co miało być symbolem jej zuchwalstwa.

Ani mi się śni stać w kącie i robić z siebie przedstawienie — zdecydowała szybko Anda. — Wszystko mi jedno, co będzie dalej. A swoją drogą to życie w szkole z roku 1880 chwilami nie jest takie łatwe, jak by się zdawało. Cóż z tego, że się mało uczy? Ale co za obyczaje? Mam nadzieję, że mama i ojciec, mimo że odmienieni, też będą oburzeni postępowaniem tej chudej paniusi i staną po mojej stronie.

I pełna otuchy i wiary w poparcie rodziny, oświadczyła z całym spokojem zbliżającej się damie klasowej, czyli Pilulce:

— Proszę pani, ja na żadne stanie w kącie się nie zgadzam. To jest śmieszne i nie dla mnie. I po co takie przedstawienia?! Już raczej wolę dwóję z tej kaligrafii.

— Panno Szemiotówno — wyjąkała pobladła ze zgrozy dama klasowa — panno Szemiotówno, czy panienka zdaje sobie sprawę z tego, że pani przełożona może wezwać w tej sprawie szanownych rodziców?

— Proszę bardzo — uprzejmie zgodziła się Anda — moi rodzice są bardzo równi. Oni, proszę pani, staną murem za mną, zobaczy pani.

— Aaaach! — szepnęły stojące wokoło zdumione i wstrząśnięte uczennice pensji panny Kołtasińskiej. A Teresa nawet się rozplakała.

Rozdział szósty

To dopiero minęły dwie pierwsze lekcje — pomyślała ze zgrozą Anda — a co będzie dalej? Nie ma co, rozkoszna szkółka.

Była już przygotowana na najgorsze; Pilulka, czyli dama klasowa, patrzyła na nią jak na notorycznego przestępcę, dziewczęta, przestraszone, szeptały między sobą. Jedna Teresa, trzeba przyznać, zdała egzamin przyjaźni — wiernie trwała przy Andzie, wyraźnie zmartwiona całą historią z nauczycielką kaligrafii.

— Będziesz miała okropny kłopot, pomyśl, co za awantura! — szeptała.

— Mniejsza o to — powiedziała nonszalancko Anda — dosyć już mam tej zabawy. — Chciała jeszcze wyjaśnić Teresie, że przecież kiedy /najdzie porcelanowy zegar i odwróci jego wskazówki, to i tak to wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia, ale znów natrętnie zadzwieczał dzwonek. A cóż to, znów jakaś lekcja?

— Teraz będzie gimnastyka — przypomniała Teresa.

Gimnastyka! — to brzmiało jakoś sympatyczniej. Anda zawsze bardzo lubiła godziny wychowania fizycznego. Więc i teraz pomyślała, że nareszcie będzie coś przyjemnego.

— Proszę przejść do garderoby i przebrać się w kostiumy gimnastyczne! — zakomenderowała Pilulka.

Anda chciała powiedzieć, że przecież nie ma ze sobą swojego kostiumu, ale ponieważ nie miała już chęci rozmawiać ze srogą damą klasową,

73

posłusznie więc, razem z innymi, przeszła do niewielkiego pokoiku, nazwanego szumnie garderobą. Tam na wieszakach wisiały worki, poznaczone monogramami. Z worków tych dziewczęta wydobywały kostiumy.

— Tu wisi twój worek — Teresa wskazała jej duży worek z szarego płótna z wyhaftowanymi czerwonymi literami: A. S. Nie było sensu zastanawiać się, czy to naprawdę był jej worek, czy nie. W tym nowym świecie, w którym się znalazła, było tyle rzeczy, o których nie miała pojęcia. Więc i teraz posłusznie sięgnęła po zawartość worka.

Wyciągnęła stamtąd jakąś obszerną bluzę z długimi rękawami i zapinanym pod szyję kołnierzykiem. Do tego długie majtki. Wszystko z materiału popielatego w białe paski.

Ależ to przecież jest jakaś piżama czy coś takiego, a nie żaden kostium gimnastyczny — chciała zaprotestować Anda. Pomyślała również, że być może, zapakowała tę piżamę przez pomyłkę, ale kiedy rozejrzała się wokoło, zobaczyła ze zdumieniem, że wszystkie dziewczęta zgodnie przebierają się w podobne stroje. Wyglądały bardzo śmiesznie, zwłaszcza że niektóre miały majty ściągane nad kostką na gumkę. Nie było już jednak czasu na dopytywanie się Teresy, co mają znaczyć te stroje, gdyż w tej chwili nieznośna Pilulka zaczęła klaskać i wołać, aby prędzej przebierały się, ustawiały w pary i przechodziły do sali rekreacyjnej, gdzie odbędzie się lekcja gimnastyki. Pełna otuchy i jak najlepszej myśli Anda błyskawicznie zdjęła gorset — wciągnęła na siebie owo dziwne wdzian-ko i stanęła u boku Teresy. Za chwilę przeszły do sali. Tam czekała już na nie młoda, wysoka osoba w ciemnoszarej, sięgającej podłogi sukni. Szyję jej ścisnął wysoki, biały kołnierzyk. Włosy miała uczesane w sutą, pełną loków koafiurę. Ale kiedy powitała je słowami:

— Dzień dobry, moje panienki! — Anda od razu poznała głos swojej ulubionej nauczycielki wychowania fizycznego.

Ależ tak, to przecież była ukochana Małgosia! Można ją było od razu poznać, mimo tego dziwaczного przebrania. No, teraz Anda czuła się już znacznie lepiej. U Małgosi miała zawsze doskonałe noty. Ba, Małgosia jej zwykle kazała wykonywać najtrudniejsze ćwiczenia. To świetnie, że jest Małgosia, to świetnie. Z nią można będzie się jakoś dogadać w sprawie ewentualnego treningu w tych zwariowanych, cofniętych czasach. Póki oczywiście nie da się ich odkręcić. Wątpliwe jest, ma się rozumieć, aby Małgosia zdawała sobie sprawę z tego przesunięcia. Nie, z tego nikt oprócz Andy nie

74

zdawał sobie sprawy. Ale w każdym razie była to na pewno jakaś bratnia dusza.

Tymczasem Małgosia poleciła dziewczętom ustawić się w dwusereg i dała znak paniusi siedzącej w kącie pokoju przy fortepianie, aby rozpoczęła akompaniament. W takt nudnej, monotonnej muzyki zaczęły wykonywać najprostsze ćwiczenia.

Przedszkole, czy co? — irytowała się Anda. — Przecież myśmy były już o wiele bardziej zaawansowane. Przecież te dziewczuszyska łażą jak muchy w smole i ledwie się ruszają! To na pewno dlatego, że nie zdjęły gorsetów — pomyślała z szatańskim zadowoleniem.

Miała ogromną ochotę zademonstrować, ot tak dla rozruszania się, jakieś trudniejsze ćwiczenie i nawet zaproponować to Małgosi, kiedy naraz otworzyły się drzwi sali i ukazała się w nich niezmiernie dostojnie wyglądająca pani przełożona w towarzystwie dwóch osób: starszego pana z bokobrodami i okragłej damy w niezmiernie falbaniastej sukni i kapeluszu, przyozdobionym większą liczbą sztucznych maków oraz małych ptaszków, podobnych do kanarków.

— Droga panno Małgorzato — oznajmiła uroczystym i wzruszonym głosem przełożona — oto mamy niezwykle gości, którzy zaszczytili naszą pensję swoim zainteresowaniem. Dotyczy ono szczególnie naszych lekcji gimnastyki dla młodych panien. Pan doktor Wroński i pani Unicka z redakcji poczytnego pisma „Bluszcz” chcieli zapoznać się z przebiegiem ćwiczeń gimnastycznych i postępami uczennic.

— Proszę bardzo — wyjąkała Małgosia. Była wyraźnie przestraszona i Andzie żal jej się zrobiło. Co się stało z tą zawsze wesołą, rezolutną Małgosią? Widać w czasie popchniętym te sto lat wstecz Małgosia jest inna.

Na jej komendę dziewczęta wykonały dosyć niezgrabnie kilka najłatwiejszych ćwiczeń i przemaszerowały przez salę przy akompaniamencie wybrzękiwanej na fortepianie melodii. Potem przełożona zażądała, aby kolejno wykonywały ćwiczenia, których dotychczas się nauczyły. Ponieważ Anda z Teresą były pierwszą parą, zaczęła Teresa. Biedna, okraglutka Teresa niezdarnie przeginała się i podnosiła ręce w bok i do góry. Kiedy natomiast przyszła kolej na Andę...

Ja im pokażę, co to jest gimnastyka — pomyślała. Już Małgosia nie powstydzi się mnie!

I nie czekając na znak nauczycielki zrobiła najpierw wspaniały mo-

75

stek, potem szereg szybkich koziołków, potem rewelacyjny młynek i wrębie prześliczny szpagat.

Z piersi zebranych wyrwał się okrzyk zdumienia. Wyrwał się też i jeden okrzyk o nieco innym zabarwieniu. Ale Anda dumna ze swego wyczynu nie zauważyła tylko zadowolona z siebie skłoniła głowę z podziękowaniem. Nie wątpiła bowiem w swój sukces. Wszystko wykonane było na medal! Oczekiwała teraz skromnie słów pochwały.

— Panno Szemiotówno! — zawołała tymczasem przełożona drżącym głosem—

...grucham — odpowiedziała grzecznie Anda.

— Panno Szemiotówno! — głos przełożonej przeszedł w syk — co to ma znaczyć?

— Nie rozumiem... — wyjąkała Anda.

pan! O Małgorzato! — zwróciła się z kolei przełożona do Małgosi ~^ czw to pani kształciła tę młodą osobę w tych odrażających sztukach, których nie zawaham się nazwać cyrkowymi?

— Nie nie ja — wyszeptła Małgosia pobladłymi wargami.

Jak to nie pani? — chciała sprostować Anda. Była do głębi oburzona — Przecież to właśnie Małgosia zawsze zachęcała ją do ćwiczeń i treningu— A teraz zapiera się. Cynicznie zaprzecza wszystkiemu. A przełożona syczała dalej:

...chcę wierzyć, iż to nie jest pani dziełem, gdyż w przeciwnym

wypadku zmuszona byłabym zrezygnować z pani pracy na mojej pensji. A Co do panny Szemiotówny, mimo iż jest córką zacnych i ogólnie szanowanych rodziców, to nie mogę tolerować u siebie młodej osoby zdradzającej tak oburzające skłonności. Panno Szemiot, proszę opuścić moją Pensję i udać się do domu. Zawiadomę o tym rodziców pani. Będzie to dla nich ogromny cios.

To rzekłszy, dostojna dama wycofała się wraz z przybyłymi gośćmi. W sali rekreacyjnej zapanowała cisza, którą po chwili najniespodziewaniej przerwał pełen pogody głos Andy:

...a to dobry kawał, co?

— Anusiu — jęknęła ze zgrozą Teresa — dlaczego to zrobiłaś?

I -ty o, Sie w jaki sposób potrafisz robić takie... takie rzeczy?

— ^y ;aki sposób? Najwyczajniej w świecie, moja droga, zdjęłam

Przedtem gorset!

76

I ku dalszemu przerażeniu dziewcząt Anda przeokołowała przez całą salę. Właśnie miała zamiar zademonstrować jeszcze piękny młynek, gdy rozległ się cichy okrzyk i odgłos padającego na ziemię ciała. To zemdląca Pilulka. Rozległy się okrzyki:

— Wody! Wody! Powietrza! Ach, ratunku! — Niektóre z pań też miały zamiar pójść w ślady Pilulki, tak były wstrząśnięte tym, co zaszło.

— Hura! — zawołała bynajmniej nie załamana tym wszystkim Anda. — Nareszcie mogę pójść do domu! — I korzystając z zamieszania pobiegła do garderoby. Szybko przebrała się w swoją śmieszna sukienkę, wsunęła stopy w buty, których w żaden sposób nie potrafiła zapiąć, i już miała wymknąć się na schody, kiedy przypomniała sobie, że zapomniała

O gorsecie. Nie było sensu dobrowolnie wkładać na siebie czegoś podobnego. Należało tylko zabrać go do domu, żeby znów ktoś go nie odesłał. Zadowolona z siebie cicho zamknęła drzwi pensji.

Ach, nikt nie zdoła opisać przerażenia dwóch wchodzących na schody dam, kiedy szeleszcząc powłóczyłymi trenami swych sukien, zatopione w rozmowie, spotkały się nagle oko w oko z jakimś dziwnym stworzeniem, które w szalonym pędzie zsuwało się po marmurowej poręczy schodów. Podkasana wysoko spódnica ukazywała długie, chude nogi, włosy były rozwiane, a na domiar wszystkiego stworzenie to pogwizdywało jakąś skoczną melodię. W pewnej chwili, jak się damom zdawało, stworzenie to krzyknęło jeszcze coś w rodzaju:

— Hoop!

Ale nie były tego zupełnie pewne. Tak samo zresztą jak nie były zupełnie pewne, do jakiej płci należało zaliczyć dziwną istotę. Jedna z dam stanowczo utrzymywała, że był to przebrany mężczyzna. Wskazywało na to poświstywanie oraz sam fakt zjeżdżania po poręcz.

Tajemnicze stworzenie zjechało pomyślnie z ostatniego półpiętra, kiedy damy doszły do wniosku, że być może był to przebrany bandyta.

— Ratunku! — krzyknęły przerażenie. — Bandyci! Natychmiast wszystkie drzwi na wszystkich piętrach otworzyły się i wyrwały stamtąd przerażone twarze.

— Bandyci! Ratunku!

— Zamordowali!

— Kogo zamordowali?

— Dwie panie, które wchodziły na schody!

77

I

— Aaach! To na pewno Kuba Rozpruwacz — zawołał ktoś jeszcze. Teraz cała kamienica pełna była krzyku i szlochu. Kobiety padały zemdlone na kanapki, a mężczyźni, podkreślając bohatersko węża przysięgali im, że natychmiast zajmą się odszukaniem i zgładzeniem przestępcy. Bieganina i nawoływania przedostały się wreszcie na ulicę. Po chwili przed bramą domu, na którym widniała piękna tablica z napisem Pensja dla pań, stała gromadka żywo rozprawiających

osób. Ponieważ była to jednocześnie pora zakończenia lekcji, panienki opuszczały pensję strwożone i rozszlochane. Przybyła również w tym momencie i Genowefcia. Ale Andy już w szkole nie było.

Szczęśliwa i wesoła jak ptaszek, wędrowała przez dziwne, pełne uroku i niespodzianek ulice. Przystawała przed niedużymi wystawami sklepów, podziwiała kolorowe szyldy, oglądała się za strojnymi damami i małymi dziewczynkami w długich sukienkach i strojnych kapelusikach z piórami. Za nią również oglądali się prawie wszyscy, a nawet jakiś pan w bardzo ciasnych spodenkach i króciutkim paltociku, z podkreślonym wąsikiem i baczkami, które wyglądały jak przyklepione do policzków, odezwał się do niej, uchylając jasnego cylindra:

— Czy można panię towarzyszyć?

— A po co, proszę pana? — zdziwiła się Anda.

— Aby służyć opieką, śliczne dziecko.

— Natnie się pan.

— Wszelako, pozwól, piękna panienko, abym ci służył mym ramieniem.

— Cholernie się pan natnie. Aż mi pana żal.

— Ho, ho, kociątko drapieżne... — zachichotał młodzian z wąsikiem, usiłując ująć Andę pod rękę.

— Czy pan oszalał?! Niech pan się odczepi, ja pana nie znam! — wrzasnęła teraz na dobre zirytowana Anda i zastosowała bez namysłu wielokrotnie pokazywany jej przez Karola lewy sierpowy.

Efekt był nieoczekiwany. Wąsaty młodzian jak długi legł na trotua-rze. — Uprzedzałam pana — mruknęła Anda, po czym nie zważając na gromadzących się gapiów, powędrowała dalej. Ponieważ jednak, jak zauważyła, zaczynała wzbudzać zbyt wielkie zainteresowanie, szybko skręciła w jakąś boczną ulicę. Pełno tu również było wystaw sklepowych, wędrowała więc od jednej do drugiej oglądając je z zachwytem. Wszyst-

78

kie godne były obejrzenia. No, choćby taka wystawa ze słodyczami! Pełno na niej było poustawianych na atlasie różnych figurek z czekolady. Zwłaszcza zachwycające były czekoladowe chrabąszcze różnej wielkości. A na sąsiedniej wystawie tego samego sklepu były ogromne, jak koła od samochodu, bomboniere. Ale jakie! Z różowego albo niebieskiego atlasu, wymarszczone, ozdobione sztucznymi kwiatami, a niektóre miały nawet umieszczone w pokrywach lusterka. Ich zawartość też wyglądała niezmiernie apetycznie. Anda mimo woli sięgnęła do kieszeni, ale zaraz spostrzegła, że przecież nie miała na sobie swojej ukochanej wiatrówki. Spódnice też miała inną. Ale zaraz, zdaje się, że ta spódnica też ma kieszenie. Naprawdę, to świetnie. A w kieszeni coś jest! Coś okrągłego. Czyżby jakieś pieniądze? Anda sięgnęła głębiej i po chwili wydobyla kilka monet. Skąd się tam wzięły? Może włożyła je pocziwa Genowefcia? Tylko zaraz, przecież to nie są złotówki. To są zupełnie jakieś inne pieniądze. I napisy są na nich jakieś dziwne. Ależ tak, napisy są po rosyjsku. Anda umie czytać po rosyjsku, bo się uczy tego języka. Więc zaraz... na jednej monecie jest napisane 10 kopiejek, a na drugiej 20 kopiejek. Razem trzydzieści. Ale co można kupić za trzydzieści kopiejek? I przecież żaden sklep nie przyjmie takiej waluty. A szkoda. Czekoladki wyglądały nieludzko apetycznie. Ale nie ma rady, trzeba iść dalej. Właściwie należałoby może iść w stronę domu. Bo gotowi zaniepokoić się, co się / Andą dzieje. Zwłaszcza jeśli Genowefcia, według zapowiedzi, wybrała się po nią do szkoły. Co prawda chyba nie jest taka nierozsądna i tylko tak żartowała, ale lepiej by było już wracać.

Anda mija następny sklep i naraz staje jak wryta. Jest to sklep zegarmistrza. Na wystawie i w głębi widać różnego rodzaju czasomierze. Niektóre przedziwne. Jest zegar z masy perłowej ze złotymi wskazówkami, ust zegar z brązu, na którym stary człowiek z brodą pokazuje na tarczy kosą godziny, brr, to jest zegar straszny. A jest inny, wesoły, z wyskaku-łacz małego domku kukułką... Zaraz... zaraz, a przecież jest też zegar... ileż tak, to jest zegar porcelanowy! Z kolorowymi kwiatkami i ażurowymi wskazówkami!

Tak dobrze znany zegar! Stoi pod szklanym kloszem. To ten zegar! 11 zebra za wszelką cenę dostać się do niego, trzeba za wszelką cenę prze-iikić wskazówki!

I Anda nie namyślając się dłużej popycha drzwi do sklepu.

79

i

Drzwi otwierają się z trudem, jakby ich zawiasy były nie naoliwione. Anda zamyka drzwi za sobą i właśnie chce zapytać o porcelanowy zegar starego człowieka, który siedzi zgięty za małym stolikiem, kiedy naraz w sklepie zaczynają bić wszystkie znajdujące się w nim zegary. Uderzenia niektórych dźwięczą, jakby je niosło z daleka jakieś dziwne echo, inne wydzwaniają wesoło, metalicznie, jeszcze inne krótko, spieszenie, jakby się bały, że nie zdążą ludziom odmierzyć ich porcji czasu, jeszcze inne wydzwaniają cieniutko, srebrzyście. A do wtóru kukają wyskakujące kukułki i grajązegary-pozytywki. Już chyba wszystkie skończyły swoją muzykę... Ale nie, jeszcze jeden odzywa się cieniutko, delikatnie. Ależ tak, ten dźwięk Anda rozpoznałaby wśród tysięcy innych zegarów. To wybija godzinę zegar porcelanowy, zegar ciotki Eleonory.

— Proszę pana — zdobyła się wreszcie na odwagę Anda — proszę pana!

Stary człowiek, zgięty nad małym stolikiem, podniósł głowę. W jego oku tkwiło szkło, jakiego zazwyczaj używają do pracy zegarmistrze.

— Czego tu szukasz, moje dziecko? — zapytał stary zegarmistrz głosem, który dziwnie stapiał się z tykaniem zegarów w jego sklepie.

— Proszę pana, chodzi mi o ten porcelanowy zegar. O ten, który tam stoi. Czy mogłabym go kupić?

Stary zegarmistrz potrząsnął głową.

— Ten zegar nie jest do sprzedania, moja panienko.

— Nie jest do sprzedania? — Anda była zrozpaczona. — A przecież tu stoi, u pana w sklepie. Czemu więc nie jest do sprzedania? Ja muszę mieć ten zegar, rozumie pan? Muszę koniecznie.

— Ten zegar jest oddany do naprawy — mruknął swym zardzewiałym głosem zegarmistrz.

— Więc jest zepsuty? A przecież słyszałam, jak przed chwilą wydzwaniał godziny. O, proszę pana, ja się nie mylę, ja znam ten zegar doskonale!

Staruszek roześmiał się skrzypliwie. — Właściwie nie jest zepsuty. Przysłała go tu piękna, bardzo znakomita dama. Prosiła o dorobienie zgubionego kluczyka.

— Więc kluczyk zginał? — zdenerwowała się Anda. — O, proszę pana, a czy szybko będzie pan mógł dorobić nowy?

— Hm, może niedługo, może niedługo. Kluczyk ma być złoty. Szcze-

80

rozłoty. Ale jest tak misterny, moja panienko, że wymaga szczególnie Inżo pracy.

— Więc kiedy będzie gotowy? — nastawała Anda. — Niech pan powie, błagam pana.

— Być może, zrobię go już za kilka dni, a może za parę miesięcy — mruknął stary człowiek. — Ale przecież i tak ten zegar nie należy do panienki, to czemu panienka tak się o niego dopytuje?

Anda nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. Chciała w jakikolwiek sposób pozyskać zaufanie starego zegarmistrza.

— Jestem siostrzenicą tej pani, która oddała zegar do naprawy — wyjąkała.

— Siostrzenicą tej damy? — stary zachichotał. — Ho, ho, moja panienko! Siostrzenica tej pani na pewno nie biegałaby z gołą głową po ulicy, jak Bóg wie co! Ej, uciekaj lepiej, moja mała, bo coś to wszystko mi się nie podoba.

— Kiedy właśnie ciocia prosiła, żebym się dowiedziała, kiedy zegar będzie gotowy — skłamała Anda. Była gotowa na wszystko, aby móc tylko dotknąć zegara i jego wskazówek.

— Hihihii — śmiał się dalej zegarmistrz. — A to dobre sobie! Moja droga, po ten zegar to przyjdzie kamerdyner. Takie wielkie damy zwykły lego rodzaju sprawy zlecać służbie.

— Jeśli więc nawet pan nie wierzy, że jestem siostrzenicą mej ciotki Rleonory, to niech mi pan pozwoli chociaż zobaczyć ten zegar z bliska.

— Nie, nie, moja panienko, nic z tego! Uciekaj, bom już gniewny. Czasu nie mam na rozmowy.

Wyglądało to beznadziejnie. Co począć?

Nie ma innej rady, tylko muszę tu przyjść znów jutro. A może będzie kto inny w sklepie zamiast tego zrzedliwego staruszka? Albo może przyjdę inaczej ubrana i mnie nie pozna?

Zmartwiona wyszła ze sklepu i znów przystanęła przed wystawą, aby dobrze raz jeszcze przyjrzeć się zegarowi. Ależ stary zegarmistrz skłamał. Zegar porcelanowy rzeczywiście źle chodził! Teraz zauważyła: mimo że była dopiero godzina trzecia, tak jak wskazywały wszystkie inne zegary w sklepie, porcelanowy brzuchacz zatrzymał swoje wskazówki na godzinie piątej minut piętnaście. Czyżby stanął w godzinie pąsowej róży i nie miał zamiaru posunąć się naprzód, czy też

Godzina pąsowej...

81

była to po prostu sprawa przypadku? I co się kryje naprawdę za tą całą dziwną historią?

Była głodna i zmęczona, chciała już być w domu. Wszystko jedno w jakim, byle w domu! Rozejrzała się po obcej ulicy i zastanawiała się, co ma zrobić. Nie bardzo wiedziała, w którą stronę należy iść. Zaraz, przecież można by wsiąść po prostu do taksówki! Ostatecznie przecież w domu ktoś będzie i zapłaci! Rozejrzała się, ale nigdzie nie mogła dostrzec jakiegokolwiek auta. Widać było tylko dorożki. Co prawda były

0 wiele porządniesze i czystsze niż te, które, rzadko co prawda, widywała czasem na ulicach Warszawy. Teraz jechali nimi eleganccy panowie

1 wytwornie ubrane panie. Ale przecież jazda dorożką na pewno będzie trwała bardzo długo, bo dorożka jedzie tak wolno! Zaraz, a gdyby po prostu zatelefonować do domu? Nigdzie co prawda nie widać budek telefonicznych, ale chyba gdzieś w pobliżu jest jakiś urząd pocztowy z automatem telefonicznym. Albo może pozwolą jej zatelefonować z jakiegoś sklepu. No tak, budek nigdzie nie widać. A mówiło się, że na wszystkich ulicach stolicy już zainstalowano automaty! Co za łgarstwo! Trzeba będzie wobec tego wejść do jakiegoś sklepu. O, tu jest apteka. Apteka powinna mieć telefon. Ale swoją drogą ładne porządki panują w aptekach

— jegomość za ladą bez białego fartucha. I to ma być higiena!

— Dzień dobry! Proszę pana, czy u państwa jest telefon?

— Przepraszam, nie zrozumiałem — odpowiedział grzecznie pan za ladą— czego panienka sobie życzy?

— Chciałabym zatelefonować. Czy jest u państwa aparat? Bardzo proszę pozwolić mi z niego skorzystać!

— Eee, panienko, co to za żarty! — oburzył się farmaceuta za ladą.

— Prima aprilis już był!

— Może jest pijana! — zawołał ktoś z obecnych w aptece klientów.

— Może biedna obłąkana — pisnęła jakaś paniusia.

— Lekarza! — zawołał ktoś inny.

— Biedne dziecko — litowała się jakaś starsza kobieta. — Trzeba dowiedzieć się, gdzie mieszka!

— Nie rozumiem, o co chodzi? — wyjąkała Anda, widząc gromadzące się wokoło niej osoby —ja przecież tylko chciałam zatelefonować.

— Zatelefonować, ha, ha! Słyszeliście państwo? Zatelefonować! — zaśmiał się jakiś młodzieniec z wąsikami i małą, rudą bródką w szpic.

82

— Nie są to rzeczy śmiech wywołujące — zgromił go zaraz jakiś pan iowymi bokobrodami. — Dziecię to zdradza niechybne pomieszanie

umysłu i zająć się nią trzeba, wszelako dla lekarza ciekawy obiekt przed-itawiać może. Skądże do młodocianego, dziewczęcego umysłu trafić mogła idea tak śmiałego wynalazku, jakim jest telefon?

— Ależ proszę pana, ja wcale nie mam żadnego pomieszania umy-ih! Czy pan nigdy nie widział telefonu? — denerwowała się Anda. — (Ióż to za żarty?

Tak, sytuacja wyglądała niewesoło. Obecni w aptece otoczyli ją, kiwając z politowaniem głowami. Może nawet mieli ochotę zatrzymać młodą osobę, która opowiadała tak dziwne rzeczy i zachowywała się równie dziwnie. W dodatku miała nie zapięte buciki! — Być może, uciekła ze szpitala obłąkanych — mówili niektórzy.

Naraz drzwi apteki otworzyły się z trzaskiem i wpadła przez nie jakaś bardzo zaaferowana osoba w czarnym szalu na głowie. Nie zważając na zbiegowisko, zdyszany głosem poprosiła pana aptekarza o jakieś krople:

— Może walerianę albo może konwaliowe. Bo to dla kogoś, kto zachorował na serce.

— Już, już daję — powiedział niechętnie aptekarz. Szkoda mu było porzucać interesującą awanturę z młodą osobką opowiadającą tak ucie-szne historie. Już wyobrażał sobie, jak to wieczorem, po kolacji, grając w bezika, opowie kolegom o tym niezwykłym wydarzeniu.

— Prędzej, proszę pana aptekarza — ponaglała tymczasem przybyła

— moja pani zachorowała!

— Jak to? Pani inżynierowa Szemiotowa zachorowała? — zdziwił się aptekarz. — Przecież jeszcze dzisiaj rano widziałem ją idącą ulicą w najlepszym zdrowiu. Właśnie pomyślałem...

Ale nie było mu danym dokończyć tego zdania, gdyż owa młoda, dziwacznie ubrana i równie dziwacznie się zachowująca osobka wydała nagle przeraźliwy okrzyk:

— Genowefciu! To ja! Co się stało mamie?!

— W imię Ojca i Syna — przeżegnała się swoim zwyczajem Geno-wefcia. — To panienka żyje?! Chwała Bogu Najwyższemu!

— Ja tak naprawdę to już nie wiem, czy żyję, czy nie, Genowefciu

— wyznała dziwnie ubrana istota, rzucając się w obszerne i życzliwe

83

wyciągnięte ramiona Genowefci. — Ale powiedz natychmiast, co jest mamie?

— Najpierw zemdlą, a potem dostała chyba ataku sercowego, kiedy dowiedziała się, że ten Kuba Rozpruwacz zabił albo ukradł panienkę.

— Jaką znów panienkę zabił ten Kuba czy jak mu tam? Kto kogo ukradł?

— O święta Genowefo! Patronko moja! Toć przecież mówię wyraźnie, że powiedzieli, że panienkę zamordował i ukradł jakiś okropny bandyta. Jakoś go tak nazywają: Kuba Rozpruwacz czy jak tam.

— Ale którą panienkę, nic nie rozumiem.

— No, panienkę, panienkę Anusię. Podobnie wkrał się na pensję i zabił. A pani przełożona to potem okropnie rozpaczła, że podobnie była dla panienki niedobra, i miała wyrzuty sumienia, i już była bliska utraty zmysłów.

— No, aleja przecież żyję, Genowefciu!

— Chwała Bogu, chwała Bogu, kwiatuszkus ty mój — zaszlochała Genowefcia. I odzyskując zaraz zwykłą swoją energię zakrzyknęła gromko w stronę zdumionego aptekarza:

— No, daje pan to lekarstwo czy nie? Mówiłam przecież, że pani chora!

— Chodźmy prędzej do domu, do domu, Genowefciu — jęknęła Anda. — Upadam ze zmęczenia.

— Robaczkus mój — szepnęła teraz z kolei Genowefcia — już idziemy, już idziemy.

— Jak to dobrze, że przyszłaś — cieszyła się Anda. — Wyobraź sobie, jaką miałam idiotyczną przygodę. Otóż chciałam zatelefonować do domu, żebyście się nie niepokoiili.

— No pewnie, żeśmy się niepokoiili. Jeszcze jak. Jakieś panie mówiły, że nawet widziały tego bandytę, co porwał panienkę. Podobnie zjeżdżał po poręczu w damskim przebraniu i okropnie gwizdał! A ta dama klasowa była okropnie roztrzęsiona. Oddała mi tylko kapelusik panienki, trochę pognieciony, i łzami się zalewała. Ale dlaczego to panienka bez kapelusika chodzi, co? Oj, żeby tego aby nasza pani nie zauważyła. Może panienka lepiej włoży, co? Bo znów będzie awantura!

— Niech będzie kapelusik — zgodziła się Anda, wdziękając tył na przód i trochę na bakier swoje ukwiecone nakrycie głowy. — Jestem pie-

kielnie głodna, Genowefciu, mam nadzieję, że na obiad będzie coś dobrego!

— Pyszności, panienko Anusiu—potwierdziła z entuzjazmem te przypuszczenia Genowefcia — ma być barszczyk z uszkami i mózdzek w kokilkach, a potem rostbef w śmietanie. A na deser tylko kompot, bo ze względu na tych gości, to kucharka nie miała czasu nic innego przygotować. Ale ciasto do herbaty to naturalnie jest takie, jak panienka lubi, z kruszonką.

— Ze względu na jakich gości? — zdumiała się Anda — to znaczy, że dziś na obiedzie będą goście, jeśli jest taki pyszny i odświętny obiad?

— E, jaki tam odświętny — wzruszyła ramionami z pogardą Genowefcia — właśnie przecież mówię, że ze względu na tych gości, co mają być wieczorem, to kucharka nie miała czasu zrobić nic lepszego na deser. A jacy znów goście mają być wieczorem — chciała zapytać Anda, ale Genowefcia zatrzymała się akurat przed znanymi Andzie od wczoraj ciemnymi dębowymi drzwiami i powiedziała: — Nie trzeba dzwonić, panienko, ja mam klucz!

84

Rozdział siódmy

Kiedy Anda, umyta już, uczesana na nowo i przebrana dzięki zręcznej pomocy Genowefci w jakąś znów bardzo zabawną długą, niebieską sukienkę, z sutą spódniczką przyozdobioną mnóstwem plisowanych falbanek i żółtych aksamitek, stanęła na progu ponurego pokoju, nazwanego przez Genowefcię jadalnią, zauważyła, że przy długim, nakrytym olśniewająco białym obrusem stole siedzi już kilka osób. Zatrzymała się, niepewna, jak ma się zachować dalej. Nie ulegało wątpliwości, że oto jej rodzina w wiosenny dzień 1880 roku zasiada do obiadu, a ona, Anda, ma zająć miejsce wśród nich. Przysięgła więc sobie, że będzie się starała zachowywać możliwie jak najlepiej i jak najbardziej dostosować do zwyczajów tej dziwacznej i zabawnej epoki, w której dzięki niej znalazła się cała rodzina. To było pociechą, że nie posiadając świadomości tej zmiany, jaka zaistniała, zdawali się być zupełnie zadowoleni z siebie. Kochani! Chociaż tak dziwnie ubrani i tak zabawnie przemawiający — przecież to są ci sami, zawsze najlepsi, jedyni na świecie tatko i mama! O, biedna mama, siedzi przy stole, taka blada. To z tego zmartwienia o Andę. Ale co tym babkom w szkole przyszło do głowy, żeby opowiadać historię o bandycie? Mniejsza zresztą o to. A więc mama — w ślicznej sukni koloru bzu. Szkoda, że mama chociaż trochę nie pomalowała warg. Ale nie wiadomo czemu nie można nawet o tym wspomnieć. Co prawda, dziwna rzecz — wszystkie panie na ulicy były nie umalowane. Mimo to wyglądały nawet zupełnie świeżo. A może tak się malują, że tego nie znać? Albo może sto

86

lat temu kobiety miały tak ładną cerę, że nie musiały używać szminki? Ale to nie jest najważniejsze. Mama patrzy teraz na Andę i uśmiecha się do niej. Dzięki Bogu — już wszystko jest dobrze. A tatko? Tatko ma raczej srogą miną. A może ten zarost dodaje mu srogości? I postarza go, oczywiście, że postarza. Trzeba będzie z tatkiem o tym pogadać, żeby jednak ogo-hl się. Zupełnie inaczej wtedy wygląda. O dwadzieścia lat młodziej. A obok tatka siedzi Ewita. Ho, ho! Ależ wypiękniona! Włosy ma uczesane w loki. Trochę upięte są do góry, a trochę loków spada na ramiona. Nawet jej do twarzy w tej żółto-zielonej sukience przybranej niebieskimi kokardami. Śmieszne zestawienie kolorów! Ale nawet ładne. Zaraz, a któż to siedzi obok Ewity? Jakiś młody człowiek. Ostrzyżony krótko i w mundurze ze srebrnymi guzikami. Koło niego jest wolne miejsce...

— Siadaj, córeczko — mówi mama, wskazując ręką to właśnie puste krzesło.

Anda powoli podchodzi do tego krzesła. Jest to ciężkie krzesło z wysokim oparciem — młodzieniec, który siedzi obok, podrywa się i pomaga Andzie odsunąć je.

— Siadaj, droga siostrzyczko — mówi uprzejmie.

Anda ze zdumieniem i przerażeniem spogląda na młodzieńca — zaraz, zaraz, to przecież jest Zbyszek. Szalenie zmienia go ten mundur. Co to może być za mundur? Trzeba będzie spytać przy okazji. Najlepiej Genowefci, bo ona co prawda zaraz się ogromnie wszystkiemu dziwi, ale nie robi z tego takich historii jak Ewita i nie dostaje migreny, tak jak biedna mama. Właściwie chodzi o to, że wszyscy ciągle myślą, że Anda jest chora i dlatego opowiada takie dziwne rzeczy. To znaczy te rzeczy z tamtej rzeczywistości, których oni oczywiście nie mogą zrozumieć, i kładą to wszystko na karb wstrząsu nerwowego, który Anda miała, według słów ciotki Eleonory, przejść po tym też zmyślonym wypadku na łódce w Łazienkach. Dlatego więc ta cała dzisiejsza historia w szkole poszła na rachunek braku równowagi nerwowej wywołanej wypadkiem. Nie żeby Anda miała być uważana za taką zupełnie pomyloną. Nie, tak źle nie jest. Tylko że ma coś w rodzaju zaniku pamięci. Właściwie to nawet jest wygodne. Tylko aby to wszystko w ogóle nie za długo trwało. Tak, zegar właściwie jest odnaleziony. To już coś jest. Teraz trzeba będzie zastanowić się, jak działać dalej.

— Czy mogę ci służyć, Anusiu, chlebem? — pyta naraz Zbyszek w dziwnym mundurze.

87

Anda drgnęła. Pytanie wyrwało ją z zamyślenia, ale zdawało się jej, że nie rozumiała go.

— Czy mogę ci służyć chlebem? — powtórzył więc niezmiennie grzecznie Zbyszek.

Spojrzała na niego uważnie, niezupełnie pewna, jak ma się zachować. Właściwie wyglądało to na jakieś bezczelne kpiny, które zawsze zresztą Zbyszek uprawiał w stosunku do niej. Ale zaraz... nie, on naprawdę jest taki uprzejmy... Aż się wierzyć nie chce, że to Zbyszek.

— Dziękuję, to znaczy proszę — odpowiedziała wobec tego i wzięła kawałek podanego jej pieczywa. Jednocześnie zdołała zauważyć, że zarówno talerze, jak i łyżka oraz nóż i widelec są zupełnie inne niż te, których używano w domu na Rakowieckiej. Wygląda to na porcelanę i srebro, a w dodatku wszystko opatrzone jest monogramami. — Aha, to widać jest taka moda z osiemdziesiątych lat — pomyślała Anda. Nie była przy tym pewna, do czego mają służyć umieszczone przy każdym nakryciu, duże, białe serwetki z tej samej tkaniny co obrus. Ale już po chwili zauważyła, że wszyscy kładą je sobie na kolana. Poszła więc za ich przykładem i nawet spodobało się jej to — przynajmniej nie ma obawy, że splami się jedwabną suknią.

— Ale czemu Genowefcia nie podaje jeszcze zupy? — przerwała ogólne milczenie Ewita.

— Masz rację, dziecię moje, musimy pospieszniej dziś skończyć obiad, wobec tego, że oczekujemy gości — zgodziła się mama i ująwszy stojący przy jej nakryciu srebrny dzwonek, poruszyła nim kilkakrotnie. Na jego delikatny, srebrzysty dźwięk w otwartych drzwiach ukazała się Genowefcia. Miała na sobie świeży biały fartuszek z falbaną i na

głowie również biały czepeczek. Przed sobą dźwigała oburącz wielką, srebrną tacę, na której stała waza z dymiącą zupą.

Podczas kiedy Genowefcia, poczynając od mamy, podchodziła do wszystkich kolejno i nalewała wonny, apetycznie wyglądający barszczyk, Zbyszek przyciszonym głosem zrobił uwagę, iż za granicą coraz częściej podobno spotyka się zastosowanie dzwonków elektrycznych.

— Ach! — mama skrzywiła się lekko — obawiam się, moje dziecko, że dzwonki te. są niezmiernie hałaśliwe. Nie jestem zresztą zbyt wielką zwolenniczką tych wszystkich modnych nowości, którymi pewne osoby się zachwycają.

88

— Wszelako, droga Wando — podjął tatko — postęp ludzkości idzie w kierunku stosowania w życiu niektórych odkryć. Czy wiecie, że być może za jakiś czas mieszkania będą oświetlone elektrycznością?

— Dziwne wydawałoby mi się takie oświetlenie w domu — Ewita potrząsnęła swoją misternie uczesaną główką. — Zdawałoby mi się, że brak jest takiemu mieszkaniu tego ciepła i przytulności, jakie dają lampy i drgające płomyki świec.

Anda słuchała osłupiała. Jak to? Dzwonek elektryczny? Światło? Aż podskoczyła na krześle:

— Ależ, co ty opowiadasz, Ewito! Już za siedemdziesiąt lat wszystko będzie u nas zelektryfikowane. Nawet na wsi będzie światło elektryczne! Ojej, nie mogę słuchać, kiedy opowiadasz takie rzeczy! Wy nic nie wiecie, aleja wiem...

Dalszy ciąg potoku jej słów przerwał surowo tym razem brzmiący głos mamy:

— Anusiu! Nie pojmuję, co się z tobą dzieje, dziecko drogie. Nie poznaję wprost ciebie! Jak możesz, nie pytana przez nikogo ze starszych, zabierać głos? Martwisz mnie ogromnie twoim zachowaniem.

— Ale ja chciałam tylko, mamusiu...

— Zamilknij, Anusiu, czy nie widzisz, że gniewasz twego drogiego ojca?

— Nie rozumiem, dlaczego tatko ma się na mnie gniewać, przecież ja wiem, co mówię.

— Dość tego, córko moja — rzekł ze smutkiem tatko — ekstrawaganckie pomysły opanowały twój młody umysł. Nie przeczę, że magnetyzm oraz elektryczność mają przed sobą wielką przyszłość, ale obawiam się, że jakaś widać zbyt fantastyczna lektura zły wpływ wywarła na twój młody mózg. Nawet sam pan Verne nie posuwa się tak daleko, jak mi się /daje, w swych niezmiernie oryginalnych pomysłach!...

Oczywiście, że oni nie mają pojęcia o całym postępie technicznym - pomyślała Anda. — Oni tkwią w tej starej epoce i wszystko wydaje im się takie ekstrawaganckie, jak mówią. A swoją drogą to strasznie śmieszne i dziwne uczucie rozmawiać z ludźmi, którzy nic nie wiedzą o tym, jak świat może wyglądać kilkadziesiąt lat później. Mój Boże, nawet tatko, taki mądry i też nie potrafi sobie wyobrazić, jak technika pójdzie naprzód. Zabawne, że ja w tej chwili jestem właściwie mądrzejsza od

ni

89

nich wszystkich dzięki tej świadomości, którą zachowałam. Nie pozostaje mi jednak nic innego, jak tylko nie wrywać się z takimi rozmówkami, bo to do niczego nie prowadzi. Rozdrażni tylko niepotrzebnie biedną mamę. Naprawdę tak mizernie i blado wygląda. Po prostu muszę starać się możliwie przystosować do warunków epoki.

Nie było to wcale łatwe, o nie. Tyle rzeczy wyglądało zupełnie inaczej w tym cofniętym czasie. Nawet te sprawy pozornie zupełnie proste i zwyczajne były odmienione. Na przykład trudno było pogodzić się z tym, że nie było radia i telewizji. Ale o tej sprawie w ogóle nawet nie można było z nikim mówić, bo zaraz rodzice i Ewita, i Zbyszek zaczęliby spoglądać na siebie i robić różne miny — że niby Anda jest tak niezupełnie w porządku z umysłem. I dlatego Anda, siedząc przy obiedzie, wobec otrzymanej nagany spuszcza głowę i już siedzi teraz jak trusia. Tak, tak, nie ma innej rady. Trzeba być panienką z roku 1880!

Jedną z nielicznych pociech w tej całej historii jest fakt, że jedzenie jest o wiele lepsze niż w czasach Rakowieckiej. Nie ma nawet porównania. Taki na przykład barszcz z uszkami! Przepyszny! A teraz Genowefcia przyniosła coś niezmiernie dziwnego. Oto kładzie na talerzu przed każdym muszlę! Ależ tak, i to takie duże muszle. Nie wiadomo tylko, czy są prawdziwe, czy też są może z porcelany. I nikt się nie dziwi tym muszłom. Przeciwnie, wszyscy mają bardzo zadowolone miny. W tych muszelkach coś jest zapieczone. Ale co? Zbyszek zabiera się do tego z ogromnym apetytem. Małym widelcem wydobywa zawartość muszelki. Aha, tatko też zajada, aż mu się uszy trzęsą. Genowefcia nachyla się nad Andą i szepce demonicznie:

— Pyszne są te mózdzki w kokilkach, proszę jeść, panienko.

Mózdzki w kokilkach! Strasznie śmiesznie to się nazywa, ale rzeczywiście, że zupełnie niczego, zupełnie niczego. Szkoda, że nie ma więcej, ale pewnie nie wypada się upominać. W tej epoce bardzo dużo rzeczy nie wypada robić. Wszyscy zjedli, chyba więc będzie się wstawać od stołu. Ale co to? Genowefcia zmienia znów talerze, biegnie do kuchni i przynosi na półmisku jakąś pieczeń i jarzynki w salaterkach. Ho, ho! Tatko nałożył sobie zupełnie niezłą porcję. Ewita również. A potem będzie jęczeć, że jej ciasno w gorsecie. Oczywiście! Widać mama musiała jej o tym dyskretnie przypomnieć, gdyż Ewita, aczkolwiek niechętnie, ale zrezygnowała z drugiego plasterka mięsa. Anda też, niestety, musi się ograni-

90

A

czać. Ten ohydny pancerz ściska człowieka i ogranicza jego możliwości odżywiania się. Potworne. Tatko tymczasem chwali kucharkę — prosi (icnowefcię, aby powtórzyła tej zacnej Katarzynie, że rostbef był szczególnie udany. Aha,

więc takie mięso to jest rostbef. Co prawda zdaje się, że na Rakowieckiej Genowefcia też robiła coś, co się podobnie nazywało, tylko że smakowało nieco inaczej. Nie było do tego takiego pysznego sosu śmietanowego.

Genowefcia sprząta teraz ze stołu talerze, a mama rozmawia z tatkiem o wizycie, której oczekują.

— Zaraz po skończeniu obiadu — mówi mama — przejdę jeszcze do salonu i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. A Zbyszek ma, jak mi się zdaje, jeszcze lekcje do odrabiania.

Zbyszek smętnie kiwa głową i szybko teraz zjada pyszny kompot. Potem siedzi i czeka na coś, wpatrując się w rodziców. Aha, on czeka, dopóki mama nie da znaku, że można wstawać od stołu. Wreszcie mama czyni ruch, jakby miała zamiar podnieść się z krzesła. Wobec tego Zbyszek zrywa się, wsuwa swoje krzesło na miejsce, mówi najpierw wszystkim „dziękuję”, a potem jeszcze raz dziękuje za obiad całując w rękę mamę i tatka. Tak, tatko gładzi go po głowie i zaleca, aby starannie przygotował zadania. Teraz z kolei wstaje Ewita, ona również całuje mamę w rękę, a potem — potem całuje w rękę ojca! A tatko nic na to nie mówi, wcale nie protestuje! Tak widać musi być w tych czasach. A przecież w czasach ulicy Rakowieckiej nie byłoby mowy o czymś podobnym. Przeciwnie, to tatko w jakichś uroczystych momentach — jak na przykład przy składaniu życzeń imieninowych lub noworocznych — całował w rękę Ewitę.

Ha, czasy okropnie się zmieniają — myśli filozoficznie Anda, nie orientując się w pierwszej chwili, że powinna pójść w ślady rodzeństwa. Ale mama przypomina jej o tym delikatnie:

— Cóż to nasza Anusia taka zadumana?

— Ach, nic, nic, mamó — mówi wobec tego szybko Anda i niezgrabnie podchodzi do mamy i do ojca, aby wykonać rytuał dziękczynnego pocałunku. Teraz jeszcze tatko dziękuje mamie i obiad jest skończony. Genowefcia zabiera się do sprzątania białego obrusa.

— Pomogę ci, Genowefciu — ofiarowuje się Anda. Ma jednocześnie nadzieję, że zdoła rozpytać Genowefcię o różne sprawy. Na przykład o tych gości, którzy mają przyjechać. Trzeba oczywiście jakoś zręcznie naprowadzić

91

rozmowę na ten temat. Mama z Ewitą idą tymczasem do salonu. Anda nie wie jeszcze, gdzie jest ten salon, ale ma nadzieję, że jakoś tam trafi. Swoją drogą — sześć pokoi, salon! Oto warunki mieszkaniowe! Tak, to jest dobra strona epoki. A może ze względu na to mieszkanie warto by na zawsze pozostać w latach osiemdziesiątych? E, chyba nie. Bez elektryczności, bez radia, bez telefonu! Nie, nie. I w tych śmiesznych, niewygodnych kieckach! A co byłoby z pływaniem? Mieszkanie co prawda rzecz niezmiernie ważna. W tym wypadku byłoby to oczywiście już sprawą poświęcenia się Andy dla szczęścia rodziny. Na Rakowieckiej są tylko trzy pokoje. No, ale za to jest centralne i łazienka! A to też coś warte. Gdyby tak można było z kimś się naradzić, ale z kim? Przecież nikt nie zrozumie całej dziwacznej historii i w ogóle szkoda gadania. Więc na razie należy się spokojnie rozejrzeć. A swoją drogą zabawne to też jest od czasu do czasu. Więc teraz trzeba pogadać trochę z Genowefcią.

— Genowefciu!

— A co, panienko? Panienka czegoś potrzebuje?

— Nie, nie. Tylko chciałam się dowiedzieć, kto do nas ma dziś przyjechać z wizytą. To jacyś przyjemni ludzie?

— Rany boskie! To panienka nie wie? Toż przecież dziś do nas przychodzi pan mecenas Kępski. A jakże! Z uroczystą wizytą przychodzi!

— Co? Stara Kępa? To po co z tego robi się takie wielkie hece i tajemnice, i uroczystości!

— Jakże można tak mówić, panienko Anusiu! Dopiero by się nasza pani okropnie gniewała, gdyby usłyszała, co panienka mówi. Jakże! Pan mecenas piękne kwiaty dziś przysłał, stoją w salonie, a jakże, proszę zobaczyć.

Bładoróżowe. Proszę zauważyć, bładoróżowe.

— No to co, że bładoróżowe?

— Jak to co? To znaczy, że tak po pańsku i delikatnie daje poznać, że jak to się mówi... zaraz, aha, uwielbia nasza panienkę Ewunię. A do tego zielone wstążki. A zielony kolor, to panienka chyba wie, co znaczy?

— Zielony? Zielony? Aha, wiem — to jest kolor sztandaru Związku Młodzieży Wiejskiej. Ale co mecenas ma do młodzieży...?

— Święta Genowefo! — Genowefcią załamuje ręce najbardziej tragicznym ruchem, na jaki może się zdobyć. — Święta Genowefo! Co też panienka opowiada. Jaka młodzież wiejska? Zielony to jest kolor nadziei. Rozumie panienka?

92

— Nic nie rozumiem...

Genowefcią spogląda z niedowierzaniem.

— To przecież on przez to chciał dać poznać, że ma nadzieję, że panna Ewunia mu nie odmówi-

— A czego ma nie odmówić? Aha, już wiem, już wiem. Pewnie będzie ją jak zawsze nudził o bilety do teatru. On zawsze sobie wyobraża, że Ewita ma masę biletów ulgowych do rozdania. Tylko nie wiem, czy mu się opłaci przysyłać te kwiaty!...

— Jakie bilety? Jakie bilety?! Nie o żadne bilety mu chodzi. Owszem, bilety to on sam przysyła. Przecież niedawno przysłał bilety, jak występowała jakaś tam cudzoziemska śpiewaczka. A jakże, bardzo elegancko się wtedy znalazł. Nie o bilety mu teraz chodzi.

— Więc co, u licha, gadaj wyraźnie, Genowefciu, co ta Kępa znów knuje?

— Nic nie knuje, tylko chce się oświadczyć! No, co panienka robi taką minę? Przecież wszyscy wiedzą, że on jest starający.

— Co jest?

— Starający. Że stara się o pannę Ewunię. W całej kamienicy to wiedzą. I w kwaciarni już też się połapali. I właśnie przez ten zielony kolor chciał wyrazić nadzieję, że nasza panienka Ewunia nie odmówi mu swej rączki.

— Co? — Anda aż podskoczyła — to on chce się żenić z Ewą? Taki dziadyga? On już chyba ma ze czterdzieści pięć lat.

— E, jeszcze się dobrze trzyma, panienko. Taki starszy to dobry na męża. Stateczny. A pan mecenas dobra partia, mówią. I podobnież bogaty! Ma kamienicę na Wierzbowej! Ładna kamienica. A drugą mniejszą na Podwalu. Porządna, owszem, chodziłam przez ciekawość oglądać. Nasza panienka miałaby się dobrze za nim. I powóz podobnież zamierza kupić, jak się ożeni.

— No dobrze, a Ewita?

— Niech panienka nie przeinacza tak imienia starszej panienki, bo nawet słyszałam, że nasz pan się o to trochę gniewał, tylko nasza pani go uspokajała, że to panienka po tym wypadku w łazienkach jeszcze trochę słaba, więc żeby dał spokój -

— Jak to? — zdenerwowała się teraz na dobre Anda — przecież tatko też tak na nią woła, to znaczy wołał na Rakowieckiej... Nie, ty nic nie zrozumiesz z tego, Genowefciu, ale ja nie potrafię wołać na nią inaczej.

93

Może jakoś przywyknę do tego, zresztą mniejsza o to. Najważniejsze jest, co o tym wszystkim myśli Ewita. To znaczy, czy naprawdę miałaby zamiar wyjść za Kępę?

— Oj, panienko, tak jej wszyscy doradzają. Mówią, że to doskonała partia, że panna Ewusia będzie we wszystkim opływać.

— Opływać, opływać... To znaczy, że ona już nie chce być aktorką?

— Tsss — Genowefcia przyłożyła palec do ust. — Jak panienka może nawet takie słowo wymawiać. Nasza panienka aktorką? Nigdy jej to na pewno w głowie nie powstało.

— A Dorosz? Przecież ona kocha się w tym idiocie Doroszu...

— Tsss — syknęła powtórnie Genowefcia. Otworzyła teraz szufladę w dużym, rzeźbionym kredensie z ciemnego drzewa i wyjęła stamtąd łyżeczki do herbaty. Były to śliczne łyżeczki z rzeźbionymi w kwiaty trzonkami. — Proszę je wycierać, panienko — i dała Andzie miękką flanelową ściereczkę.

— Chętnie ci pomogę, Genowefciu — oświadczyła skwapliwie Anda — wytrę te łyżeczki i może j jeszcze coś masz do roboty? — to pomaganie było przecież jedyną szansą dowiedzenia się tak interesujących historii rodzinnych. — No więc co z Doroszem?

— E, panienka żartuje, czy co? Przecież pan Dorosz, owszem przystojny, młodziutki taki. Ale co on przedstawia sobą? Studencina, przymierający głodem. Szynela to nie ma porządnego.

— Czego nie ma?

— Szynela, przecież mówię.

— A co to jest szynel?

— Jezus Maria! Panienko Anusiu, proszę przestać takie figle stroić i udawać, że panienka nie rozumie, że szynel to jest paltot, tylko że mundurowy.

— Mundurowy? A właśnie. Co to znów za mundury? Zbyszek w mundurze. Dorosz też, jak mówisz, w mundurze chodzi. Ach, prawda, tatko kiedyś opowiadał, że dziadek, kiedy chodził do gimnazjum, jeszcze bardzo dawno, to musiał nosić mundur, i że studenci też nosili mundury. Więc to dlatego... Ale jazda dalej. Więc mówiłaś, Genowefciu

— podjęła słodko Anda — że ten Dorosz taki biedny?

— No pewnie! A za cóż by żonę utrzymywał? Pokoik ma jakiś na trzeciaku, kawalerkę...

94

— Co ty mówisz? — ucieszyła się Anda. — To już wreszcie ma kawalerkę? To przecież mógłby się żenić. Ewita zawsze mówiła, że mogliby się pobrać, gdyby nie brak mieszkania!

— Tak mówiła? — Genowefcia nic posiadała się teraz ze zdumienia. — E, chyba nie! Jakże by ona wyszła za mąż do jednego pokoju! Ona by nawet, jak ją znam, i do trzech pokoi z kuchnią nie poszła. Nie, ona chciałaby być panią całą gębą. I poza tym rodzice nie daliby pozwolenia. Też przecież dbają o los swojego dziecka, nie? A panna Ewa jest ładna i zgrabna, i utalentowana, to może nie wiem jak wyjść.

— No dobrze, a kto jeszcze ma przyjść oprócz tej starej Kępy?

— Jeszcze pani Olszewska. I panna Agata, i państwo Maderowie. I jeszcze kilka innych osób.

— Olszewska? To fajno! No, nareszcie jakieś przyzwoite towarzystwo! Ale po co ta Maderowa, ta idiotyczna rozparcelowana hrabina!

— Jakże? Przecież ona najwięcej swata pana mecenas z naszą panienką. A rozparcelowana ona żadna nie jest! Skapa kobieta i już, ale żeby takie jakieś rzeczy, to nie, proszę panienki. Wieś ma podobnież za Mińskiem! I też ma panu Kępskiemu zapisać, bo bezdietna! Aha, już panienka wytarła te łyżeczki? To jeszcze proszę cukiernicę postawić przy samowarze.

— Przy czym?

— Przy samowarze! O tam, panienko, na stoliczku, przy serwantce.

— Ach, więc mamy słynny samowar! — ucieszyła się Anda. — A co poda się gościom?

— Kucharka upiekła wspaniałe ciasteczka. Kruche. Tylko, broń Boże, proszę mnie nie zdradzić.

— Jak to nie zdradzić?

— Bo będzie się mówiło, że piekła je panna Ewunia. Żeby wyglądało, że ona taka gospodarna i ma talenty domowe. Bo to zawsze ładnie, kiedy młoda panienka jest gospodarna. Nasza panienka Ewunia naturalnie też by potrafiła upiec, tylko że musiała dziś jeszcze iść do krawcowej i lekcję fortepianu miała, i śpiewu. Toby nie zdążyła. A oprócz ciastek to jeszcze będą galaretki i konfitury, i marengi z kremem, no i herbata, którą sama pani zaparzy.

— A co to są marengi? — chciała się dowiedzieć Anda, ale naraz usłyszała głos mamy, rozbrzmiewający gdzieś w głębi mieszkania:

95

— Anusiu! Anusiu!

— Proszę iść do salonu, panienko, pani woła.

Idąc w kierunku głosu, Anda otworzyła półprzysłonięte zielonymi portierami drzwi w głębi jadalni i znalazła się w ogromnym, pięciookiennym pokoju. Ponieważ zaczynał już zapadać wieczorny zmierzch, Genowefcia wniosła najpierw jedną, a potem drugą lampę. Ustawiła je na dwóch stolikach w różnych krańcach salonu. Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie był salon. Naftowe lampy na wysokich, marmurowych, ozdobionych brązowymi ornamentami podstawach przesączały przez klosze z matowego, jasnozielonego szkła łagodne światło. Potem, po bliższym przyjrzeniu się, Anda zauważyła, że na kloszach namalowane są kolorowe ptaszki i kwiaty i że to wszystko jeszcze jest przyozdobione białymi, wypukłymi kropkami ze szkła. Ale na razie zwróciła uwagę na Ewitę, która wspinając się na palce zapalała świece w przymocowanych do ścian świecznikach, ozdobionych mieniącymi się kryształowymi wisiorkami. To nawet było ładne.

— Jeszcze zapal tylko ten ostatni kinkiet, Ewuniu — mówiła tymczasem mama — i idź poprawić nieco uczesanie. A przez ten czas Anusia zetrze kurz z fortepianu.

— Kiedy ja, proszę pani, dziś już dwa razy ten kurz ścierałam — zaprotestowała urażonym nieco tonem Genowefcia.

— Nigdy nie zaszkodzi wytrzeć po raz trzeci — powiedziała łagodząco mama — Genowefcia wie, jaka pani Maderowa jest spostrzegawcza. Zobaczysz najmniejszy pyłek, a potem w całym mieście będzie opowiadać, że u nas kurze nie starte!

To po co babsko tu przyłazi — chciała wtrącić swą uwagę Anda, ale na szczęście nie zdążyła, gdyż Genowefcia zwróciła jej uwagę na ogromny kosz bladoróżowych róż, ozdobionych zieloną wstążką.

— To te kwiaty, proszę patrzeć — szepnęła tak zwanym milowym szeptem.

Róże były rzeczywiście niezwykle piękne, wstążki aksamitne, szerokie, a wszystko jeszcze przybrane było dodatkowo koronkami. Po bliższym przyjrzeniu się Anda stwierdziła ze zdumieniem, że są to koronki papierowe.

— Ładne, co? — Genowefcia była wniebowzięta. Byłaby pewnie jeszcze coś powiedziała, gdyby nie to, że do salonu zajrzała Ewita, wołając, że Genowefcia jest potrzebna mamie.

96

Anda została w salonie sama. Rozglądała się ze zdumieniem po tym wielkim, pięciookiennym, narożnym pokoju. Oprócz fortepianu i dwóch ogromnych palm, które zajmowały jeden kąt pokoju, stały w nim dwa komplety mebli — jeden to była kanapka, dwa fotele i krzesła białe na wygiętych nogach, miejscami złożone, a pokryte jakimś materiałem jasnym, tkanym w deseń. A drugi komplet był znów z drzewa zupełnie popielatego. Zabawną, wydłużoną kanapkę i cztery foteliki pokrywał różowy jedwab. To było naprawdę ładne. I jeszcze między oknami stały lustra, takie wysokie, od podłogi aż do zdobionego rzeźbionymi, białymi kwiatami sufitu. A na środku leżał ogromny dywan. I firanki były śliczne, jakby z koronki, podpinane różowymi, jedwabnymi, bardzo grubymi sznurami z frędzlą. I takimi samymi różowymi sznurami podwiązane były aksamitne, popielate portiere w drzwiach.

— Niebrzydki jest ten nasz salon! — skonstatowała z zadowoleniem Anda — okropnie staroświecki, ale ładny.

Wygląda zupełnie jak w teatrze! Ach, i jakie śliczne lustro!

Dostrzegła je dopiero teraz — duże, owalne, w ramie z kolorowych porcelanowych kwiatów. Staneła przed nim zachwycona. Nie widziała jeszcze nic równie ładnego. Lustro zaraz przypomniało jej porcelanowy zegar. Rozejrzała się więc uważnie, czy tu może nie znajdzie malowanego w kwiatki brzuchacza. Ale nie, ten zegar, który stał na marmurowym kominku, wspierał się na marmurowych kolumnkach i miał tarczę złocistą jak słońce. Zastanawiała się właśnie, czy gdyby przesunąć naprzód wskazówki tego zegara, to może dałoby to również jakiś efekt. Miała nawet ochotę spróbować, ale właśnie weszła mama. Niosła koronkową serwetkę. Rozkładając ją na gładkiej powierzchni fortepianu powiedziała:

— Dlaczego ludzie nie mają widzieć takich ślicznych rzeczy, które potrafi robić Ewunia. Alboż ta serwetka na konsolce też nie jest piękna? Ogromnie podobają mi się te wszystkie robótki z tiulu i z minardizy! A jak tam twoja robótko, Anusiu? Mam nadzieję, że znajdziesz dość czasu, aby wreszcie wyszyć te pantofle dla taty na imieniny.

Pantofle dla taty na imieniny?

Anda chciała powiedzieć, że pierwszy raz słyszy o czymś podobnym, ale w porę ugryzła się w język.

Najprawdopodobniej okaże się w najbliższej przyszłości, że istotnie miała robić coś takiego. Ale jak to się wyszywa?

Nigdy w życiu nie potrafiła wyszyć w ogóle czegokolwiek, a cóż

7 — Godzina pąsowej...

97

dopiero mówić o pantoflach! Ale może mama jakoś o tym zapomni. Mama już jest w innej sukni, widać włożyła ją z powodu oczekiwanej wizyty.

Ładnie jest mamie w tej wciętej, powłóczystej sukni z grubego jedwabiu w odcieniu szarobłękitnym. Tylko za dużo jest na tej sukni na-pchane, bo to i falbanki, i jedwabna frędzla, i szeroka aksamitka na dole spódnicy. No i żeby

mama chociaż trochę się podmalowała. Zaraz wyglądałaby inaczej. Ach, a jakie śliczne klipsy ma w uszach! Ogromne, ciemnofioletowe kamienie, otoczone drobnymi brylancikami.

— Śliczne masz klipsy, mamó.

— Co mam ślicznego?

— Śliczne masz te kolczyki — poprawia się Anda. Już zdążyła się zorientować, że widocznie klipsy są słowem nieznanym w epoce lamp naftowych i konnych dorożek.

— Ach, kolczyki — mama uśmiechnęła się — mówiłam wam już kiedyś, że dostałam je od mojej babki. To stary klejnot rodzinny. Otrzymasz je, gdy już będziesz dorosła. Masz ci los, muszę koniecznie zobaczyć, czy kucharka naszykowała marengi — przypomniała sobie naraz mama. — A ty, dziecię moje, wróć do swego pokoju i zajmij się nauką lub też robotką jaką.

— Ale przecież będą goście, mamó...

— Otóż lękam się, córko moja, iż umysł twój po wypadku owym w łazienkach nie odzyskał jeszcze właściwej równowagi...

— Aha, i boisz się, mamó, żebym nie palnęła znów jakiegoś głupstwa i nie zgorszyła gości, co?

— Rzeczywiście, takie obawy żywimy oboje z twoim ojcem.

— No to nie żywcie, mamusiu kochana! Zobaczysz, że będę niezmiernie grzeczna i rozsądna. A tak okropnie chciałabym przyjść do salonu.

— Zobaczmy jeszcze — w głosie mamy czuć było wahanie. — Ja tymczasem muszę udać się do kuchni.

W uchylonych drzwiach salonu ukazała się czerwona twarz Geno-wefci. — Proszę pani!

— Idę, już idę, moja droga Genowefo!

Rozdział ósmy

— Otóż i Anusia — powiedziała mama, kiedy Anda, wezwana przez (renowefcię, stanęła na progu salonu, w którym byli już zebrani goście.

- Pójdź, dziecię, i przywitaj się.

Ale kto to są ci wszyscy ludzie? — spojrzała z przerażeniem na nie znane jej osoby. Jacyś panowie, jakieś damy okropnie wyfiokowane. Ach, tam przy fortepianie siedzi Ewita, a przy niej jakiś tęgi pan łysawy i z bokobrodami. Rany boskie, toż to stary pocziwy wujcio Kępa. To znaczy stary mecenas Kępski. A jak ubrany! Coś prześmiesznego! I te I ego miny do Ewity. A Ewita! Spuszcza oczy i robi z siebie idiotkę. Zupełnie jakby grała w jakiejs sztuce Fredry. Dają słowo. No dobrze, ale najpierw trzeba przecież przywitać się z paniami. Jest ich dwie!... Takie trochę starsze — jedna okropnie tęga, w wiśniowej sukni z masą koronek. A we włosy uczesane do góry ma wpiętego jakiegoś ptaka oraz wstążki. Ta druga wygląda ładniej i sympatyczniej.

Nie ma rady, muszę walić najpierw do tej z kogutem na głowie. — Anda zbiera całą odwagę i rozpaczliwie rusza naprzód.

Na szczęście, w ostatniej chwili, przypomniała sobie ukłon, jakim dziewczęta na pensji pozdrawiały przełożoną, i znalazłszy się przed tęgą damą przykuca w zupełnie nieudanym reweransie.

— Jakież uroczne dziewczę! — woła dama, kiwając głową, wskutek czego pióro chwieje się gwałtownie. — I jaka już duża panienka!

Następnie dama wyciąga do Andy pulchną, upierścienioną i pobrę-

t

99

i

kującą licznymi bransoletami rękę, którą Anda ściska uprzejmie, przy-kucając powtórnie, co ma znów imitować ukłon. Jest najzupełniej zadowolona z siebie. No, chyba mama teraz nic nie będzie miała jej do zarzucenia. Ale cóż to? Mama nie wiadomo dlaczego ma ściągnięte brwi i lekko zagryza dolną wargę, co zawsze jest u niej wyrazem niezadowolenia.

— Rękę całuj, rękę — gniewnie szepce mama.

Jaką znów rękę? — myśli z rozpaczą Anda — nic nie rozumiem, o co mamie chodzi.

A gruba dama, w której dopiero teraz Anda poznaje panią Made-rową — tę rozparcelowaną hrabinę—jak ją nazywa Zbyszek — a gruba dama patrzy na Andę ponuro i lodowato! Co się stało, u licha? Pani Maderowa cedzi tymczasem przez zęby, zwracając się nie wiadomo do kogo:

— W niektórych domach wychowuje się młodzież w sposób, który chętnie mianuje się postępowym...

I wachluje się przy tym swoim małym wachlarzykiem, jakby jej było nie wiem jak gorąco, a potem odwraca głowę i już wcale nie patrzy na Andę.

Całe szczęście, że siedząca obok w fotelu jasnowłosa pani w ciemnozielonej sukni wygląda przyjemniej! Ależ to przecież jest pani Olszewska! Ależ tak, to ona! Oczywiście, że zmienia ją ta suknia i wyfioczone uczesanie, ale na to widać nie ma rady. Taka moda i już. Wszystkie babki wyfioczone w niemożliwy sposób, tyle że pani Olszewska nie ma żadnego ptaka na głowie, tylko jakiś dziwaczny, duży grzebień z błyszczącymi kulkami. Nawet to jest ładne. I jej też jest w tym ładnie. Anda znów przy-kuca w niezgrabnym ukłonie, ale pani Olszewska przyciąga ją do siebie i całuje w czoło.

— Rada cię widzę, Anusiu — mówi serdecznie — lubo dawno nas nie odwiedzałaś. Czyżbyś inne przekładała rozrywki nad ciszę naszego domu?

— Anusia ostatnio zapadała na zdrowiu — spiesźnie wyjaśnia mama — przeto jako rekonwalescentkę traktować ją należy...

Teraz jeszcze trzeba przywitać się z siwym, bardzo wąsatym panem, który wygląda jak odchudzony Dziadek Mróz albo Święty Mikołaj. Naprawdę brak mu tylko choinki i czerwonego płaszcza. Któż to znowu

100

i.iki!'. Mówi głosem pana Madera... może to jego ojciec? Bo przecież pan Mader nie jest taki stary. Pan Mader to jest taki sobie starszy pan, ale zawsze bardzo elegancki, starannie wygolony. Ale pani Maderowa mówi i li i lego Dziadka Mroza: drogi Kazimierzu, a przecież pan Mader ma na unię Kazimierz. A więc to on sam. No wiecie. Kto by powiedział! Anda hce go więc zapytać, co tam słyhać z jego autem, bo pan Mader jest .!apalonym automobilistą, ale w tej chwili przypomina sobie, że teraz, a tej epoce, nie ma przecież aut. A w dodatku mama zbliża się do niej i obydwie podchodzą do fortepianu, przy którym Ewita rozmawia z mecenasem Kępskim. Tylko czemu Kępa wpatruje się w Ewitę z taką cielecą miną? Ach, prawda, w tych odwróconych czasach mecenas chce się / nią żenić. Ale to nie ma najmniejszego sensu! Trzeba będzie mu ten pomysł wybić z głowy. Tylko trzeba będzie przeprowadzić to dyplomatycznie, aby staremu, kochanemu Kępie nie zrobić przykrości. Ależ on przecież zupełnie kretyńsko wygląda w roli nieprzytomnego wzdycha!

Że też Ewita nie pęknie ze śmiechu!

Nie, Ewita nie pęka ze śmiechu, tylko przegląda nuty słuchając słów mecenasa.

— Ach, panno Ewo, te róże, choć tak świeże, gasną w pani obecności...

Dlaczego on mówi do niej „panno Ewo”, kiedy dotychczas mówił do niej po imieniu? Przecież zna ją prawie od urodzenia. A mama? Mama, która jest, to znaczy była na Rakowieckiej, na ty z wujciem Kępą (wypili bruderszaft chyba ze dwanaście lat temu) teraz też zagaja niezmiernie uroczyście:

— Ania pragnie powitać pana mecenasa.

A na Rakowieckiej powiedziałyby po prostu:

— No co, stara baryło! Czy nie schudłeś czasem o pół kilo? Anda chce cię ucałować.

Tak się mówiło na Rakowieckiej. Ej, życie, życie. Anda zaś pocałowała by starą, przemiłą Kępę w łysinę. A teraz, wobec tych uroczystych min, nie ma odwagi odezwać się słoweczkiem. Może później, przy okazji, szepnie mu jakieś słówko przyjaźniejsze. Teraz — tylko znów się kłania. A wujcio Kępa ujmując delikatnie koniuszki jej palców i powiada:

101

— Witam, witam, panno Anusiu. A jak zdrowko?

— Świetnie, to znaczy chciałam powiedzieć, zupełnie dobrze — kończy Anda wobec groźnego spojrzenia mamy. I być może, że musiałyby wrócić do swojego pokoju, gdyby nie to, że do salonu weszli nowi goście i mama w swej długiej, szeleszczącej sukni popłynęła na ich przywitanie jak statek przez fale oceanu.

Ciekawa jestem, czy lepiej podoba się jej takie przyjmowanie gości jak teraz, w tym ogromniastym salonie z kanapkami, czy też wolałaby swoje kawy na Rakowieckiej, kiedy wszyscy goście gnieździli się jak popadło, na tapczanie, na dwóch fotelach i po prostu na podłodze i pili kawę oraz koktajle maminego pomysłu. Wszyscy byli „na ty” i zawsze było bardzo wesoło. A teraz, rany boskie — a to co znowu? Jakaś panusia w sukni tak szerokiej i wymarszczonej, że wygląda jak chodząca kanapa! Na tej tiurniurze, ozdobionej piętnastoma kokardami, to można by z tyłu postawić tacę z całym kompletem do czarnej kawy! A z damą jest panienka. Wygląda jak czupiradło! No pewnie, ktoś wkłada różową suknię z czerwonymi kokardami! I różę ma wpiętą we włosy. A jaka miniasta, że to niby taka piękna czy co? A pani Ma-derowa, ta z kogutem na głowie, od razu rzuca się do niej i zaczyna piskliwym głosem wykrzykiwać, że jeśli już panna Agata przyszła, to koniecznie powinna się dać uprosić i zaśpiewać. A ta kretyńska robi głupie miny i odpowiada, że nie jest przy głosie. Okropność. No, ale widać, że wyłazi ze skóry, żeby śpiewać, i już się pcha do fortepianu.

— Będziesz taka dobra, Anusiu, akompaniować pannie Agacie, prawda? — mama niby tak pyta. Ale od razu widać, że tu nie ma żadnego gadania i że trzeba będzie akompaniować temu staroświeckiemu ko-ciakowi. Zaraz, zaraz, jak ona się nazywa — Agata? Ależ oczywiście, że to jest Agata!

Tam, na Rakowieckiej, przychodziła czasem do Ewity, bo się z nią przyjaźniła. Niby to chciała być dziennikarką, niby interesowała się teatrem. Przez jakiś czas miała być reżyserem, ale, jak mówiła, nie poznali się na niej. Aktorką też nie mogła być, bo nie miała za grosz talentu i głosu. A teraz! Przyszła ze swoją mamą i ma śpiewać! To świetnie. Aż język człowieka swędzi, żeby coś przygadać. Przecież ona zupełnie nie ma głosu i słuchu!

102

— Kiedy ja naprawdę nie jestem dziś przy głosie — certuje się tymczasem Agata.

A pani Maderowa woła:

— Proszę zaśpiewać coś z „Halki”.

W tym miejscu zgłasza protest mama Agaty:

— Kiedy obawiam się, proszę drogiej pani, iż „Halka” nie jest zupełnie stosowna w swej treści dla młodej, niewinnej panienki.

— Ale „Gdyby rannym słonkiem” jest przecież chyba piosenką, którą może zaśpiewać każde młode dziewczę.

Podczas kiedy Agata próbuje swego głosu powtarzając: mi, mi, mi, Anda sadowi się na taborecie przy fortepianie.

Ewita podaje jej nuty i mruga porozumiewawczo, tak, naprawdę mruga nieznacznie. Droga, kochana Ewita. No, nareszcie zdobyła się na trochę dowcipu i poczucia humoru. Andzie zaraz jaśniej robi się na duszy. Dobra jest! Będzie akompaniować tej niebiańskiej kretyńce. Przynajmniej będzie jakaś zabawa, bo już zaczynało być nudno.

— Tylko proszę nie akompaniować zbyt szybko — poleca z okropnie ważną miną Agata. Tak, już jest gotowa do śpiewu. Oczywiście wzniosła do góry i czeka na pierwsze uderzenie.

Chcesz wolno, będziesz miała wolno — postanawia wobec tego Anda. I gra w tempie marsza żałobnego.

— O, gdybyyyyyy jaaa byyyła — zaczyna śpiewaczka, ale zaraz przerywa. — Nie, ja nie mogę, to jest zbyt wolno, moja panienko, proszę szybciej.

Dobrze, niech będzie szybciej.

— Ooo, gdybyyyym ja bbyyyyyyłaaa — zaczyna od początku ko-ciak z tiurniurą. Anda spogląda po twarzach obecnych. Mama i Ewita mają obłudnie spuszczone powieki. No pewnie, kto by dał radę słuchać czegoś podobnego i nie roześmiał się. Pani Olszewska dyskretnie kryje twarz za wachlarzem. Tylko mama Agaty i pani Maderowa mają wniebowzięty wyraz twarzy.

— Świeciłabym jaaaasno — skrzeczy tymczasem Agata.

Nie, to już jest ponad ludzkie siły. Trzeba to jakoś ukrócić. Ale jak? Ostatecznie, mimo przesuniętego czasu, mimo tej całej dziwacznej historii, Agata jest w tej chwili ich gościem. Co prawda na Rakowieckiej nigdy nie doszłoby do podobnych występów. Tolerowało się wygłupia-

103

nie Agaty i jej dziwaczne stroje, ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy produkować się. I to jako śpiewaczka. Swoją drogą, taki śpiewający kociak z 1880 roku to wręcz straszna rzecz. Uf, wreszcie skończyła. Słysząc brawa, no tak, to pani Maderowa. Przede wszystkim ona szaleje z zachwytem. Rety! A Agata ma zamiar bisować. Coś strasznego. Temu należy zapobiec za wszelką cenę. Tak, tak, Agata zastanawia się, czym jeszcze uraczyć zebranych. Trzeba więc działać szybko metodą zaskoczenia.

— A to pani zna? Może to pani zaśpiewa? — Anda jest w tej chwili najgrzeczniejszą i najskromniejszą ze wszystkich panienek w Warszawie. — Czy pozwoli pani, że poddam pani tę melodię?

Przebierając lekko palcami po klawiszach, zerka na Genowefcię, która wnosi do salonu wspaniałe srebrne patery z ciasteczkami i jakieś apetyczne cuda z kremem. Aha, to pewnie są te marengi, czy jak tam je nazywają. Warto by coś z tego przegryźć, tylko pierwszej trzeba skończyć z tą artystką nie z tej ziemi.

— Doprawdy, pani tego nie zna? — dziwi się Anda. — To śpiewają wszystkie panienki w naszej szkole. Szalenie modne.

— A jak się nazywa ta piosenka? — Agata jest wyraźnie zirytowana, że istnieje coś, czego ona nie zna. — Przy tym sądząc z akompaniamentu, przypomina, powiedziałabym nawet, muzykę lekką, a ja mam raczej repertuar poważny, odpowiedni dla młodego dziewczęcia.

— Kiedy to też jest niezmiernie odpowiednie. Proszę tylko posłuchać. To jest francuska piosenka.

— Och, francuska piosenka! — ucieszyła się naraz, nie wiadomo dlaczego, pani Maderowa. — Szalenie lubię francuskie piosenki. Byle oczywiście nie tego libertyna Berangera. Ale prosimy wobec tego o piosenkę francuską. Mama i Ewita wyglądają na nieco zakłopotane.

— Czyżbyś miała i nam zrobić niespodziankę? Nie wiedziałam, że uczysz się francuskiej piosenki — szepce Ewita.

— Pewnie, że to będzie niespodzianka. Teraz w ogóle są same niespodzianki — mruczy Anda. — A piosenka, jeśli kogo to interesuje, nazywa się „C'est si bon”. Pozwolisz, mamu, prawda?

Oczywiście, że na Rakowieckiej mama zawsze na to pozwalała. Zresztą wszyscy przyznawali, że Anda bezkonkurencyjnie parodiuje sły-

104

szane przez radio francuskie śpiewaczki. Sukces takiego popisu zawsze był murowany. Więc i teraz pełna otuchy przystąpiła do dzieła.

...c'est si bon

de parlar n'importe ou

bras dessus — bras dessous.

Ale co to? Nikt się nie śmieje? I wszyscy mają takie dziwne miny. Zwłaszcza panie. A ta pani, która jest mamą Agaty, powiedziała nawet głośno:

— To ohydna, bulwarowa piosenka! Ach, ach! Na cóż zostało narażone moje niewinne dziecko. Ach, mdleję!

I obejrawszy się, czy znajduje się dość blisko kanapki, opadła na nią w omdleniu.

Rozległy się okrzyki: wody, wody! Ktoś wołał, aby przynieść sole trzeźwiące. Ktoś inny wzywał, aby ratować pannę Agatę, która również padła w omdleniu na jeden z foteli.

Anda stała nie tyle przerażona, co zdumiona. Nie mogła zupełnie zrozumieć, co się stało. Przecież śpiewała tę piosenkę tyle razy. I wszyscy wtedy zaśmiewali się i mówili, że ma talent imitatorski i że może zrobić konkurencję Ewicie. A teraz takie krzyki, takie mdlenia! Po prostu zawracanie głowy. Różnica w czasie — małe sto ileś lat! A taka awantura. Jednocześnie poczuła, że jest głodna i sięgnęła po jedno z apetycznie wyglądających ciastek z kremem. Były przepyszne! Ta kucharcia, to mi-Itrzyni — skonstatowała z przyjemnością. Zauważyła też z prawdziwą radością, że wujcio Kępa najwidoczniej podziela i w tej epoce jej gust, gdyż również sięga po ciasteczka. Wobec tego uznała za stosowne szepnąć do niego porozumiewawczo:

— Pycha, co? A wujec, jak widzisz, kochana, stara Kępo, zemdłał. Mecenat Kępski spojrzał na nią z lekkim zdumieniem, po czym

Itrzepując resztki okruszków z kamizelki, szepnął poufnym tonem:

— Powiedz mi, panienko, czy te ciasteczka są istotnie dziełem rączek 1 .inny Ewuni?

Anda zachichotała i już właśnie miała wyjaśnić mecenasowi całą imię owych ciastek, kiedy nagle poczuła, że jakieś żelazne kleszcze Iskają jej ramię. Nie, doprawdy, wiotka i cienka w pasie Ewita wcale

105

nie wyglądała na to, aby była obdarzona taką siłą. To ona bowiem ujęła swymi cienkimi paluszkami rękę Andy i szepcząc jej do ucha: — Coś ty narobiła, wyrodna siostró, co ty wygadujesz? — pociągnęła ją w stronę drzwi, za które ją następnie zręcznie wypchnęła.

No cóż, pomyliłam się po prostu z tymi epokami. Każdy by się pomylił na przestrzeni tylu lat — powiedziała sobie na pocieszenie Anda.

Korytarzyk, do którego ją wepchnięto, był ciemny i nie wiadomo dokąd prowadził. Po omacku dotykała ręką ścian, gdyż w pierwszej chwili odruchowo szukała kontaktu i dopiero po pewnym czasie uprzytomniła sobie, że są to daremne poszukiwania. W dodatku drżała z chłodu w cienkiej sukience i była głodna. Z salonu dochodził gwar zmieszanych głosów.

— Br, ależ tu zimno! Oni tam uprawiają życie towarzyskie zamierzchłej epoki, a ja dostanę przez to kataru albo zapalenia płuc. To zaczyna być mało zabawne.

Gwar w salonie jakby wzmógł się. Słysząc było teraz głos tatka, który widać niedawno przyszedł.

Ktoś mówił: — To niepojęte. — Jakaś pani pytała: — Ale co się stało tej panience? — A jeszcze ktoś inny wołał: — Proszę jeszcze trochę wody! Pani Maderowej zrobiło się słabo!

Wcale mi jej nie żal — stwierdziła w duchu Anda.

Natomiast żal jej było mamy. Tak, to szaleństwo było czymś zupełnie nieopatrznym, a teraz biedna mama ma zmartwienie. Słysząc było jej głos, gdy komuś tłumaczyła:

— Biedne dziecko, ostatnio źle się czuje i od czasu tego wypadku w łazienkach, kiedy była tam z kuzynką Eleonorą, miewa nawroty gorączki. Zupełnie nieoczekiwane. Jutro wezwiemy naszego lekarza domowego.

Rozdział dziewiąty

r.

Obudziwszy się nazajutrz, Anda miała jeszcze niejaki złudzenie, że może teraz okaże się, że skończył się dziwny sen % ciotką Eleonorą i wszelkimi innymi historiami. Ale gdzie tam! Znow leżała w łóżku pod baldachimem, okryta pierzyną, znow miała na sobie płócienną koszulę i biały kaftanik nocny, pozaszywany w drobne zakładeczki oraz ozdobiony hafcikiem. Jedyną miłą rzeczą, jakiej mogła oczekiwać, było śniadanie. Pod tym względem zamierzchła epoka była na jak najbardziej zadowalającym poziomie. Toteż gdy tylko do pokoju weszła Genowefcia, aby odsłonić okna, Anda od razu zainterpelowała ją jakiś godziwy posiłek.

— O, nie — smutnie pokiwała głową Genowefcia — panna Aflusia me dostanie dzisiaj śniadania. Może najwyżej jakiś kleik! Albo może rumianku zaparzyć?

— Kleik? Rumianku? Genowefciu, co ty mówisz? przecież to śniadanie to jedyna ośłoda w tym okropnym życiu, jakie zawdzięczam ciotce Eleonorze.

— Ej, nieładnie tak mówić, panno Anusiu — Genowefcia była oburzona. — Pani Eleonora przecież nie przyczyniła się do wywrócenia łódki. ! jeszcze panienkę okryła własną rotundą.

— Mniejsza w tej chwili o to, czym mnie okryła, ale ja chcę Zjeść śniadanie, rozumiesz, Genowefciu?

— Kiedy pani zakazała podawać dziś panience śniadanie, dopóki me przyjdzie pan doktor Sławiński.

107

— Doktor Sławiński? — ucieszyła się Anda. — No, to może on mnie jakoś zrozumie.

Doktor Sławiński był kolegą uniwersyteckim mamy. Wzywała go zawsze, kiedy zachorowało któreś z jej trójki.

— Tak, tak, doktor Sławiński — potwierdziła Genowefcia. Krzątała się porządkując pokój. — Zaraz powinien tu być.

— A gdzie jest Ewita?

— Och, panna Ewunia dawno wstała. Ściera kurze w salonie, podlewa kwiatki. Krząta się po całym domu. Wprawia się w gospodarstwo — dodała Genowefcia z tajemniczym uśmieszkiem. — Chyba jednak, mimo wszystko, wyjdzie za pana mecenasa!

— Co? — podskoczyła na posłaniu Anda.

— Ano tak się wszystkim wydaje. Bo pomimo tej całej awantury w salonie...

— Czy nazywasz awanturą tę historię z francuską piosenką?

— A ja tam wiem, czy ona była francuska, czy jaka tam.

Tyle że przecież awantura była okropna. Niektóre panie bardzo się czuły obrażone. I o to śpiewanie, i o to, że panna Anusia pań w rękę nie całowała. A przecież — tak mówiły te panie potem między sobą, sama słyszałam, bo schodziłam im na schodach poświecić — a przecież — mówiły — takie dotychczas były dobrze ułożone panienki i dom taki zacny.

— A dlaczego, Genowefciu, miałam te panie całować w rękę?

— Jak to dlaczego? Dobre wychowanie tak nakazuje, żeby młode panienki całowały starsze osoby w rękę. Ba, nawet czasem i młoda mężatka też starsze panie całuje. Chyba że już sama ma dzieci. Więc nasza pani okropnie tym była

zmarłwiona, że panienka takie złe wychowanie okazała. Ale na chorobę wszystko zwała, kiedy te panie przepraszała. O, a tu jest czysta koszulka i czysty kaftanik, panienko, proszę włożyć, bo doktora tylko co patrzeć.

— A po co ten kaftanik? Wcale nie mam ochoty wkładać tego obrzydlistwa.

— Jakże, panienko? Chce panienka leżeć w łóżku bez kaftanika? To jest nieprzyzwoicie... No, proszę włożyć, nie grymasić, bo zdaje się, że doktor już zajechał.

— A ciągle jeździ tym swoim starym, fordem?

— Jak to można tak brzydko mówić, panienko! Takie słowo jakieś, że wstyd dla panienki! Dobrze, że pani nie słyszy. Pewnie, że przyjechał swojakareta. Stara jest, ale porządna. Odnowiona, zdaje mi się. Nie może przecież, jeśli jest doktorem, bez karety się obejść. Nawet nie wypada. Ale konia ma innego. Dawniej miał siwosza, a teraz w karego kareta zaprzężona. No, to ja już lecę drzwi otwierać!

Doktor Sławiński więc w tej epoce nie jeździ swoim starym fordem, tylko kareta. Mniejsza z tym, prawie na jedno wychodzi. Ważniejsze, czy bardzo jest inny od tego kochanego doktora z czasów Rakowieckiej. Oho, już słysząc głos mamy. Pewnie idzie razem z nim.

— Proszę, proszę tędy, panie konsyliarzu. Zatrzymałam dzisiaj naszą pacjentkę w łóżku.

Pomyśleć, że teraz mama nie jest lekarzem! Tylko po prostu taką zwykłą panią domu!

A tymczasem już słysząc burczący głos doktora Sławińskiego. Ciekawe, czy on bardzo inaczej wygląda.

Drzwi otwierają się i wchodzi mama. Biedna mama, bledziutka i taka smutna. A doktor Sławiński? Ratunku! Co za broda! Czarna i wygląda jak ufryzowana. Ale najdziwniejsze jest to, że doktor jest we fraku! Cóż to znowu za historia! A może wraca z jakiegoś balu albo uroczystego przyjęcia i nie zdążył się przebrać? Mama oczywiście ciągle mówi do niego „panie konsyliarzu”. A przecież byli na ty. Tylko że w tej epoce kobiety nie pijąbruderszaftu z mężczyznami. To znaczy kobiety z towarzystwa— tak jej wczoraj wyjaśniła Ewita.

Doktor Sławiński, brodaty i wyfraczony, zaciera ręce swoim, tak znanym z Rakowieckiej ruchem.

— Dzień dobry panience!

Dzień dobry, doktoruściu! — chce zawołać po dawnemu Anda, ale zatrzymuje się. Doktbr Sławiński, ten we fraku i z brodą, jest okropnie ważny i nadęty. I wobec tego Anda zachowuje się z rezerwą.

— Proszę pokazać język — mówi srogo doktor Sławiński.

— Z przyjemnością — mruży Anda, wywalając język na całą długość.

— Hm. Język jest czysty, wszelako ostrożność nie zawadzi. — Potem bada puls i zabiera się do opukiwania pacjentki.

Kiedy skończył, mama pyta z niepokojem: (

108

109

— I jak pan znajduje chorą, panie konsyliarzu?

— Jm — chrząka myśląc doktor — zakłócenia niewątpliwie powstały w organizmie dziewczęcia i należy przeciwdziałać. A że organizm jest słaby, więc wzmocnić go należy. Zapiszemy panience rosoły, befsztyk oraz nieco wina. Co? Jak się na to zapatrujemy? — zwrócił się łaskawie do Andy-

— Befsztiki i wino? Szałowo, doktorancki, dieta cud! — podskoczyła Anda zapominając o dostojności doktora.

— Wnusu — zgromiła ją boleśnie brzęcącym głosem mama. — Oto ma pan dowód, drogi konsyliarzu, jakie objawy zdradza w tej dziwnej chorobie: nadmierną pobudliwość i skłonność do ekstrawagancji.

— Na to znajdziemy lek odpowiedni, pani dobrodziejko — zapewnił doktor. Przez chwilę gładził w milczeniu brodę, po czym zawyrokował:

— W Niemam, iż najlepszym lekiem na tego rodzaju uderzenia krwi do głowy będą pijawki.

— Pijawki? — powtórzyła przerażona Anda.

— Pijawki — potwierdził doktor — należy je przystawiać za uszami.

— Nie chcę pijawek! — wrzasnęła teraz — nie chcę żadnych pijawek. Jestem zupełnie zdrowa.

— Gdyby zaś pijawki nie pomogły, można by jeszcze zastosować cięte bańki — rozważał dalej wyfraczony doktor Sławiński.

— Uczynimy wszystko, aby nasze dziecię odzyskało zdrowie — zapewniła mama.

No tak, to wcale nie wygląda wesoło. Co prawda Genowefcia zaraz po odjeździe lekarza przyniosła filiżankę bulionu oraz wspaniały befsztyk i kieliszek wina, ale dalszy ciąg kuracji zapowiadał się przerażająco.

— Proszę się wzmocnić, panienko — zachęcała Genowefcia, podczas gdy Anda rozkoszowała się befsztykiem. — Na pewno panienka niedługo wyzdrowieje. Nasz doktor to najlepszy doktor w Warszawie i taki zawsze pięknie ubrany. Nigdy inaczej do chorego nie przyjedzie jak we fraku. A panicz Zbyszek mówił, że do operacji to też doktorzy ubierają się we frak.

— Do operacji we frak? — Anda nie dowierza — ale chyba na to kładzie się fartuch?

— E, skądże fartuch? Przecież to doktor, a nie kucharz, żeby w fartuchu występował.

110

Okropnie to jest dziwne, ale widać takie już są zwyczaje w tym roku 1880. Nie to jest zresztą w tej chwili najważniejsze. Najważniejsze jest to, że mama posyła Genowefcię po pijawki.

— Nic, nie, za nic na świecie nie chcę pijawek! — krzyczy Anda. — Już wolę zastrzyki.
— Cóż ty znów opowiadasz, dziecię moje. — Mama potrząsa głową. — Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. I znów dziwaczysz? Trzeba co prędzej zastosować pijawki. Nic tak nie pomaga w uderzeniach krwi do głowy.
— Brr — wzdryga się Anda na samą myśl o podobnym zabiegu, ale mama ją pociesza.
— Zobaczysz, jaką poprawę przyniosą twemu zdrowiu. A potem pojedziemy do wód. Trzeba koniecznie wyjechać, aby ludzie zapomnieli

O tych dziwacznych historiach, które wskutek twej chorobliwej ekstrawagancji w domu naszym się wydarzyły. Co prawda mamy dopiero dwunastego kwietnia, ale w maju już można będzie wyjechać.

— A co to znaczy „do wód”, mamó? Czy masz na myśli jeziora?
— Jakie znów jeziora, dziecię moje? — Mama jest zakłopotana. —

1 >o Krynicy lub Nałęczowa zamierzamy wyjechać na kurację, lub nad morze. Genowefo, Genowefa już idzie? Sześć pijawek!

O, ciotko Eleonoro! To dzięki tobie i twojemu zegarowi oczekującłowieka takie przyjemności. — Anda dostaje dreszczy na samą myśl o za-biegu z pijawkami. Nie ma rady, trzeba coś zdziałać. Trzeba coś wymyślić, tle co? Nie ma innej rady, tylko trzeba za wszelką cenę dostać się do porce-! i nowego zegara. Ba, ale jak? Zwłaszcza kiedy leży się w łóżku!

Anda przymyka oczy i obmyśla plan działania. Słyszy, że ktoś otwo-
i vi drzwi — to Ewita, poznaje japo głosie — pyta, jak Anda się czuje.

— Tss — ucisza ją mama — właśnie zasypia. Zostaw ją w spokoju,
ch się prześpi. To jej doskonale robi.

— Dobrze, kochana mamó.

Nawet taka zmieniona, nawet taka okropnie staroświecka, ale prze-/awsze mamó. Nie ma jednak innej rady — trzeba będzie wiać. Wiać ukać zegara!

Anda nasłuchuje taraz uważnie. Kroki oddalają się. Nie ma chwili do reńia. Zrywa się z łóżka i zaczyna się ubierać. Oczywiście, żadnych

111

gorsetów. W szafie wisi jakaś sukienka. Mniejsza o to, czy to jest sukienka Ewity, czy Andzina, grunt, aby jak najszybciej się ubrać. A tu tyle haftek i zatrzasków. Wystarczy, jeśli będzie się zapinało co drugi. Tak, teraz coś na nogi. Hura! Są jakieś płytkie pantofelki zamiast tych bucików z guzikami.

Tak, teraz jakiś kapelusz. Kapelusz trzeba wziąć, bo jeśli wyjdzie się na ulicę bez kapelusza, zaraz wszyscy okropnie się przyglądają. Na półce w szafie leży jakieś ohydne straszidło z kwiatami i piórami, mniejsza

O to, niech będzie ten. Aha, jest też jakaś peleryna, to na wypadek, gdyby było chłodno. Wszystko gotowe, tylko jak teraz wydostać się z mieszkania? Kto jest w dalszych pokojach? Nasłuchiwała przez chwilę. Rozległy się jakieś drepczące kroki, ktoś w głębi mieszkania trzasnął drzwiami.

Anda uchyliła drzwi do długiego korytarza, przez który przechodziło się do jadalni i do salonu. Wysunęła się z pokoju i już miała przemknąć się przez jadalnię do przedpokoju, z którego prowadziło wyjście na schody, kiedy usłyszała czyjś głos.

To mamó rozmawia z Genowefcią:

— Proszę ten słoik z pijawkami tu postawić, Genowefo. Panna Anu-sia zasnęła, nie należy więc jej teraz budzić. Jak się ocknie, przystawi się pijawki.

Ładny bal!__przystawi się pijawki! Nie ma rady, trzeba zmykać. Ale jak! Może przez salon?

W salonie siedziała Ewita, pochylona nad jakimś haftem. I tędy droga była odcięta. Zaraz, w końcu korytarza są jeszcze jakieś małe drzwi. Nie było dotychczas czasu przekonać się, dokąd prowadzą. Ach, to jest spiżarnia! Co za smakotyki! Ale nie czas teraz na obżarstwo. Zaraz, w spiżarni jest otwarte wąskie okno, ukryte za wyłomem muru. Jest doskonale zasłonięte. Zdaje się, że nie będzie innej rady, jak uciekać przez to okno. Ostatecznie jest to tylko pierwsze piętro. Aby tylko było po czym się zsunąć. Niestety w spiżarni nie ma żadnych sznurów, odpowiednich do tego celu. Jak zdobyć jakikolwiek sznur? Najwłaściwsze były te, którymi podwiązane są portiery w salonie. Pac! Trzasnęły znów drzwi od salonu. To Ewita wyszła stamtąd. Teraz szybko, szybko, trzeba wpaść do salonu

1 błyskawicznie odwiązać sznury. Tak, już są. A teraz przywiązać je do okna w spiżarni i hooops!

Ładowanie na małym podwóreczku nie było takie straszne. Kapelusz

112

tylko przekrzywił się nieco, ale mniejsza o to. Zdaje się, że nikt nie widział tego wyczynu. Tak, a teraz należy przemknąć się koło jakichś zabudowań, które wyglądają jak garaże, a pachną jak stajnie, i wydostać się na ulicę. Ostrożnie, ostrożnie, aby nikt nie zauważył. I oto jest już ulica.

Gdzie to jest ten zegarmistrz? Prawda, jest przecież na tej samej ulicy, gdzie znajduje się cukiernia z bombonierkami z atłasu. Szybko, szybko, trzeba jak najprędzej dostać się do sklepu zegarmistrza.

Panowie w kawowych melonikach i krótkich, kraciastych płaszczykach, damy w powłóczystych sukniach i strojnych kapeluszach, mali sprzedawcy gazet, zamiatacze ulic i służące podążające na targ z koszarą, wszyscy zatrzymują się na chwilę, aby lepiej przyjrzeć się młodej, szczupłej osobce w przekrzywionym kapeluszu, pędzącej przez ulicę.

Mniejsza o to, niech się gapią. Najważniejsze jest, aby dostała się do sklepu zegarmistrza. To już chyba niedaleko. O tak, tu są na wystawie różowe atłasowe bombonierki, a dalej tuż, tuż sklep z zegarami. Na szczęście jest otwarty.

Porcelanowy zegar stoi na swoim miejscu. Ach, aby tylko móc dotknąć jego cienkich, misternych wskazówek. Zmienić czas!

W dodatku tak się świetnie składa, że w tej chwili nie ma w sklepie starego zegarmistrza. Na jego miejscu siedzi młody człowiek z zabójczymi wąsikami.

— Czym można szanownej pani służyć? — pyta niezmiernie grzecznie.

O, to mi się podoba. To jest elegancka obsługa sklepowa — stwierdza Anda z zadowoleniem. Teraz trzeba działać zaskoczeniem i bezczelnością, trudno, innej rady nie ma. Albo zdobyć zegar, albo zostać w roku 1880 i nosić gorset oraz stosować pijawki.

— Proszę pana — Anda stara się w tej chwili mówić tonem dystygowanym, używanym przez mamę — przysłałam dowiedzieć się, jak wygląda naprawa naszego starego, rodzinnego zegara. To jest ten zegar porcelanowy, który stoi na wystawie.

— W tej chwili sprawdzę — młodzieniec jest niezmiernie szarmancki i usłużny. — Nie ma w tej chwili, co prawda, mojego pryncypała, ale postaram się załatwić sprawę. Czy to ten zegar?

— Ten, ten, proszę pana. Proszę mi go dać jak najszybciej, gdyż spieszę się niezmiernie.

Godzina pąsowej...

113

— Gdyby szanowna pani znalazła jakieś niedokładności lub pragnęła wyjaśnień, właściciel sklepu wróci za chwilę — zapewniał nadal niezmiernie uprzejmy młody człowiek.

— Tak, tak, ale szybciej, szybciej, proszę pana — denerwowała się młoda osoba w przekrzywionym kapeluszu.

— Oto zegar, łaskawa pani.

Stoi teraz przed nią na ladzie. Brzuchaty, lśniący białą porcelaną i ozdobiony misternymi, kolorowymi kwiatkami. Pozornie zacny, tykający zegar ze złocistymi wskazówkami. Trzeba je natychmiast przesunąć. Ale jak? Cyferblat zabezpiecza grube, wypukłe szkło.

— Chciałabym sprawdzić, czy dobrze chodzi. Zdaje się, że do zegara miał być dorobiony kluczyk?

— Ależ tak — przytakuje usłużnie młodzieniec — ależ tak, znaleźliśmy właśnie odpowiednie w odcieniu złoto. Mistrz sam dorabiał ten kluczyk. Czy życzy pani zobaczyć go?

— Oczywiście, że życzę. Bardzo sobie tego życzę, proszę pana.

— Oto kluczyk!

Mały, złoty kluczyk, który wróci dawne dni, który sprawi, że wszystko będzie znów tak, jak było przedtem. Jakże trudno trafić jest do właściwego otworu, kiedy ręka drży z pośpiechu i z niecierpliwości.

— Być może, nie jest jeszcze dosyć dobrze doszlifowany, pani pozwoli, że ja spróbuję — proponuje młodzieniec.

O, za nic, za nic na świecie. Trzeba koniecznie własnoręcznie przesunąć wskazówki. No, nareszcie kluczyk z tmdem udało się wsunąć w otwór. Ach, nie chce obrócić się, wskazówki stoją jak zakłęte na miejscu. No, nafeszcie, obracają się, obracają się, bardzo powoli, z tmdem.

— Proszę nie złamać kluczyka — ostrzega sprzedający.

No, nareszcie, wskazówka drgnęła i przesunęła się odrobinę naprzód, zaledwie o jedną minutę... Dalej, dalej... ostrożnie.

— A pani co tu robi? — zaskrzeczał nagle za plecami Andy starczy głos.

— Ja? Ja oglądam zegar... oglądam zegar mojej ciotki...

— Ha! Zegar ciotki? — Stary zegarmistrz wyglądał w tej chwili jak nastroszony ptak. — A kwit panienska posiada?

— Ja... ja... jaki kwit? — wyjąkała Anda.

— Kwit na pozostawiony zegar.

— To jest zegar mojej ciotki Eleonory. T© nasz rodzinny zegar, proszę pana, ja tylko chciałam...

— Znamy się na tym. Proszę opuścić mój sklep! Jak można było — krzyczał teraz zegarmistrz na młodzieńca — dawać zegar do ręki nieznannej osobie. To jakiś podstęp.

Zegar stał i tykał miarowo. Wskazywał teraz czas przesunięty o jedną minutę...

— Proszę również oddać złoty kluczyk — chrypiał stamszek.

O, nie, co to, to nie — postanowiła błyskawicznie Anda. — Kluczyk

był jedyną nadzieją na odzyskanie cofniętego czasu. Za nic na świecie nie wolno oddać kluczyka zegarmistrzowi.

— Proszę oddać kluczyk!

No i cóż pozostało innego, jeśli nie jeden zręczny skok na ulicę i ucieczka?... Ucieczka z kluczykiem w dłoni!

— Ratunku, ratunku! — skrzeczał staruSzek, podczas gdy młodzieniec usiłował zagrozić Andzie drogę. Ale w jednej chwili zręcznie podstawiała mu nogę i młodzieniec runął jak długi na ziemię. Teraz należało szybko wiać. Po prostu wiać. Jeden porządny skok w dal i zmykać ile sił.

Odbiła się więc i przeskoczyła próg. A zaraz potem poczuła, że leży na czymś miękkim i ciepłym.

114

Rozdział dziesiąty

Ku swojemu ogromnemu zdumieniu stwierdziła, że leży na ciepłym, wygrzany przez słońce piasku. Podniosła głowę i rozejrzała się. Wokoło roztaczała się prawdziwa, najprawdziwsza plaża, a w dali szumiało morze. Usiłowała przypomnieć sobie, skąd się tu wzięła. Aha, prawda. Miała prześmieszny, strasznie długo wlokący się sen. A na zakończenie tego snu była u zegarmistrza i odbierała mu kluczyk od porcelanowego zegara ciotki Eleonory. A potem,

zaraz, jak to było we śnie? Wyskoczyła z tego sklepu z zegarami. Śmieszny i dziwaczny sen. Trzeba będzie opowiedzieć go Ewicie. A swoją drogą nie ma latem nic piękniejszego nad morze i żółty, nagrany przez słońce piasek. Tak, teraz trzeba się obrócić na drugi bok, żeby rozprostować kości. Ale zaraz, cóż to trzyma tak mocno w prawej ręce, aż jej palce ścierpły?

I Anda krzyknęła ze zdumienia. Na jej otwartej dłoni leżał mały, misternie rzeźbiony złoty kluczyk. W tejże samej chwili zauważyła, że jest znów jakoś dziwacznie ubrana. Tym razem miała na sobie rodzaj krótkiej sukienki z rękawami i z kołnierzykiem, ozdobionej suto upiętą tiurniurą. Spod sukienki widać było długie, lekko bufiaste i ściągnięte pod kolanami na gumkę majtki. Czuła również, że ma na sobie gorset, a włosy schowane były pod ogromniastym, uszytym z materiału czepcem.

— A to co nowego? — zirytowała się.

— Czy mówiłaś coś? — zabrzmiał naraz głos Ewity.

Anda obejrzała się gwałtownie. Przy niej stała Ewita podobnie śmie-

116

sznie ubrana. W rękę trzymała siatkę, z której kapąła woda i zwisały lakieś wodorosty.

— Gdzie my jesteśmy?

— Ach, Anusiu — głos Ewity brzmiał wesoło — czyżbyś tak silnie zasnęła na słońcu, że nie pamiętasz, gdzie jesteś? Wszak od miesiąca już bawimy nad morzem i rozkoszujemy się piękną pogodą i słońcem.

— Jak to od miesiąca? — zdumiała się Anda — przecież jesteś zupełnie nie opalona.

— Dziewczęta moje — rozległ się naraz głos mamy — zdaje mi się, że zapomnieliście o parasolkach. Anusiu, pójdź, dziecię, i skryj się w cieniu kosza. Zupełnie zniszczycie sobie cerę. Czyż nie upominałam już was, że nic tak nie jest szkodliwe dla pięknej i delikatnej pici jak działanie słońca!

— Ach! — zatrwożyła się Ewita — widzę już na twojej twarzy piegi, Anusiu! Czyżbym i ja podobnie wyglądała? Idę skryć się w cieniu. Pójdź ze mną, siostruniu.

— Zaraz idę — mruknęła Anda. Chciała jakoś zebrać myśli i rozpatrzeć się w tej nowej sytuacji. Patrzyła na Ewitę, która podbiegła do stojącego w pobliżu kosza plażowego. W koszu siedziała mama w równie zabawnym stroju plażowym.

Co to wszystko ma znaczyć? Bal gałganiarzy, czy co? Więc już nie mieszkanie na Miodowej, tylko plaża? Ale dlaczego wszyscy są tak dziwnie ubrani! Niektóre kobiety mają nawet kapelusze związane na wstążki pod brodą. A mężczyźni? Wyglądają przekomicznie. Wąsaci i brodaci, w długich po kolana; pasiastych, trykotowych spodenkach i również pasiastych trykotowych koszulkach, sięgających pod szyję, z rękawami prawie do łokcia. A na głowach noszą płaskie, okrągłe kapelusze słomkowe. O, właśnie trzech takich cudaków zbliża się do kosza, w którym siedzi mama. Czyż to możliwe? Przecież to tatko i Zbyszek... A ten grubas? Toż to kochana stara Kępa. Można umrzeć ze śmiechu. Trzeba im*to koniecznie powiedzieć.

— Ależ wyglądacie prześlicznie! Serwus, wujciu Kępo!

Zaraz, jeszcze jakiś rudzielec. Szczeniakowaty i z zadartym nosem! Ależ to Karol!

Anda ucieszyła się. No, może z nim można będzie nareszcie dogadać się, porozmawiać jakimś ludzkim językiem. Woła więc:

117

— Cześć, Karol!

Rudzielec odwrócił się gwałtownie i zaczerwienił. Po czym, zdejmując z głowy okrągły słomiany kapelusz, wyszeptał:

— Dawno już nie miałem przyjemności widzieć kuzyneczki...

— Dawno? — zdziwiła się Anda. Chciała mu przypomnieć, że przecież umawiali się wtedy na popołudnie, ale dała temu spokój, tylko dodała serdecznie: — Cholernie się cieszę, że cię widzę. Mam nadzieję, że ty jakoś zachowałeś rozsądek, bo nie masz pojęcia, jak wszyscy jakoś po-głupieli...

Karol słysząc to westchnął i skłaniając się, szepnął:

— To raczej kuzyneczka stanowi niezwykle wśród pici pięknej zjawisko...

— Tralala — mruknęła z rezygnacją Anda — nie dogadam się z tobą. Szkoda czasu! No, ścigamy się? Kto pierwszy dobiegnie do wody?

— Anusiu! — zabrzmiał boleśnie głos mamy. — Anusiu! Lubo swobodną lubię cię widzieć na łonie przyrody, jednakże zachowanie twoje zbyt tym razem swawolne mi się wydaje.

— O — jęknęła żałośnie Anda — jeśli mama już tak zaczyna do mnie przemawiać, to widzę, że właściwie nic się nie zmieniło, niestety. Dalej tkwimy w epoce, moi drodzy! Który rok mamy teraz, no powiedz, Karol!

— Tysiąc osiemset osiemdziesiąty — wyjąkał uprzejmie Karol.

— Tysiąc osiemset osiemdziesiąty. Właśnie. A jaki dzień?

— Czyżbyś nie pamiętała, droga kuzyneczko? Dwunasty lipca!

— Jak to dwunasty lipca? A przecież przedtem był dwunasty kwietnia. Sama widziałam na kalendarzu!

— No, na pewno jakiś czas przedtem był dwunasty kwietnia — roześmiał się dobrodusznie tatko. — Coś się pomyliło panience. A może za dużo na słońcu przebywałaś, dziecię moje?

Anda nie odpowiedziała na to pytanie, pochłonięta własnymi myślami. Zegar — już teraz doskonale pamiętała — była przecież rano u zegarmistrza. Tak, ależ tak. Wykradła sięz domu. I udało jej się zdobyć kluczyk. Ten właśnie kluczyk, który trzyma w ręku. Próbowwała przesunąć naprzód wskazówki porcelanowego zegara. A potem, potem, wyskoczyła

na ulicę... A co było dalej? Obudziła się już na tej plaży... Dobrze chociaż, że właśnie na plaży. Nad wodą, przynajmniej można będzie popływać. Już pal sześć w jakiej epoce.

118

Naraz usłyszała głos tatka, który wołał entuzjastycznie:

— Witamy, witamy, droga kuzynko! Cóż za niespodzianka! Obejrzała się mimo woli i ku swemu ogromnemu zdumieniu 2^oba"

czyła idącą ku nim ciotkę Eleonorę. Ciotka była ubrana, podobnie do wszystkich pań na plaży, w coś, co niewątpliwie w pojęciu kobiet z o^{ch} czasów miało być kostiumem kąpielowym. Nosiła fałdziaste, pod lola" nami zmarszczone majty z zielonego jedwabiu i do tego ni to' bluz[^] m żakiecik z suto upiętą tiurniurą. Wyglądała mimo wszystko bard2o potnie, po prostu zapewne dlatego, że była taka ładna.

Żółte naszyca na zielonym kostiumie połyskiwały jak złoto

— Syrena lub może sama bogini Wenus nam się objawiła -" za" chwycił się tatko, podczas kiedy ciotka Eleonora pochyliła się ku ma~ tnie, nadstawiając do pocałunku swąpiękną twarz Zielona koronK^owa parasolka chroniła jej białą jak mleko cerę od działania promieni sło" nccznych.

Podczas kiedy pasiaste ukostiumowam mężczyźni pochyłali się-w powitalnym ukłonie, mama wzruszonym głosem wzywała Ewitę i A[^] aby pospieszyły ucałować ręce ciotki. Pierwsza więc rzuciła się E[^]ita' jak zawsze grzeczna i układna. Anda stała znieruchomiała. Ciotka Lleo" nora sama jednak zbliżyła się ku niej.

— No cóż? Jak ci się powodzi, Anusiu? _ spytała wyciągając dłoń na powitanie.

— O, dziękuję, zupełnie nieźle _ odpowiedziała Anda ^ naraz dobry humor—/Zupełnie ni'eźle

Przełożyła złoty kluczyk do lewej ręki, a prawą uściśnęła dłoń ciotecznej babki.

— Anusiu! — krzyknęła ze zgrOzą mama _ ucałuj rączkę drC7giej cioci Eleonory.

— Ach, nie, nie trzeba — zaprotestowała ciotka Eleonora. — Anusia gniewa się na mnie troszeczkę — dodała filuternie - Gniewa? — powtórzył ze zgrozą tatko. — Zapewniam cię d^oZa 1 n/ynecko, że dokładając wszelkich starań, aby dzieci nasze były Jak

u lepiej ułożone, czasem przerażeni jesteśmy objawami samo[^]oli' ywanymi przez naszą najmłodszą pociechę

- Och, de rien, de rien, miły kuzyme. t proszę cię, me bądźcie ni owi dla mojej małej pupilki.

119

— Zbyt łaskawą i wyrozumiałą jesteś dla niej. I lękamy się, abyś nie straciła rychło swej cierpliwości w stosunku do tego swawolnego i nazbyt czasem może śmiałego dziewczęcia. Lubo nie ze złego serca płyną jej ekstrawagancje, lecz ze szczerych a dziecięcych porywów — wyrzekła mama głosem pełnym troski.

Biedna mama. I to tu, na słonecznej plaży, w pełnym słońcu, przy szumie morza wygłasza takie zdania, zamiast cieszyć się życiem; zamiast zdjąć z siebie te wszystkie gałgany i popływać w morzu. Przecież mama też zupełnie nieźle pływa. Naprawdę zupełnie nieźle. To znaczy mama w sto lat później. A mama z roku 1880? To nie wiadomo.

Ciotka Eleonora na przemówienie rodziców odpowiedziała swoim wdzięcznym, ładnym śmiechem i zapewniła, że nie powinni się martwić — ona i Anusia rozumieją się doskonale. Poza tym mają pewne wspólne sekrety, które je łączą.

— Sekrety? — mama nie może wyjść z podziwu. Ale jednocześnie rozjaśnia się. Kuzynka Eleonora jest osobą niezmiernie ważną w rodzinie. Przy tym jest również osobą niezmiernie dystygowaną. Właściwie jest wyrocznią we wszystkich sprawach. Ten więc szczególnie łaskawy i żartobliwy stosunek do młodszej córki, do tej nieraz tak skłonnej do niezrozumiałych wybryków Anusi, mama przyjmuje z zachwytem.

— Och, zbyt dobra jesteś dla tego dziewczęcia, droga kuzynko! — stwierdza również tatko.

Ale ciotka Eleonora znów odpowiada na te wszystkie okrzyki uśmiechem i proponuje, aby pójść się kąpać.

No, nareszcie zaczynają jakoś rozsądnie się zachowywać. Anda podskakuje z zachwytem. — Popływamy trochę, popływamy! Ciociu Eleonoro?

Ciotka Eleonora przytakuje i oświadcza, że wobec tego udaje się do swojej kabiny, gdzie czeka na nią pokojowa.

— To ja się też zaraz muszę przebrać w kostium — oświadcza Anda.

— Jak to chcesz się przebrać? — dziwi się Ewita, ale Anda już nie słucha, tylko zastanawia się, gdzie też może być jej kostium. Przecież w tych zwariowanych warunkach człowiek nie ma pojęcia, co ma na siebie włożyć. Gdzież u licha może on być? Niestety, na piasku, przy koszu mamy i nigdzie w pobliżu nie widać żadnego plażowego worka. A jak się człowiek zapyta, to nie wiadomo, czy znów nie będą wydziwiać. Tym-

120

czasem ciotka Eleonora nawołuje, że jeśli rzeczywiście mają ochotę zanurzyć się dziś w wodzie, to najwyższy czas udać się do kabin.

— Pójdź, Anusiu — mówi ciotka i wyciąga rękę w stronę Andy. Idą teraz we dwie naprzód. Ciotka Eleonora osłania starannie swoją

delikatną białą cerę przed palącymi promieniami słońca zieloną koronkową parasolką. Prawą ręką przygarnia do siebie Andę.

— No cóż, moja mała, jak się czujesz? Jak ci się podoba życie w mojej epoce?

— Wcale mi się nie podoba!

— Jak to? Czyż nie zauważyłaś, że jednak twoi rodzice żyją teraz na zupełnie innej stopie? Że mają sześciopokojowe mieszkanie i dwie służące? Że twoja matka nie musi pracować zarobkowo? Że w szkole obecnie uczysz się z łatwością. Ba, jesteś nawet genialna z twoimi wiadomościami z matematyki.

— No, owszem, mieszkanie to ważna rzecz, tak. I pokojowa oraz kucharka to też coś znaczy. Ale jeśli chodzi o mamę, to wcale nie jestem pewna, czy jest teraz szczęśliwsza niż wtedy, kiedy była lekarzem! Wydaje mi się, że teraz jest taka jakaś zgaszona. Nie ma wcale tego swego dawnego humoru! I właściwie jest już starszą panią, która tylko martwi się o to, żeby w domu wszystko było w porządku i żeby po kolei wydać córki za mąż. Tak, ciociu, tak jest! Trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy. Poza tym proszę osądzić. Przecież ciocia jest elegancką, jak na waszą epokę kobietą — i proszę /porównać, czy jednak mama nie wyglądała ładniej i młodziej, kiedy miała lekko podbarwione włosy, kiedy nosiła krótkie sukienki? Bo przecież mama ma śliczne nogi!

To ostatnie zdanie, uniesiona zapałem, wypowiedziała tak głośno, że parę osób spoczywających na plaży obejrzało się za nią.

— Tss — ciotka Eleonora skrzywiła się z niesmakiem. — Musisz uważać, moja mała. W naszych czasach nie zwraca się uwagi na nogi. I nieprzyzwoicie jest o tym mówić. Spod długiej sukni prawdziwa dama ukazuje nogę zaledwie do kostki i w tych granicach wolno ją podziwiać. Mówienie o nogach powyżej kostki jest w bardzo złym stylu. Ale jest jeszcze jedna sprawa, moje dziecko, o której chciałam z tobą pomówić. Właściwie, mogę powiedzieć, że nawet w tym celu zjawiłam się tu, nad morzem. Otóż, chciałaś popchnąć czas naprzód, prawda? Podstępnie, tak, w ten sposób to kwalifikuję, podstępnie zrabowałaś złoty klucz od

121

mojego zegara zacnemu zegarmistrzowi. Udało ci się, co prawda, posunąć czas, ale tylko o trzy miesiące. Tak, dokładnie o trzy miesiące! Byłaś u niego 12 kwietnia, a dziś jest 12 lipca.

— Aaaach! — zdumiała się Anda — teraz rozumiem, dlaczego wyskoczywszy ze sklepu zegarmistrza nagle znalazłam się na plaży. W tej jednej chwili minęły trzy miesiące, tak?

— Właśnie tak — z odcieniem niezadowolenia w głosie stwierdziła ciotka Eleonora. — I wobec tego, że tak samowolnie i lekkomyślnie gospodarujesz czasem, uważam, że powinnaś zwrócić to, co nie jest twoją własnością. Myślę o złotym kluczyku.

— O, ja nie mogę go oddać — wyjąkała Anda — szukałam go przecież, aby przywrócić czas!

— Ten czas, w którym będziesz nosiła spodnie jak chłopak, a włosy będziesz miała krótko i niechlujnie obcięte, jakbyś niedawno przeszła tyfus.

— Mowa trawa! Wolę to niż noszenie gorsetu! Niż te długie kiecki, w których jest tak niewygodnie. Wierz mi, ciociu Eleonoro, że doprawdy wasze stroje są okropne.

— Możemy to ostatecznie nazwać kwestią gustu, moja mała. Mnie te stroje szalenie odpowiadają. Poza tym muszę ci wyznać, że to stanie przy zwalonej kolumnie z różą w rękę przez tyle lat doprawdy już mnie nudziło. Dzięki twojej lekkomyślności wróciłam w godzinie paśowej róży do najpiękniejszych czasów mojego życia. Do belle époque.

Właściwie jestem ci szalenie wdzięczna, ale jednocześnie... Ach, oto i nasze kabiny. Spotkamy się w wodzie, moja mała. A co masz zamiar robić z tym kluczykiem, który tak kurczowo ściskasz w dłoni? Czy nie obawiasz się, że go zgubisz? A jeśli zgubisz, nie przyda się na nic nikomu. Uważam, że rozsądniej by było, gdybyś powierzyła go mnie...

— O, nie, ciociu Eleonoro! — roześmiała się Anda. — Postaram się nie zgubić...

— Obawiasz się, że ci go nie zwrócę? Nie masz do mnie zaufania, Anusiu?

Pytanie było kłopotliwe. Ale właściwie to tak na sto procent nie można było mieć zaufania do tej ślicznej damy, która wyciągała w tej chwili do Andy otwartą dłoń, czekając, aby złożyła na niej klucz. Należało jakoś wybrnąć z trudnej sytuacji.

— Przecież ciocia też ma zamiar kąpać się — odpowiedziała wobec tego wykrętnie Anda. — A ja go nie zgubię. Wiem przecież, że jest niezwykle cenny.

— Pragnę ci jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że sam klucz też nic nie pomoże, jeśli nie będziesz miała zegara — powiedziała mrużąc oczy cioteczna babka.

We drzwiach kabiny czekała już na nią jakaś kobieta w stroju pokojowej.

— Wiem o tym, ciociu — odskrzyknęła Anda — do zobaczenia w wodzie!

Ciotka zniknęła w kabinie. Anda stała przez chwilę zamyślona. Naraz usłyszała za sobą głos kobiety:

— Kabina wolna, panienczko, proszę wejść.

— Aha, to znaczy, że będę tu się mogła przebrać?

— Oczywiście, po kąpieli, panienczko, można tu się ubrać. Czy panienczka ma własne prześcieradło, czy też naszykować?

— Nie używam nigdy prześcieradła! — wyznała Anda. — Przecież można doskonale wysuszyć się na słońcu. A poza tym lubię zanurzać się kilka razy.

Kobieta w stroju pokojówki miała przerażony i zgorzany wyraz twarzy.

— Panienska chciałaby pozostać w mokrym kostiumie i w ten sposób czekać, aż wyschnie. Przecież to niezmiernie niebezpieczne dla zdrowia.

— Ależ na pewno nic mi się nie stanie, jeśli będę siedziała na słońcu.

— Jak to? Na plaży? Nie sądzę, aby panienska myślała o ukazaniu się w obecności panów w mokrym, przylegającym kostiumie! A tu, niestety, w tej miejscowości, nie ma plaży wyłącznie dla pań.

— Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym suszyć się w mokrym kostiumie w obecności mężczyzn! Cóż to znowu za historia?

W tej chwili do kabiny ktoś zapukał — była to ciotka Eleonora. Uśmiechała się po swojemu, ni to zalotnie, ni to ironicznie.

— Cóż, znowu jakieś kłopoty, Anusiu? Nowe nieporozumienie? Ach, już wiem! Nie zdajesz sobie najzupełniej z tego sprawy, że kobiety naszych czasów nie obnażają się tak chętnie... To, co masz na sobie, jest, moja droga, najmodniejszym kostiumem kąpielowym!

— To? — krzyknęła zdumiona i oburzona do żywego Anda — to? Ta

122

123

cała masa gałganów? Długie majtki? Jakaś bluzka z rękawami i kołnierzykiem? I gorset pod tym? Czyż w tym można poruszać się w wodzie?

— Nie wiem, w jaki sposób masz zamiar się poruszać — upomniała ciotka Eleonora. — Prawdziwe damy nawet w wodzie poruszają się dystyngowanie i niegwałtownie. Spójrz sama!

Anda wyjrzała. Od drzwiczek każdej kabiny spuszczone niewielkie drewniane schodki, po których schodziły do wody kobiety w swych dziwacznych kostiumach. Brodziły ostrożnie po niewielkiej przestrzeni morza, ogrodzonej i zasłoniętej z dwóch stron. Mężczyźni pływali w oddali, na wolnej przestrzeni. Damy w długich za kolana majtkach i falba-niastych bluzach, w kapelusikach lub wielkich czepcach oraz w pantoflach, których wstążki oplatały im łydki, po krótkiej chwili przechadzania się w wodzie i ewentualnym parokrotnym zanurzeniu się wracały do kabin, gdzie czekały na nie kąpielowe w strojach pokojówek. Pokojowe zarzucały na spowite w mokre kostiumy damy wielkie, włóchaty prześcieradła kąpielowe. Damy spieszenie znikwały w kabinach, a po jakimś czasie ukazywały się już w sukniach i kapeluszach, w pończochach i buciczkach, przeważnie w rękawiczkach i z parasolkami, a to wszystko dla ochrony delikatnej cery przed opalenizną.

— Czy wejdiesz zaraz do wody, Anusiu? — spytała ciotka Eleonora — gdyż ja mam ochotę zanurzyć się nieco. Mój lekarz zalecił mi kąpiele morskie jako niezwykle pomocne na wszelkie stany nerwowe. Sądzę więc, że i tobie zrobią one doskonale.

— I ja tak sądzę, ciociu. Zaraz zejść do ciebie.

Już sama myśl o kąpeli jest urocza. Ale jak pływać w takim kostiumie? Już choćby tylko z tego względu warto jak najszybciej zmienić epokę. A na razie trzeba coś wymyślić, a przede wszystkim zdjąć gorset. Uff, jakże się inaczej oddycha bez tego okropieństwa. A teraz, z tej szerokiej falbany, przedartej na dwie części, można zrobić doskonały kostium dwuczęściowy — opalacz i slipki. Nawet to zupełnie nieźle wygląda... W kabinie jest małe lustro, więc można się przejrzeć.

Naraz ktoś zapukał.

— To jeszcze raz ja, Anusiu. Czemu tak długo nie zjawiasz się? Może ci pomóc w czymkolwiek? — skrzypiące drzwi kabiny uchylają się. Ciotka Eleonora mruży swoje piękne oczy. Teraz widać, że są one zielone.

— Co ty robisz najlepszego, moje dziecko?! — była zaskoczona

124

i najwidoczniej zgorziona tym, co zastała, ale jednocześnie wzrok jej padł na położony przez Andę na ławeczce złoty kluczyk. Oczy stały się jeszcze bardziej zielone.

— Och, ty dziewczyno z dwudziestego wieku — szepnęła. — Ty nie wiesz i nie rozumiesz, jak piękne jest życie mojej epoki. Tej epoki, w której śliczne kobiety, strojne i wytworne, otoczone są podziwem i uwielbieniem. Przyszedł tu z pojęciami swoich brutalnych czasów i chcesz do nich wrócić. A cóż się wtedy ze mną stanie? O nie, moja mała, nie posuniesz naprzód starego zegara!

I nim Anda zdołała się zorientować, ciotka Eleonora cienkim końcem swej długiej, zdobnej koronkami parasolki zepchnęła kluczyk z ławeczki, tak że wpadł do wody.

Anda krzyknęła i błyskawicznie rzuciła się w ślad za kluczykiem. Był to skok ryzykancki i szalony, ale już po chwili nurkowała spokojnie, szukając złotej zguby.

Woda przybrzeżna jest przejrzysta jak szkło. Oby tylko przy ruchu fal kluczyk nie zanurzył się w piasek. Coś błyszczy? Ależ tak! To on!

Ostatnim wysiłkiem pochwyciła mały złoty przedmiot i wypłynęła na powierzchnię.

Na brzegu stał tłum plażowiczów: dam w zabawnych kostiumach i wąsatych panów w pasiastych trykotach. Tłum ten zafalował gwałtownie w momencie, kiedy Anda wynurzyła się z wody, półprzytomna ze zmęczenia, przyodziana w swój nieco oryginalny, naprędce zaimprovizowany kostium kąpielowy.

— Aaaach! — zawołały sopranem wszystkie panie.

— Ooooch! — zawtórowały im tenory i barytony panów. Ktoś zawołał: — To samobójczyni!

Ktoś inny sprostował: —Nie, to wypadek!

Jakieś dziecko zdumiało się: — Mamusia, ta pani jest goła!

— Zamknij oczy i nie patrz na to, córeczko! — odpowiedział oburzony sopran.

Anda stała tymczasem, nic nie rozumiejąc. Oddychała z trudem i pomna wskazówek swego trenera, miała właśnie zamiar pobiegać trochę po plaży, aby wrócić do formy, kiedy podszedł do niej tatko i otuliwszy ją jakimś płaszczem kąpielowym, zakomenderował:

— A teraz szybko do domu!

125

— Kiedy mnie nic nie jest! Doskonale się czuję!

— Widzisz, dziecię moje, do czego prowadzi nieuwaga — powiedział tatko, kiwając głową.

— Jak to nieuwaga?

— O, ciotka Eleonora, która zresztą natychmiast musiała się oddalić, gdyż spieszyła się na pociąg, wyjaśniła nam, że przez nieuwagę pośliznęła ci się noga i wskutek tego wpadłaś do wody. Na szczęście, wynurzyłaś się, zanim ktokolwiek zdążył skoczyć na ratunek.

— Mnie? Na ratunek? — Anda czuła się obrażona — ciekawa jestem, czy tu kto potrafi pływać tak jak ja?

— W istocie niezwykle okazałaś przytomność umysłu i umiejętność pływania — zgodził się tatko — natomiast matka twoja źle się czuje.

Na skraju plaży w cienistym koszu siedziała mama; Zbyszek i Ewita krzatali się przy niej.

— Ach, moje dziecko! — zawołała mama na widok Andy — jakże przeżyłam tę twoją nieostrożność. Ale jakże się to stało, że byłaś tak... jak by to powiedzieć, no tak niezupełnie ubrana? Lecz najpierw opowiedz mi, jak się czujesz! Czy nie należałoby wezwać lekarza?

— Cóż znowu, czuję się doskonale — oświadczyła Anda.

— Jeśli tak, dziecię moje, to wobec tego — w tym momencie mama odzyskała siły i spojrzała na całą rodzinę jak wódz na żołnierzy przed bitwą — jeśli Anusia dobrze się czuje, to nic nam nie pozostaje innego, jak tylko wyjechać stąd jak najszybciej.

— Dlaczego? Mamo! — Anda była zrozpaczona. — Przecież dopiero co tu się znalazłam i już mamy wyjeżdżać.

— Bawimy tu już przeszło miesiąc. A poza tym nic nam innego nie pozostało do uczynienia po tym skandalu, którego bohaterką stałaś się, moja Anusiu!

— Ja? Bohaterką skandalu? Ale o co chodzi?!

— Cieszy mnie to, że niewinność twoja nie pozwala ci na zrozumienie całego ogromu tej kompromitacji. Czy jednak twój wstyd dziewiczy nie podszeptał ci nic, gdy ukazałaś się tak skąpo przyodziana na brzegu?

— Nie, nic nie podszeptał — wyznała Anda.

— Zresztą nie pora teraz na rozważania. W każdym razie wyjeżdżamy. Ewuniu, pomożesz mi przy pakowaniu kufrów! Wszyscy powędrowali teraz do niewielkiego domku, gdzie w jakimś

126

czysto wybielonym pokoju, zastawionym pierzyniastymi łózkami, zaczęło się pod komendą mamy układanie mnóstwa falbaniastych sukien w ogromnych kufrach. Anda miała zapakować do dwóch okrągłych pudeł sześć czy siedem suto przystrojonych kwiatami kapeluszy.

— Po kiego diabła było to wszystko ciągnąć nad morze! — denerwowała się, gdy kapelusze w żaden sposób nie chciały się zmieścić w pudłach, a pewna zielona papuga na jednym z kapeluszy mamy postradała nawet przy nieostrożnym ugniataciu skrzydło.

Wreszcie wszystko było gotowe. Kufry zapakowane, zamknięte na wielkie klucze, panowie — to znaczy tatko i Zbyszek — w komicznych kraciastych ubraniach podróжных, mama, Ewita i Anda w dziwacznych, marszczonych płaszczach narzuconych na szerokie, powłóczyste suknie, w ręku każda z pań trzymała wielką torbę podróżną, haftowaną krzyżykami w kwiaty.

— Ale po co te płaszcze? Kiedy przecież i tak jest okropnie gorąco — biadała Anda.

— Ach, nie wydziwiaj, Anusiu — gromiła ją tymczasem mama — każda elegancka dama nosi podczas podróży pudermantel...

— Przepraszam/^ amo, nie zrozumiałam: co nosi?

— Pudermantel!

— A po co?

— To dziecko znów zaczyna dziwaczyć, Adamie! — zawołała mama do ojca złamanym głosem. A potem dodała łagodnie: — Pudermantel, jak to powinnaś wiedzieć, osłania suknię od kurzu podczas podróży. Ale oto i fiakry!

Jacyś ludzie zaczęli wynosić kufry, jakaś z wiejska ubrana kobieta, zapewne właścicielka domku wynajętego na sezon, żegnała ich na progu.

— Czy masz, Adamie, nasze paszporty? — zaniepokoiła się naraz mama. — I jak myślisz, czy będzie rewizja celna na granicy? Kupiłam od tutejszych wieśniaczek nieco koronek ręcznych. Być może każą zapłacić cło?

— Jak to, to my jesteśmy za granicą? — zdumiała się Anda — a przecież słyszałam, że wszyscy naokoło mówili po polsku?

— Oczywiście, że jesteśmy za granicą — smutnie pokiwał głową tatko, a Anda zawstydzona. Jakże mogła nie pamiętać, że w latach osiemdziesiątych Polska znajdowała się pod trzema zaborami. Postanowiła więc

127

i

siedzieć cicho i już nie odzywać się, aby nie wyrwać się z jakimś niestosownym pytaniem.

Na dworcu panował ruch. Tragarze w błękitnych bluzach i czapkach z numerami przenosili bagaże szybko i składnie.

— Czy dużo jeszcze mamy czasu do odejścia pociągu? — dopytywała się Ewita.

Okazało się, że niezbyt wiele. Lokomotywa z dziwacznym kominem pluła już parą, podróżni spieszenie wsiadali do pociągu. Cała rodzina usadowiła się wobec tego w przedziale wysłanym czerwonym aksamitem.

Staroświecko, bo staroświecko — skonstatowała Anda. Lokomotywa i wagony pamiętają pewnie jeszcze Stephensona, ale za to jak czysto! I tłoku nie ma! I jacy konduktorzy grzeczni! Ech, ma swoje dobre strony ta epoka! O, na przykład kelner roznosi na tacy apetycznie wyglądającą herbatę, mleczną kawę, kanapki z szynką, ciastka.

— Czy zjecie coś, dzieci? — pyta tatko.

Anda i Zbyszek skwapliwie korzystają z zaproszenia — kanapki z szynką są wspaniałe. Tylko Ewita odmawia ruchem głowy.

— Czemu nie chcesz jeść, córeczko? — dopytuje się tatko. Ale mama zaraz wyjaśnia:

— Ach, zrozum, drogi mężu, że Ewunia jest tak głęboko przejęta czekającą nas podróżą. Wszak to dopiero drugi raz kolejną! Prawda, dziecię moje?

— Tak, mamó — wzdycha Ewita — i przyznam, że ciągle niezmiennie boję się tej szybkiej jazdy pociągu. I gdybym nie jechała z wami, moi drodzy rodzice, nigdy w świecie nie odważyłabym się na taką podróż. Pomyśleć tylko, że będziemy jechać z szybkością dwudziestu, a może nawet i trzydziestu wiorst na godzinę!

A ile to jest kilometrów takie dwadzieścia wiorst — chciała zapytać Anda. Ale w porę przypomniała sobie, że są to stare jednostki miary i że wiorsta wynosi trochę mniej niż kilometr. Tak więc pociąg miał ruszyć z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

Tak się to jej wydało zabawne w zestawieniu z wystraszoną miną Ewity, że zaczęła się śmiać.

— Z czego się śmiesz, dziecino moja? — spytała zdziwiona niepomrotnie mama.

— Oj, mamó, przecież to beznadziejne człapanie się! Pomyśl, że

128

przeciętna szybkość pociągu wynosić może 100—120 kilometrów na godzinę.

— Aha! Coś takiego przewiduje Juliusz Verne w swoich książkach — wtrącił się do rozmowy Zbyszek. — Ale on pisuje powieści fantastyczne, a nasza siostrzyczka uważa je za prawdziwe! Cha, cha!

Mama zaniepokoiła się.

— Nie wiem, czy to dobrze, że dziewczęta w tym wieku interesują się sprawami raczej dla chłopców odpowiednimi. Przyszłość twoją mam na względzie, Anusiu. Obawiam się, aby twych zainteresowań nie poczytano za ekstrawagancję. Przygotować się powinnaś do roli, jaka przeznaczona jest kobiecie — do zarządzania domem, zajmowania się gospodarstwem domowym i robótkami dla stanu twego odpowiednimi. Na tamborku winnaś więcej wyszywać.

A jeśli już lektura jakaś, dziecię moje, cię interesuje, to przecież są tak piękne książki dla panienek, jak powieści pani Jaraczewskiej czy już nawet panny Żmichowskiej, choć zbyt egzaltowana czasem mi się ona zdaje.

— A czytałaś, Wandeczko — zwrócił się tatko do mamy — w „Kurierze Warszawskim”, ukazujące się ostatnio nowele i opowiadania młodego pisarza, pana Sienkiewicza? Niezłe, zupełnie niezłe, lubo zbyt śmiałe i nowatorskie, aby mogły być czytane przez młodzież w wieku Anusi. Obawiam się, że mogą zbyt rozpalać młodociane umysły!

— Owszem, podobały mi się te opowiadania, mimo swej śmiałości — przyznała mama. — Również z zainteresowaniem czytuję felietony niejakiego pana Prusa. Wiele dowcipu w nich znajduję i żartobliwość jego bardzo mi się podoba.

Anda miała wielką ochotę zabrać głos w tej rozmowie o literaturze, ale właśnie lokomotywa szarpnęła, rozległy się dzwonki, nawoływania i wreszcie pociąg ruszył. Anda spojrzała w tym momencie na Ewitę, która miała taką minę, jakby co najmniej leciała w rakiemie na księżyc.

Szkoda, że nie mogę im pokazać radia albo telewizora — pomyślała Anda — dopiero by się dziwili. I może nawet nie chcieliby uwierzyć, że postęp techniczny poszedł tak daleko.

- Godzina pąsowej...

Rozdział jedenasty

W domu, tym domu z roku 1880, dzieją się najdziwniejsze rzeczy. Lato zbliża się ku końcowi i smaży się konfitury oraz robi inne zapasy na zimę.

Mama, ta z Rakowieckiej, zawsze twierdziła, że nie warto tak się męczyć. Ba, nawet czasem odводziła Genowefię od przygotowywania różnych marynat. Zgadzała się tylko na grzybki w occie, które wszyscy ubóstwiali i których nie można było dostać w sklepach. A poza tym były przecież w sklepach dżemy i galaretki, i konfitury, i poza tym różne mrożonki.

A teraz? W kuchni działy się przeróżne rzeczy. Przede wszystkim sama kuchnia była zupełnie inna niż ta na Rakowieckiej. Ta z roku 1880 była ogromna i dość ciemna. Podłogę miała z białych desek czysto wyszorowanych. Na półkach połyskiwały wielkie miedziane rondle, a ogromny kaflowy komin zajmował sporą część kuchni. Płonął pod nim ogień podsycany drewnem i węglem. Gazu — jak przekonała się Anda — w kuchni nie było. Wywołała nawet niepokój tak zwanej kucharki, kiedy zapytała o ten brak, a następnie zapewniła, że wkrótce będzie się gotować na płomieniach gazowych lub wykorzystywać do tego celu energię elektryczną. Prawdę mówiąc, kucharcia czuła się nawet poważnie dotknięta i gotowa była się rozpłakać.

— Panienska Anusia to żartuje sobie z prostego człowieka i tyle — tak poskarżyła się mamie. A mama kazała wtedy, aby Anda natychmiast przeprosiła kucharcię za niewczesne żarty.

130

Tak więc pod kominem rozpalony był ogień, od którego buchał nieznośny żar, a na kominie stały te właśnie pięknie wyczyszczone piaskiem (bo kucharcia używała do szorowania wyłącznie piasku) rondle miedziane. Mama i Ewita siedziały przy stole i przygotowywały owoce do smażenia. A Anda miała pomagać. Kucharcia stała przy kominie i mieszała coś ogromną warząchwią.

— Możesz wyjmować pestki z tych mirabelek — powiedziała mama. — Albo może wolisz pomagać przy robieniu wędlin? W takim razie, proszę cię, zajmij się wyczyszczeniem jelit, które przyniosła od rzeźnika Genowefcia. Należy je

wymyć bardzo starannie, najlepiej szczoteczką, następnie znów wypłukać, a potem namoczyć w wodzie na jakie dwa dni. Będziemy też robić serdelki — dodaje mama. — Jeśli masz ochotę, będziesz mogła posiekać mięso. Tylko musi być posiekane bardzo starannie i drobno.

Z dalszego wywodu mamy wynikało jasno, że w epoce ciotki Eleonory nie znane s-ą^maszynki do mięsa, lodówki, piecyki gazowe. Mięso na serdelki trzeba siekać własnoręcznie, za pomocą narzędzia zwanego tasakiem. Tak jest! Tasakiem. Kucharcia opasuje Andę wielkim fartuchem. A więc najpierw szorowanie szczoteczką i płukanie jelit, a potem siekanie mięsa. Jednak łatwiej było po prostu kupować wszystko w zwykłym sklepie z wędlinami.

Anda wdycha i nie może sobie dać rady z tą całą robotą kuchenną, podczas kiedy Ewita skromnie i przykładnie wysłuchuje wszystkich pouczeń mamy i kucharki — kształci się w zawodzie przyszłej wzorowej pani domu.

— To też musisz pamiętać — co jakiś czas upomina mama starszą córkę — przydadzą ci się te wiadomości, kiedy już będziesz na własnym gospodarstwie!

Tak, tak, na własnym gospodarstwie! Bo Ewita wychodzi za mąż. Jest zaręczona! Jest zaręczona z Doroszem!

Tak, z Doroszem. Ale nie z tym biednym Doroszem noszącym wytarty studencki mundur. Za takiego biednego studenta żadna panna nie odważyłaby się wyjść. Z czegoż by żyli? Teraz sprawa przedstawia się zupełnie inaczej — Dorosz nagle stał się bogatą i pożądaną partią! W jaki sposób? Dostał spadek po jakiejś niezmiernie hojnej ciotce. Wobec tego mógł już się oświadczyć o Ewitę. Anda uważa, że odbyło się to wszystko okropnie

131

miesznie. Bo któregoś dnia Dorosz przyszedł w samo południe we fra-;u! W cylindrze i z bukietem w dłoni! Niby nikt nie wiedział, że przy-Izie się oświadczyć, a przecież Ewita tego dnia była już od samego rana iczesana w loki z kokardką z różowej aksamitki i miała najpiękniejszą uknię z cieniutkiej welenki w kolorze „paille”. A w przeddzień wieczno-em ręce natarła gliceryną zmieszaną z sokiem cytrynowym, aby były dałe i delikatne, i włożyła na noc stare irchowe rękawiczki. Mama też od ana chodziła w sukni koloru „rezeda”, a Genowefcia włożyła biały far-uch i nakrochmalony czepeczek z ururkowaną falbanką. Tylko Anda niała przykazane, aby siedziała w panieńskim pokoju i nosa z niego de wysuwała. — Bo jeszcze coś takiego wymyślisz — powiedziała aama — i nieszczęście gotowe. Ale jak się potem okazało, obeszło się bez nieszczęścia. Dorosz przy-3chał karetą — Anda widziała to przez okno — i był ogromnie zdenerwowany. Anda ledwie go poznała, tak zabawnie wyglądał z wąsikami bródką. I w dodatku, ledwie że wszedł na górę, już może po jakich dzie-ięciu, piętnastu minutach zbiegł na dół, wszedł z powrotem do karety odjechał. Anda najpierw przypuszczała, że może pogniwiali się z Ewitą, 'onieważ tak szybko po tej wizycie wypadł z ich domu, ale ze zdumie-iem zauważyła w przelocie, że kiedy mówił coś do stangreta, miał minę ardzo szczęśliwego człowieka. Ponieważ tę sprawę należało zdaniem mdy jak najszybciej wyjaśnić, opuściła więc panieński pokój i pobięła o salonu. Tam zastała mamę, wzruszoną i ocierającą zapłakane oczy rany boskie! jakie to niepodobne do tej mamy z ulicy Rakowieckiej!), tulącą do serca również niezmiernie wzruszoną Ewitę.

— Powinszuj mi, droga siostrzyczko — zawołała radośnie ta ostatnia a widok Andy — zostałam narzeczoną pana Dorosza!

— No widzisz! Miałam rację! — wzruszyła ramionami Anda — od azu ci mówiłam, żebyś się za niego wydała. — Chciała jeszcze zapytać, laczego właśnie Dorosz był we fraku, kiedy nadbiegła Genowefcia rzuciła się do składania życzeń i powinszowań mamie i Ewicie.

— Jakieś przecucie miałam, zem tak tę podłogę w salonie wyfrote-3wała — dodała z westchnieniem. — Bo wstyd by było, gdyby sobie pan >orosz na przykład spodnie kurzem pobrudził.

— A on miał siadać na podłodze, czy co? — zdumiała się Anda.

— Nie siadać, nie siadać, tylko klękać, panienko.

132

— A po co klękać?

— Jakże? — Genowefcia aż podskoczyła, a Ewita nie wiadomo dlaczego zarumieniła się i spuściła wstydliwie oczy. — Jakże — rozwodziła się dalej Genowefcia — przecież wiadomo, że na kolanach prosi się pannę o rączkę.

— Czy to ma znaczyć, Genowefciu kochana, że Dorosz buchnął na kolana przed Ewitą?

— A pewnie! Przecież nie może być inaczej! I przed panienką Anusią też ktoś niedługo już pewnie klęknie...

— Za nic na świecie! Przecież sama bym pękła wtedy ze śmiechu. Ale nie, naprawdę tak się teraz ludzie oświadcniają? Nie, wy na pewno żartujecie sobie ze mnie!

— Ach, Anusiu, znów niepoważnie, dziecię moje, i lekkomyślnie się wyrażasz o tak niezmiernie ważnej chwili w życiu kobiety jak ta, w której mężczyzna prosi/ra, aby została jego dożgonną towarzyszką na drogę życia — mama była wyraźnie zmartwiona i widoczne było, że odezwanie się Andy sprawia jej przykrość i stanowi jakiś dysonans w tym odświeżnym nastroju.

Trzeba więc było jakoś szybko to naprawić. No przecież trudno, jeśli to już jest epoka jakichś niepojętych dziwactw, to w każdym razie nie ma sensu robić mamie z tego powodu przykrości. Trzeba się przystosować i już! — postanowiła energicznie Anda. — Dopóki tkwję w tych prze-śmiesznych czasach, muszę udawać, że mnie nic nie dziwi. Chociaż naprawdę trudno czasem opanować się. Ale muszę! Podeszła więc szybko do mamy, aby ją ucałować, a potem złożyła życzenia Ewicie:

— No, staruszek, cieszę się, że ty się cieszysz! I pamiętaj, że jak bodziesz miała bliźnięta, to masz mnie zaprosić na chrzestną matkę!

I to znów było, jak się okazało, niedobre! Bo Ewita natychmiast spłonęła purpurowym rumieńcem i znów spuściła wstydliwie oczy, a mama zawołała drżącym głosem:

— Anusiu! Powinnaś wiedzieć, dziecię moje, że panience nie wypa-da mówić o takich rzeczach! Proszę cię na wszystko, abyś pamiętała o tym i wzięła pod rozwagę moje słowa.

— Ale przecież Ewita zawsze chciała mieć bliźnięta! — krzyknęła "burzona do żywego Anda — pamiętam, jak nieraz o tym mówiła. Nawet przy Doroszu była kiedyś o tym mowa!

133

IER

II

— Prawdą to jest, córko moja? — mama zwróciła się teraz z tragiczną naganą w głosie do Ewity.

— Przenigdy w świecie takie słowa przez usta by mi nie przeszły w obecności pana Dorosza — wyjąkała przerażona Ewita. — Przysięgam, droga mamó, iż nie mówiłam nic takiego, co by uwłaczało mojej skromności. Zawsze pomna byłam twych cennych rad i przestróg, których mi nie szczędziłaś, pragnąc wychować mnie na zając i cnotliwą panienkę.

— Wierzę ci, moje dziecię — oświadczyła wobec tego mama — tylko lekkomyślnie nimi szafuje.

— Ależ, Ewito, sama przecież mówiłaś — Anda miała zamiar przypomnieć Ewicie okoliczności towarzyszące jej wypowiedzi na temat bliźniąt i dzieci w ogóle, kiedy naraz przypomniła sobie, że przecież to były wypowiedzi Ewity z epoki mieszkania na Rakowieckiej, a nie na Miodowej! I znów trzeba było jakoś wybrnąć z tej głupiej sytuacji.

— Ach, Ewito, teraz sobie przypominam doskonale, że rzeczywiście mówiłaś, że nie chcesz bliźniąt! — zawołała pragnąc naprawić sytuację. Ale widać, to znów było jakieś niezupełnie udane powiedzenie, mimo że miało przecież zrehabilitować Ewitę w oczach mamy. W salonie zawisło pełne zgromy milczenie, które na szczęście przerwał dzwonek. W przedpokoju zabrzmiał głos ojca.

To uratowało na razie sytuację.

Uratowało zresztą nie tylko na razie, ale i w ogóle, gdyż w ogólnym rodzinnym radosnym rozgardiaszu zapomniano o tej rozmowie. Teraz Ewita stała się ważną osobą i wszystko robiło się w domu pod znakiem jej przyszłego zamążpójścia. Przede wszystkim więc odbyły się uroczyste zaręczyny. Ale takie niezmiernie uroczyste! Z przyjęciem na trzydzieści osób. I z pierścionkami. A jakże, Ewita dostała od Dorosza pierścionek z dużym, błękitnym jak niezapominajka turkusem, otoczonym drobnymi brylancikami, a Dorosz otrzymał od Ewity sygnet. I przemówienia były, i toasty, i pito szampańskie wino. Anda napiła się trochę i bardzo jej smakowało. Zupełnie jak taka lepsza woda sodowa, naprawdę. A potem zrobiło się jej bardzo wesoło i chciała koniecznie też wygłosić jakiś toast, tylko że tatko i Zbyszek podstępnie wywabili ją z jadalni i odprowadzili do innego pokoju. Potem zaś zasnęła i śniła jej się, że jest z powrotem na

Rakowieckiej, że do mamy przyszli znajomi na kawę, a Ewita rozmawia przez telefon z Doroszem i umawia się z nim do kawiarni.

Ale to był tylko sen! Kiedy Anda się przebudziła, znów była na Miodowej! A Ewita nie umawiała się wcale z Doroszem, tylko Dorosz w charakterze narzeczonego przychodził po południu na herbatę, a rano przysyłał ogromne bukiety i bombonierki z czekoladkami oraz idiotyczne listy w rodzaju tego, który Anda przypadkiem, ale to zupełnie przypadkiem, przeczytała:

Czcigodna i łaskawa panno Ewo!

Na dzień dobry ośmielam się kwiatów tych skromne wiązanie
u stopek złożyć i pokornym sługą się kreślę.

Jan Dorosz

Oczywiście, że Anda, biorąc to wszystko za żart, nie mogła się na-chwalić Dorosza za jego dowcip, ale kiedy wkrótce przekonała się, że jest to przyjęta i w jak najlepszym stylu utrzymana forma listu narzeczonego do narzeczonej i że wszystko odbywa się na serio, była zupełnie załamana. W dodatku nie mogła pojąć, czemu Ewita i Dorosz, mimo że ich ślub miał się odbyć za miesiąc, ciągle mówią do siebie pan i pani. Ale najdziwniejsze i właściwie najgorsze było to, że zaczęto jej używać jako przyzwoitki. To już było okropne. Najpierw nie mogła się zupełnie zorientować, na czym ma polegać jej rola, dopiero Genowefcia wszystko jej wyjaśniła — że ona, Andzia, ma obowiązek, kiedy mama ją o to poprosi, iść do salonu i siedzieć tam w owym czasie, kiedy Dorosz przebywa z Ewitą.

— Ale przecież na pewno będą wściekli, bo będę im przeszkadzała — zmartwiła się Anda — przecież na pewno będą chcieli się pocałować!

— Przyzwoite panny nie całują się nawet z narzeczoną — oświadczyła surowo Genowefcia — to zdarza się tylko w prostym stanie, a panience nie wypada nawet o tym rozmawiać. A w salonie siedzieć trzeba, bo też nie wypada, żeby młoda para była sama, bez niczyjej opieki. Właściwie zdałaby się na taką przyzwoitkę jakaś starsza osoba, ale jeśli nikogo innego nie ma pod ręką, to i panienka dobra.

No i w ten sposób Ewita zaręczona z ukochanym Doroszem, co prawda niezupełnie w tej samej epoce, ale zawsze zaręczona, nie mogła się

134

135

nawet z nim pocałować. A Anda, która miała ochotę wypić z nim bruderszaft, też musiała być okropnie oficjalna. Dorosz z bródką był przezabawny, ale starał się być miły. Przynosił Andzie pudełka owoców smażonych w cukrze i nazywał ją małą siostrzyczką.

Zupełnie jak w starej, sentymentalnej powieści dla panienek — rozważała Anda. — Właściwie czuję się tak, jakbym czytała takie przykładowe powieści i niespodziewanie znalazła się w środku toczącej się leniwie akcji. Ale swoją drogą, trzeba będzie z tym skończyć. Muszę trafić do zegara.

Ba, ciągle o tym myślała, ale sprawa wcale nie była ani łatwa, ani prosta, i w tym miejscu sentymentalna, staroświecka powieść dla panienek traciła swój ciki charakter i stawała się zwariowaną awanturą. Ciotka Eleonora znów przebywała za granicą i tylko wiadomo było, że być może przyjedzie na wesele Ewity. A przecież dopiero wtedy stwarzała się jakaś szansa dotarcia do porcelanowego zegara.

Tymczasem w kuchni ciągle wrzała robota. Przyrządzano wędliny, robiono marynaty, planowano już menu na wesele, które miało się odbyć w pierwszych dniach września. Wrzesień i październik bowiem były to miesiące, jak określiła Ewita, szczególnie przez dystygowane towarzystwo faworyzowane i najodpowiedniejsze do zawierania związków małżeńskich. Szykowano również wyprawę. Ale jaką!

— Po co ci tyle wszystkiego? — dziwiła się Anda, słysząc, jak mama z Ewitą wyliczają astronomiczne liczby bielizny pościelowej i osobistej.

— Jak to po co? — oburzała się Ewita — przecież taka wyprawa to już na całe życie!

— A nie znudzi ci się mieć ciągle wszystko to samo?

— Nie znasz się na tym, moja droga — mówiła z wyższością w takich wypadkach Ewita i zabierała się do haftowania. Bo, jak się Anda dowiedziała, wypadało, koniecznie wypadało, aby chociaż drobna część t&czy należących do wyprawy była wyhaftowana przez przyszłą oblubienicę. Dlatego więc Ewita masę czasu poświęcała na ozdabianie własnoręcznie wykonywanymi monogramami wielkich, białych batystowych chusteczek do nosa, przeznaczonych dla przyszłego oblubieńca.

Mama wyciągała z przepaścistych szuflad komody jakieś koronki wydłużane szydełkiem przez Ewitę i potrząsając nimi triumfalnie mówiła przy tym:

136

— A widzisz, dziecko moje, jakże teraz przydatne będą do ozdobienia twojej wyprawy!

Niezależnie jednak od tego mama i Ewita, zabierając czasem z sobą Andę, wędrowały od sklepu do sklepu po zakupy do tejże wyprawy, jak twierdziły, niezbędne. Mama kupowała więc całe sztuki białych płócien i sztuki białych tkanin, które nazywała „madapolam”, i wreszcie sztuki cieniutkiego, połyskliwego jak jedwab, najdroższego płótna, zwanego „webą”. Ta weba miała być użyta na koszule nocne i część dziennych. Część zaś bielizny miała być zrobiona, wskutek prośb Ewity, z prawdziwego batystu. Co prawda mama była temu trochę przeciwna.

— Batystowa bielizna, dziecko moje? — pytała z lekkim niezadowoleniem w głosie — nie zdaje mi się, aby była praktyczna... A poza tym jest to, że się tak wyrażę, bielizna zbyt może przejrzysta jak dla damy z towarzystwa.

Słyszałam — dodawała ze zgrozą — że taką bieliznę noszą aktorki!

Dlaczego nie sprawisz sobie nylonowej — chciała zapytać Anda, ale w porę uprzytomniła sobie, że w czasach ciotki Eleonory nikt nie miał pojęcia o takiej bieliźnie. — Swoją drogą szkoda, że nie przeniosłam się w te zamierchłe czasy jaskiniowe w swoim nylonowym komplecie — żałowała w duchu, przysłuchując się tym rozmowom. A tymczasem mama i Ewita ciągle rozważały:

— Dostaniesz, moje dziecko, dwa tuziny prześcieradeł i dwa tuziny podpinek pod kołdry. Myślę, że do tego sześć fartuszków z koronkami wystarczy ci zupełnie.

— Och, zapewne.

Anda najpierw była pewna, że chodzi o najzwyczajniejsze fartuszki, takie, jakimi osłania się suknie do pracy przy gospodarstwie, ale sprawa zaraz się wyjaśniła. Fartuszki — w tym wypadku — były to strojne uzupełnienia podpinek, suto zdobione koronkami i wstawkami. Fartuszki przypinało się do kołder w wypadku, gdy leżało się w łóżku i oczekiwało wizyty lekarza lub przyjaciółek.

A kołdry? Kołdry musiały oczywiście być robione na obstalunek, atłasowe z wierzchu, puchowe w środku. Jaki kolor?

— to było przedmiotem długiej dyskusji. Mama koniecznie chciała, żeby były w tak zwanym kolorze bordo — to znaczy w kolorze czerwonego wina. Twierdziła, że będą

137

ówno eleganckie, jak i praktyczne. Ale Ewita usiłowała przeforsować w tym wypadku własne zdanie.

— Wydaje mi się — zaczęła nieśmiało — że kołdry atłasowe w kolorze różowym, w odcieniu „fraise” lub starego złota byłyby piękniejsze. W tych barwach bardziej do twarzy szatynkom.

— Jakaś do twarzy? — mama znieruchomiała. — Czyż uczciwa, nująca się kobieta, mężatka, powinna takie rzeczy mieć na względzie? W daie mi s^> corko moja, iż usiłowania nasze, aby wychować cię w skromności, niezupełnie pomyślny osiągnęły rezultat.

Biedna Ewita. Spłonęła łuną rumieńca i tak srogo upomniana spuściła powieki nic już nie mówiąc.

Takież to okropne czasy — zdumiała się w duchu Anda. — Co ma kołdra do skromności? Pierwsze słyszę!

Trzeba jakoś pomóc biednej Ewicie, bo rzeczywiście szkoda, żeby

— miała kołdry w kolorze starego złota, jeśli już sobie tak wymarzyła.

T Iko trzeba w tym wypadku jakoś umiejętnie przekonać mamę. Ale jak

robić? Nie jest to łatwe. Trzeba użyć jakiegoś mocnego argumentu. Wtrąciła więc z niewinną miną:

— A przecież ciotka Eleonora zachwycała się kołdrami w kolorze starego złota.

— Czy doprawdy jesteś tego pewna, Anusm?

fylam wrażenie, że tak.

Mama jest jeszcze trochę niepewna, ale zaraz się załamie. Ciotka Eleo-
jest niezachwianym autorytetem w tej rodzinie z 1880 roku. I do-
iemalże zdanie ciotki zwycięża. Mama ustępuje, Ewita płonie teraz
dości i wszystko jest w porządku. Sprawa koloru załatwiona. Ale oczy-
! , • :eSt to zaledwie maleńka częśćka tego wszystkiego, co oblubienica
ma otrzymać w swej wyprawie.

Potem więc nastąpiły dalsze rozważania — ile ma być obrusów na , anasie osób, a ile na dwadzieścia cztery i ile ma
być do tego dużych serwetek, a ile małych. I ile ma być tuzinów ręczników, a ile tuzinów
ścierek.

—. grebra masz dostać od ciotki Eleonory — mówi w pewnej chwili

—a — wiem, że nawet zamówiła u Frageta, na dwadzieścia cztery osoby naturalnie z twoim monogramem. To
znaczy z literami E. D. JjjaktoE. D.?

— Och, Anusiu, taka jeszcze jesteś dziecinna! Przecież Ewa będzie się nazywać jako mężatka — Ewa Doroszowa.
Prawda, jak można być taką gapą. A w dodatku Ewita znów się zarumieniła. Zupełnie nie wiadomo, jak to robią te
panny z lat osiemdziesiątych, że rumienia się przy lada okazji. Śmieszna rzecz!

Nie było jednak czasu zwracać uwagę na rumieńce — przyszła bowiem kolej na rozważanie niezbędnej liczby sukien,
które Ewita miała również otrzymać w wyprawie, liczby szlafroków, par obuwia, rękawiczek, ba, nawet pończoch. Nie
mówiąc już o futrze. Z przemówienia mamy na ten temat wynikało, że panna z dobrego domu powinna otrzymać co
najmniej jedno futro na nową drogę życia. Mama już nawet powzięła sama decyzję, że Ewita otrzyma podbitą
popielicami rotundę; pokrycie będzie w najmodniejszym kolorze marengo, a kołnierz z najpiękniejszych skórek
bobrowych. Do tego bobrowy zarękawek.

Masz ci los, co to jest zarękawek? Anda nie miała pojęcia, co może oznaczać to dziwne słowo, ale na szczęście,
przeglądając razem z Ewitą najnowszy paryski żurnal na rok 1880 z napisem L 'automne, I 'hiver, przekonała się, że
znaczy to po prostu muffka. Ewita tymczasem wybierała fason sukien.

— Po co ci tyle sukienek? Przecież potem wyjdą z mody i nie będziesz ich mogła nosić — hamowała jej zapędy Anda.
Zresztą strasznie jej się wydało zabawne, żeby szyć takie staroświeckie suknie.

— Jak to, po co? — oburzyła się Ewita — dobra suknia z mocnego materiału może być noszona przez szereg lat.

— A prawdziwie elegancka kobieta zamężna nie nadąży znów tak za modą jak byle kto — dokończyła mama.

Ewita tymczasem znalazła w żurnalu jakąś suknię bardzo ogoniastą i wciętą, więc omdlewała z zachwytu.

— Ach, mamó, taką suknię w kolorze śliwkowym, przystrojoną turkusowymi aksamitkami będę miała do proszenia
gości.

— Co to znaczy „do proszenia gości” — zdumiała się znów, już po raz nie wiadomo który, Anda.

— Niektórych gości, tych z bliskiej rodziny, oraz osoby, na których szczególnie zależy, narzeczona zaprasza osobiście.
Trzeba będzie wynająć na jeden dzień albo na dwa powóz z remizy

138

139

i będziemy musiały złożyć masę wizyt. Oczywiście nie wszystkim będziemy je składały. Przygotujemy listę. A
pozostałym osobom pośle się zaproszenia.

— A ty, mamó, jaką będziesz miała suknię do proszenia gości?

Bo okazuje się, że narzeczona powinna prosić gości w towarzystwie swej matki. Dlatego więc mama też musi mieć
sprawioną na tę okazję nową suknię.

— W kolorze „mauve”! Mamó, w kolorze „mauve”, przybraną futrem i aksamitem — nalegała Ewita.

Anda nie domagała się, aby sprawiono jej nową suknię. Już wiadomo, że wtedy zaraz wypłynie sprawa nowego
gorsetu, czyli sznurówki, jak to się w tym czasie nazywa, i trzeba będzie mierzyć sto razy i w ogóle nic zabawnego.
Tyle że ma się wrażenie, że się idzie na bal kostiumowy. Ale nie obejdzie się bez nowej sukni w żadnym wypadku,
gdyż Anda ma być druhną. I ma mieć prawdziwego družbę.

To znaczy, że będzie to taki pan, który będzie jej towarzyszył w orszaku ślubnym. I będzie potem pewnie z nią
tańczył.

Żeby to chociaż był jakiś dorzeczný chłopiec — wzdycha Anda. I ma jak najgorsze przeczucia. — Na pewno będzie
jakiś wąsaty albo może i brodaty i będzie wyglądał bardzo śmiesznie.

— Anusiu! O czym myślisz? Czy wydrylowałaś już te francuskie śliwki? — Głos mamy przerywa rozmyślania Andy. Tak,
już szczęśliwie skończyła to całe drylowanie.

— Pomożesz teraz kucharci przyrządzać kiełbasy — poleca mama — a Ewunia musi jeszcze przymierzyć suknię. Potem
pojedziemy do klasztoru na Tamce.

W tym klasztorze na Tamce wychowanki sióstr zakonnych szyją i haftują całą wyprawę Ewity. To należy do dobrego
tonu mieć wyprawę szytą, jak to się mówi, „na Tamce”. Wyprawa jest zresztą nie tylko szyta, ale i haftowana. Na
każdej sztuce bielizny, na każdej serwetce, na każdym ręczniku i na każdej nawet ściere — monogram. Okropność —
wzdycha myśląc o tym Anda — po co to? Tyle roboty, nikomu to właściwie chyba do szczęścia niepotrzebne. Dziwna
epoka, w której nie ceni się ani czasu, ani pracy ludzkiej. Lub też, być może, w owych latach ludzie mieli tego czasu

więcej, a pracę wykonywali jakoś bardziej powoli. Albo te suknie — ileż dni czy tygodni i ileż trudu pochłania uszycie sukni

140

zdobionej taką nieprzytomną ilością falbanek, naszyć, riuszek, kokardek i lichu wie czego jeszcze!

Anda z niechęcią zabierała się do pomagania kucharki przy robieniu wędlin, kiedy niespodziewanie okazało się, że przyszedł Dorosz. To od razu zmobilizowało wszystkich. Ewita skoczyła jak oparzona do panińskiego pokoju, aby się upiększyć na przyjęcie narzeczonego — to znaczy przede wszystkim zmienić suknię. Była w jakiejś starej spódnicy i bluzce, a przecież tak za nic nie wypadało pokazać się przyszłemu małżonkowi.

— Ja też jestem w tym okropnym szlafroku! — jęknęła mama. — Nie mogę przecież porzucić teraz mych zajęć. Co począć? Ach, już wiem Anusiu, dziecię moje, zaniechaj tej pracy, pójdź, umyj ręce, zdejm fartuszek i udaj stół do salonu, aby towarzyszyć Ewuni, gdy przyjmować będzie pana Jana. Sukienki, na szczęście, nie potrzebujesz zmieniać, ta jest zupełnie czysta.

— Ależ muszę pomóc kucharki! — zaoponowała Anda. Bardzo nie lubiła tego „ciotkowania” narzeczoną.

Śmieszny pomysł, żeby kazać komuś siedzieć w salonie i przeszkadzać zakochanym. Stanowczo instytucja „przyzwoitki” nie przypadła jej do gustu. Ale mama była nieubłagana, jeśli chodziło o tak zwane zasady.

A Dorosz przyszedł, żeby opowiedzieć Ewicie, że mieszkanie dla nich będzie wkrótce gotowe.

— Skromne, ale wygodnie urządzone — zaznaczył. — Tylko cztery pokoje, ale na razie wystarczy nam takie gniazdko, nieprawdaż, droga panno Ewo? — spytał. Przy tym, jak to określiła Anda, przewracał idiotycznie oczami. — Oto plan naszego mieszkania. Ten podłużny pokój to jadalnia, ten duży, o czterech oknach, będzie odpowiedni na salon, ten mały to mój gabinet, a zaś czwarty, sądzę, że jako piękny i słoneczny — nadawać się będzie na sypialnię.

— A gdzie będzie mój buduar? — spytała Ewita.

— Buduar, królowo moja? — Dorosz zastanowił się. — Ach, jakież głupiec ze mnie, żem o buduarze nie pomyślał!

Natychmiast spieszę do właściciela domu i inne mieszkanie wynajmę. Pięciopokojowe, rozumie się. Wybacz, pani, mój brak rozwagi. Tylko jedno mnie niepokoi, czy na drugim piętrze będzie chciała bogini moich myśli zamieszkać.

— Drugie piętro? Toż to prawie mansarda! — skrzywiła się kapryśnie Ewita. — Czyż na pierwszym znaleźć już nic nie można?

141

— Postaram się znaleźć — pokornie szepnął Dorosz — zaraz udaję się na poszukiwania.

I ucałowawszy ceremonialnie końce palców Ewity, wyszedł spieszenie z salonu.

— Rany boskie, to dopiero czasy! — mruknęła Anda ze zdumieniem.

— Ewita nosem kręci na cztery pokoje! A w naszych czasach na Rakowieckiej to marzyła, żeby Dorosz bodaj kawalerkę dostał dla nich obojga! Tak, tak, widzę jednak, że ta epoka ma i swoje dobre strony. I tak w dodatku można grymasić! To mi się nawet dosyć podoba. A może by też się zaręczyć? Tylko z kim?

W tej chwili weszła spieszenie do salonu mama.

— Czy już poszedł pan Jan? — spytała.

— Poszedł — odpowiedziała Ewita, nadymając wargi — i proszę sobie wyobrazić, droga mamó, że proponował mi, iż zamieszkamy w czte-ropokojowym mieszkaniu! Bez buduaru dla mnie. I na drugim piętrze! Dobrze, że nie na mansardzie! Ale dałam mu do poznania, co o tym myślę!

— Dobrze uczyniłaś, córko moja — pochwaliła mama — ale zarazem uwagę twoją muszę zwrócić na fakt, iż zacny pan Dorosz, pochodzący z niezamożnej rodziny, nie przyzwyczajony jest do właściwej wygody w mieszkaniu. Matka jego, bardzo zresztą szlachetna niewiasta, owdowiawszy, krawiectwem się musiała trudnić i wraz z synem na trzecim piętrze w trzech pokojach musiała się gnieździć.

— W trzech pokojach! To okropne! — westchnęła współczująco Ewita.

— Ach, żałuję teraz, żem tak srogą i niewyrozumiałą była dla niego.

— Ach, dziecię moje, znając twą łagodność, wiem, iż na pewno nie potrafiłaś być srogą, jak się o to oskarżasz — pocieszyła ją mama — a zresztą słusznie uczyniłaś. Godną jesteś, córko moja, odpowiedniej oprawy. Mam nadzieję, że meble, które kupuje twój przyszły małżonek, będą w dobrym guście. Zwyczaj tak każe, aby pan młody meblował mieszkanie, może jednak lepiej będzie, aby twój ojciec w tym mu służył radą.

— Mówił mi pan Jan, iż jadalnię pragnie, abyśmy mieli dębową w stylu gdańskim, salon chyba w stylu Ludwika XIV, ja bym zaś buduar chciała mieć, droga mamó, z drzewa różanego, kryty bżowym atłasem. Lub może cytrynowym?

— Lepiej cytrynowym — wtrąciła się teraz Anda — a swoją drogą, wy tu grymasicie w tym dziewiętnastym stuleciu, moi drodzy, że aż lichu

142

człowieka bierze. A tapczan, szafa i stolik, to nie łaska? Ej, Ewita! Nie przesadzaj.

— Anusiu! — przywołała ją do porządku mama. — Widzę, że znów zaczynasz zachowywać się niestosownie. Czy uczyniłaś już jakieś postępy w haftowaniu pantofli dla twego drogiego ojca? Uważam, iż niezbyt się przykładasz do haftu, a wszak wybrałam ci niezmiernie piękny wzór kanwowy. Wszystkie panie, które prenumeratę „Bluszczu” posiadają, nie mogły się nim dość nazachwycać.

— Nie wiem, czy poczyniłam postępy — wyznała Anda — ale spróbuję, mamó.

Jednocześnie zastanawiała się i porównywała obie epoki. To jest orzech do zgryzienia -fy pomyślała. — Tu Ewita miałyby szalone warunki — bogaty Dorosz w charakterze męża, pięć pokoi, grymasy, wyprawy — ale znów jak się pomyśli o tych śmiesznych i niewygodnych sukniach,

O tym, że wiecznie wszystko nie wypada, to też oszaleć można. Ale to tylko mnie denerwuje, boja wiem, że to jest inna epoka, a oni nie wiedzą

1 na pewno są wskutek tego szczęśliwi! Mnie denerwują naftowe lampy, a mama każe mi robić takie coś, co się nazywa... zaraz, jak to się nazywa... aha! Umbrelka! Otóż mama każe mi robić umbrelkę, bo razi ją światło zbyt jasno palącej się lampy naftowej. Ale jednocześnie mama też ma swój buduar i duże mieszkanie. Ale za to inny mankament — brak łazienki. A mama zawsze mówi, to znaczy ta mama z Rakowieckiej — że czystość to grunt. A tu, wśród tych atłasów i ogromniastych luster, kąpiemy się co sobota, śmiech pomyśleć — w szafliku! To straszne! Ewita wchodzi do tego szaflika ubrana w koszulę — oczywiście ze względu na przyzwoitość. A mnie każą kąpać się po niej, w tej samej wodzie! Kiedy buntuję się, bo przecież za nic nie wchodziłabym do tych brudnych mydlin, to pocziwa Genowefcia oburza się i krzyczy wtedy na mnie:

— To wstyd, panienko, mówić, że po siostrzyczce woda brudna! No i jak z nimi wszystkimi gadać? Życie jest naprawdę skomplikowane.

Rozdział dwunasty

Anda zawsze budzi się z nadzieją, że wreszcie ta cała historia z cofniętym czasem okaże się po prostu snem i że wreszcie skończą się dziwaczne przygody. Ale nic z tego! I teraz właśnie przebudziła się znów w tym samym panińskim pokoju, dzielonym dotychczas z Ewitą, ale w tym i^a Miodowej. I zaraz przypomniało się jej, że przecież dziś ma odbyć się wesele Ewity, a ona, Anda, ma być druhną. Ewita śpi jeszcze. Już od jutra, jako pani Doroszowa, zamieszka w swym nowym mieszkaniu przy Nowym Świecie. Na pierwszym piętrze, tak jak chciała.

Która to może być godzina?

Wielki zegar w jadalnym pokoju wydzwania właśnie ósmą godzinę rano. A ślub ma się odbyć o szóstej wieczorem, jeszcze więc jest dość czasu, aby wszystko było przygotowane jak należy. A kalendarz wskazuje — d^h 6 września 1880 roku. Piękny, słoneczny dzień wrześniowy. Właściwie to wesele może być zupełnie przyjemne i zabawne.

Śmieszna rzecz — a jeśli się uda powrócić do czasów na Rakowieckiej, to pewnie Ewita też będzie się wydawała za Dorosza, który być może zdobędzie kawalerkę. Zaraz, a może już będzie po ślubie? Bo przecież z tym czasem to naprawdę nic nie wiadomo!

Tylko że w tamtym weselu na Rakowieckiej to właściwie Anda nie odgrywałaby żadnej roli. Bo teraz nie ma przeważnie druhen. A w tym dziewiętnastym stuleciu, to druha jest ważna i może się doskonale bawić. To już lepiej być na tym weselu staroświeckim. A nowe mieszkanie

144

I i wity — jest szalone. Jest do tego stopnia szalone, że pewnie sama Ewita, i dyby posiadała świadomość możliwości należenia do dwóch epok, kto wie, czyby nie wybrała roku 1880. Anda widziała te pięć pokoi! Ogromniaste! Dwa balkony od frontu! Musiała towarzyszyć, znów oczywiście w charakterze przyzwoitki, Ewie i Doroszowi. Bo Ewita sama z narzeczonym nie mogła pójść. Nie wypada! Nawet w przeddzień ślubu! Dziwne czasy, swoją drogą. Aha, ale w mieszkaniu jest łazienka! Dorosz to podkreślał z wielką dumą — że to niby takie nowoczesne mieszkanie. A ta łazienka — pożałujcie Boże! Pokoiczyna mały, z okienkiem. A w nim stoi śmieszna wanna, miedziana, na wygiętych jak jamnik nóżkach. Anda spytała się, czy to gazowa łazienka, czy elektryczna, a Dorosz zaczął się śmiać i powiedział, że ma pełną dowcipu szwagierkę, która lubi fantazjować. No i gadaj z takim człowiekiem z roku 1880. Przecież on nic nie rozumie. Zupełnie to samo prawie, co człowiek jaskiniowy. Więc Dorosz, nachichotawszy się jakby z najdoskonalszego żartu wyjaśnił, że wodę będzie się grzało w kotle w kuchni i przynosiło potem do łazienki.

Ładna historia! Ale Ewita zdawała się tym zachwycona i pochwaliła Dorosza. A on się tak ucieszył jakby nie wiem co. Czas płynie szybko na takich dziwnych rozmyślaniach. Do pokoju puka Genowefcia, a zegar wybija teraz wpół do dziewiątej. Genowefcia uchyla drzwi i wchodzi na palcach.

— Panienczka moja kochana — wzdycha siarczyście, spoglądając w stronę uśpionej Ewity. — Ostatni to jej sen w rodzicielskim domu. Już jutro obudzi się pod męzowskim dachem. Już mężowi posłuszeństwo przysięgnie na wieki.

— A dlaczego przysięgnie posłuszeństwo? — dziwi się szeptem Anda.

— Jak to? Przecież będzie mu w kościele przysięgała posłuszeństwo. To panienka nie wie? — odpowiada również szeptem Genowefcia.

— Pierwsze słyszę o czymś takim. Ja bym tam nie przysięgała.

— Tss! Bo się obudzi, lilijka niewinna! — rozczuła się Genowefcia.

To jest strasznie śmieszne. Anda rozbawiona parska śmiechem i wskutek tego Ewita budzi się i siada na łóżku. Na rękach, wysmarowanych lanoliną, ma rękawiczki, a czepek zbakierował się zawadiacko na jedno ucho.

— Co się stało? Czemu się śmiesz, Anusiu?

10 — Godzina pąsowej...

145

Zanim jednak Anda zdołała wyjaśnić powód swej wesołości, Genowefcia rzuciła się do Ewity z czułościami.

— Proszę jeszcze poleżeć, panienko Ewuniu! Żeby panienczka ślicznie nam do ślubu wyglądała. Ach, jeszcze nie było takiej pięknej panny młodej jak nasza panna Ewunia!

— Nie było, ale będzie.

— Jak to? Jak to, panno Anusiu?

— Boja będę jeszcze piękniejsza!

— Fe, panno Anusiu, takie rzeczy opowiadać! Dobrze, że nasza pani nie słyszała! Dopiero by się gniewała. Zawsze przecie powtarza, że młodą panienkę zdobi przede wszystkim skromność.

— Bardzo jestem ciekawa, jak to wszystko będzie wyglądało — rozważa Anda. — Ciekawa też jestem, jak wygląda ten mój družba. Bardzo to śmieszne być drużną z drużbą, którego się nie zna.

— Pan Dorosz już na pewno wybrał kogoś odpowiedniego dla pani Anusi. Bilet wczoraj ten družba przysłał.

— Jaki znów bilet? Po co?

Tu już Ewita uznała widać za stosowne wtrącić się do rozmowy.

— Jaki bilet? No przecież nie na operę, tylko wizytowy. Tak wypada.

— Bardzo dziwne — Anda kręci głową. — Chciałabym wiedzieć, kto to będzie. A nuż jaka pokraka?

— Fi donc! — krzywi się bardzo wytwornie Ewita. Nie ulega wątpliwości, że już wzywa się w rolę poważnej, pełnej godności osoby, jaką stanie się z chwilą zmiany stanu cywilnego i zamieszkania na Nowym Świecie jako pani Doroszowa. Mecenasowa Doroszowa! Nie byle co! A teraz, mimo okrzyków Genowefci, że powinna jeszcze poleżeć i wypocząć przed taką ważną ceremonią, Ewita zrywa się i zaczyna się krzątać. Bo to wszystko, co dziś robi, robi, jak już powiedziała Genowefcia, po raz ostatni w rodzicielskim domu. W falbaniastej haleczce i różowej matince porusza się szybko po panieńskim pokoju. Porządkuje swoje drobiazgi, których używała dotychczas. Zwyczaj każe, aby rozstała się z nimi — część ich podaruje Andzie, a część przyjaciółkom i Genowefci. Nic nie zabierze ze swych przyborów, ustawionych na przystrojonej białym muślinem toalecie. Szczotki i grzebień w skromnej rogowej oprawie miała otrzymać Agata na otarcie łez, że jeszcze przez jeden karnawał

146

będzie wysiadywała na balach, prawdopodobnie nadaremnie czekając na amatora swych kościstych wdzięków. Tak, Agata w tej epoce, kiedy warunkiem urody kobiecej była pewna okrągłość kształtów, nie miała wielkich szans powodzenia.

Zakieciak obszyty futerkiem, na szczęście bardzo luźny, otrzymała wzruszona Genowefcia. Anda, oprócz dwóch sukienek, miała otrzymać złotą broszkę w kształcie serca, ozdobioną maleńkimi perełkami, oraz srebrną bransoletkę w kształcie węża z rubinowym oczkiem. Bardzo podobały się jej te staroświeckie klejnociki i była ciekawa, czy znajdzie je u siebie, gdy wróci do swych prawdziwych czasów, na Rakowiecką.

Tymczasem coraz częściej dawały się słyszeć dzwonki u drzwi wejściowych i Genowefcia przybiegała co chwila z nowinami — że przynoszą podarki ślubne, że ktoś przysłał kwiaty, że już przybył zaangażowany specjalnie do gotowania uroczystej kolacji kucharz z Hotelu Angielskiego, że przyszli z remizy zapytać jeszcze raz, o której mają podjechać karety po pannę młodą i jej rodzinę.

— Po pannę młodą! — powtórzyła z rozczerwieniem Genowefcia i już była skłonna trochę popłakać, ale na szczęście zjawiła się mama. Co prawda też była trochę wzruszona. Przecież wydawała za mąż pierwszą córkę.

Gdyby to było na Rakowieckiej, mama łatwiej by to przeszła. Bez tych wszystkich przygotowań, bez tych wszystkich historii i tylu gości — rozmyślała Anda — a poza tym w czasach Rakowieckiej wszystko byłoby prostsze i łatwiejsze. I mama nie musiałaby w dodatku występować tak dostojnie. A teraz musi być dostojna i pełna godności, jak w teatrze.

— Torty przynieśli! — zameldowała, wpadając po raz nie wiadomo który, Genowefcia. — A takich piramid przepięknych to jeszcze w życiu nie widziałam!

— Jakich znów piramid?

— A na tortach, panno Anusiu! Chyba do samego sufitu sięgają. Proszę pójść do jadalni i zobaczyć!

Zachęcona takim opisem Anda szybko pobiegła i aż przystanęła na progu ze zdumienia. Nic podobnego w życiu nie widziała. Na stole widniały trzy torty wielkości koła od dorożki każdy, a na nich wznosiły się trzy błyszczące, jakby ze szkła wykonane, koronkowe wysokie wieżyczki. Dwie z nich były różowe, a trzecia żółta.

Dopiero kiedy podeszła bliżej, przekonała się ku swemu ogromnemu

147

zdumieniu, że wieżyczki zrobione były z cukru, jak również z cukru były wspaniałe róże, którymi torty były ponadto suto ozdobione.

— Najlepszy cukiernik od Semadeniego piekł je na zamówienie —

zabrzmiął za plecami Andy zachwycony szept Genowefci. — Wesele

będzie jak się patrzy, bardzo piękne, panno Anusiu! A proszę jeszcze zobaczyć w salonie podarki weselne. Jest na co popatrzeć.

Rzeczywiście było na co patrzeć.

— Zupełnie jak w Desie albo innym antykwariacie — zdecydowała Anda. — A po co Ewicie tyle lamp naftowych?

— Jak to po co? Przydadzą się. Piękne lampy, panienko. A Ewita cieszyła się: — Starczy mi ich na całe życie.

Anda miała zamiar powiedzieć, że lampy wcale nie są piękne i że na pewno nie przetrwają tych dwóch wojen, które przyjdą po 1880 roku, ale nie chciała już martwić ani Genowefci, ani obdarowanej nimi Ewity. Śmieszyły ją tylko zdobne suto brązem kolumny z marmurków i klosze z mlecznego szkła w kształcie tulipanów. Za to przystanęła z zachwytem przy porcelanowym serwisie do herbaty. Jeszcze nie widziała nic równie ładnego.

Porcelana była cienka, wytworna, ciemnobrązowa, prawie czarna, połyskliwa i ozdobiona matowymi złoceniami. A poza tym dużo było różnych porcelanowych dzbanuszków, koszyczków, figurek. Połyskiwała też bogata srebrna zastawa — taca, dzbanek, jakieś koszyczki, cukiernica i wreszcie w ogromnym pudle, wyściełanym niebieskim aksamitem, komplety łyżeczek, noży i widelców.

— Te srebra to od wielmożnej pani z alei Róż — oświadczyła wzdychając nabożnie Genowefcia.

— Od jakiej wielmożnej pani z alei Róż?

— Mówię przecież, że od wielmożnej pani, co spowinowacona jest z naszą panią. Od tej, co ma Eleonora na imię.

O, to brzmiało interesująco.

— Jak to, przyjechała? Będzie na weselu?

— Jeszcze nie przyjechała, ale ma przyjechać na samo wesele.

— To skąd się wziął ten prezent? Te srebra?

— A to przedtem przecież było już u Frageta zamówione.

— To mówisz, Genowefciu ukochana, że ciotłca Eleonora tu będzie? O Boże!

148

— Będzie, będzie, co ma nie być.

— To cudnie, to cudnie, Genowefciu. Otucha wstępuje w moje biedne serce.

— Otuchę zawsze trzeba mieć — filozoficznie zauważyła Genowefcia. — A tu niech panienka patrzy, srebrny garnitur na toaletę i kryształowe flakony — od pana młodego. I podobnież coś jeszcze z biżuterii ma ofiarować panience. Wiem to wszystko, bo za młodszą będzie u parmy Ewuni po jej ślubie ta moja siostrzenica, Joasia.

— To Joasia już nie chce być manikiurzystką? — zdziwiła się Anda.

— Z przeproszeniem panienki, ale nie rozumiem. Nie dosłyszałam.

— Manikiurzystką... Przecież najpierw miała się uczyć manikiuru, a potem chciała się kształcić i zostać kosmetyczką. To doskonały zawód. Albo fryzjerką.

— Aaa, z czesaniem to ona się zgodziła, a jakże. Cóż by to z niej była za pokojowa, żeby nie potrafiła pięknie czesać. Ona tak pięknie czesze, że nawet wielmożna pani Eleonora chciała ją do siebie wziąć. Ale do tego, co panienka mówiła, jak to... mańkura czy jak tam, to, prawdę powiedziawszy, nie wiem, co to jest.

Prawda, Anda dopiero teraz zorientowała się, że przecie[^] w latach osiemdziesiątych manikiur nie nazywał się manikiurem i że nie istniał wtedy ani zawód manikiurzystki, ani kosmetyczki. Fryzjerstwo było zawodem męskim. Ale swoją drogą, patrzcie — Ewita będzie miała pokojową, która ją będzie czesać. Bardzo śmieszna historia.

Tymczasem ruch w domu wzrastał się. Ciągłe ktoś przychodził, ciągle ktoś zaglądał do salonu. Posłańcy w czerwonych czapkach przynosili ogromne bukiety kwiatów albo przystrojone wstążkami i białym tiulem kosze. Ze sklepów przysyłano kosze win i jakieś przysmaki, które ustawiał w stołowym pokoju na stole i kredensie nieznajomy starszy pan z siwymi bokobrodami, we fraku. Wyglądał niezmiernie dystyngowanie.

— Czy to jakiś dyplomata? — spytała poufnie Anda Zbyszka, który właśnie kręcił się po pokoju. Był dziś bez munduru, tylko w dziwacznym, kusym ubranku.

— Gdzie dyplomata?

— Ten pan przy kredensie.

— To przecież pan Wincenty, z restauracji Millera. Będzie podawać do kolacji.

149

— Aha!

Masz ci los, znów wpadka. Lepiej już chyba o nic nie pytać, ale czy to możliwe, kiedy tyle jest wokoło rzeczy dziwnych i niezrozumiałych. Albo teraz — kręcą się po mieszkaniu jacyś obcy ludzie i przesuwają meble. Czyżby w dniu wesela Ewity urządzono jednocześnie przeprowadzkę? Przecież jej mieszkanie jest umeblowane! Nie, to po prostu dozorca, tak zwany w czasach ciotki Eleonory — stróż — wraz ze swoim pomocnikiem przesuwają meble do mieszkania sąsiadów. Ze względu na niezwykle ważność chwili dobrzy sąsiedzi wypożyczyli swój salon na urządzenie jadalni, w której odbędzie się kolacja weselna. Tyle kłopotu! Wolałabym wcale za mąż nie wychodzić! — myśli Anda.

Ale Ewita jest widać innego zdania. Jest co prawda trochę zdenerwowana i wzruszona, bo ta Genowefcia ciągle jej opowiada, że „wszystko jest ostatni raz w panieńskim stanie”, ale zarazem jest Ewita i trochę dumna. Jest przecież najważniejszą osobą tego dnia. Wszyscy się nią interesują, wszystkie oczy są na nią zwrócone. Poza tym będzie przecież miała własne mieszkanie i dostała tyle ładnych podarków, i będzie jej wolno nosić różne ładne rzeczy, których nie wypada nosić pannom.

— Z tego wynika, że w tych dziwnych czasach jedyną drogą do zdobycia pewnej samodzielności jest wyjście za mąż

— zauważyła filozoficznie Anda.

— Ach, właściwie masz trochę racji — zgadza się Ewita.

— Ewuniu, czas już się ubierać! — woła tymczasem mama.

Jest co prawda dopiero godzina trzecia, ale ubieranie się panny młodej w roku 1880 trwa długo. Już samo czesanie zajmie ponad godzinę. Genowefcia przybiega właśnie z wieścią, że przyszedł pan Edwin i że już czesze mamę. A po mamie będzie czesał pannę młodą.

Ewita — panna młoda, ubiera się już wobec tego w panieńskim pokoju. Wkłada ciekawą batystową bieliznę — długą koszulę z szerokimi ramiączkami i walansjenkami, przewlekaną wąskimi białymi wstążeczkami

— panna młoda musi mieć wszystko białe. Gorset też z białego adamaszku i biała jest suta hałeczka sięgająca do samej ziemi. Białe pończoszki są ażurowe, lecz nie jedwabne, o nie. Białe, wysokie, sznurowane buciki z cienkiej skórki czekają na pannę młodą. Ona zaś siada przed lustrem. Genowefcia zarzuca jej na ramiona różową jedwabną pelerynkę

— to tylko do czesania — i zaczyna rozczesywać długie, gęste włosy

Ewity. Na Rakowieckiej Ewita miała włosy krótko obcięte, ale teraz spływają jej obficie, prawie że do kolan.

Poprzedniego dnia Ewita myła głowę żółtkami, aby włosy były miękkie i jedwabiste, i płukała w wywarze / kory dębowej, bo to nadaje połysk.

A któż to taki wchodzi teraz do pokoju? Składa ukłony z głośnym szastaniem nóg, a w nafryzowany mocno czub ma wpięty grzebień. Jego baczki są zabójcze.

— Pan Edwin może już pannę Ewunię czesać — oznajmiła tymczasem niby herold Genowefcia.

— Jak uczesamy pannę młodą? — pyta wobec tego pan Edwin zacierając ręce.

— Ach, myślę, że jak najskromniej.

To mówi mama, która już jest uczesana. Na głowie mamy piętrzą się loki, podpięte błękitnymi różami i popielatą aksamitką. Mama wygląda ślicznie. Zupełnie jak swój własny portret w przebraniu.

— Jak najskromniej, panie Edwinie — powtarza — nie jestem zbyt surową, j eśli chodzi o modę, lecz uważam, iż oblubienica prostotą i skromnością powinna jaśnieć.

— Zupełnie podzielam zdanie łaskawej pani — pan Edwin z godnością pochyla ufryzowaną głowę — wobec tego myślę, iż z przodu nad czołem lekko tylko włosy ułożymy, natomiast z tyłu zrobimy loki, aby móc na nich upiąć welon i wianek ślubny!

— Wianek ślubny, mój Boże! — wzruszyła się Genowefcia i już była skłonna do zaszlochania, ale w tym momencie pan Edwin zażądał świeżych, płonących węgli, więc pobiegła do kuchni, aby spełnić jego życzenie.

Pan Edwin tymczasem wydobył z małej walizeczki dwie czy trzy pary czegoś, co wyglądało jak długie szczypce, następnie coś, co wyglądało jak mały piecyk węglowy, i teraz z kolei zażądał większej ilości papieru.

— Papieru, Anusiu, przynieś papieru! Znajdziesz go w szufladzie w kredensie.

— Po co u licha papier? — zdumiała się Anda, ale pobiegła spełnić polecenie mamy. Kiedy wróciła, pan Edwin grzał do czerwoności długie szczypce na żelaznym piecyku, a potem wywijał nimi w powietrzu z niewiarygodną szybkością, aby je ostudzić. Na przyniesionym papierze próbował, czy są już dość chłodne, aby można było za ich pomocą zwijać

150

151

w loki długie włosy oblubienicy. W pokoju unosił się zapach palonych włosów i papieru-

— Aj; zcjae mi się, że pan mi pali włosy, panie Edwinie — denerwowała się Ewita. — Ooo, jak dymią.

— Proszę mieć zaufanie, łaskawa pani — podskakiwał naokoło Ewi-

ty pan Edwin — włoski nie będą spalone. Uczesanie zaś będzie piękne. Tak, nic dziwnego, że fryzjer musiał przyjąć wcześniej. To zwijanie loków i układanie długich pasm włosów Ewinych w wysokie, misterne uczesanie trwało rzeczywiście ponad godzinę. A kiedy pan Edwin z dumą odszedł parę kroków, aby podziwiać swe dzieło, Genowefcia chwyciła Andę za ramię i szepnęła demonicznie: — Teraz, panienko Anusiu, proszę zaraz siadać przed lustrem. — A do pana Edwina powiedziała głośno:

— Teraz nasza młodsza panienka.

W tejże chwili wpadła do pokoju jakaś dziwacznie przystrojona postać, która z piskiem rzuciła się najpierw w stronę mamy z okrzykiem:

'— Ach witaj, droga cioteczko! — i po pocałowaniu mamy w rękę podskoczyła żwawo w stronę Ewity. — Pozwól, że ci powinszuję twego szczęścia, kuzynko — powiedziała słodko-kwaśno.

Anda po przyjrzeniu się jej z trudem poznała w obcym czupiradlc swoją daleką i mało kochaną kuzynkę Werę. Zjawiała się widać zaproszona na wesele, gdyż w ogóle mieszkała w Radomiu, gdzie była pierwszą uwodzicielką miejscowej młodzieży. Co robiła tam w roku 1880 — tego Anda nie wiedziała. Zresztą wśród tylu dziwacznych swoich tarapatów, prawdę powiedziawszy, zapomniała zupełnie o istnieniu Wery. Ale teraz Wera tu była i miotała się po pokoju. Zawsze była okropnie przesadna -kiedy czesano się w końskie ogony, ona nosiła ogon związany na samiu-teńkim czubku głowy, tak że wyglądała jak cebula, ponieważ miała przy tym jasnorude włosy. Kiedy nosiło się nieco krótsze sukienki — ona no siła najkrótsze, kiedy nosiło się szpilki — Wera miała tak wysokie, niemal me sięgała czubkami pantofli do ziemi. I teraz też wyglądała ni zwykle. Miała na sobie pomarańczową suknię przyozdobioną zielonyr kokardami i tu i ówdzie przypiętymi gronami zielonych winogron, ocz> wiście sztucznych. Jej rudawe kosmyki, nastroszone niczym zburzon gniazdo i pozakręcane w grajcarki, poprzeplatane były ogromną ilości aksamitek.

Winszując Ewicie, przyglądała się jej bacznie i krytycznie. Znając I

152

i

można było być pewnym, że potem w całym Radomiu opowiadać będzie przez trzy tygodnie różne okropne rzeczy o wyglądzie kuzynki i dziwić się, jak taka brzydka jak Ewita mogła znaleźć w ogóle męża. A cóż dopiero takiego jak Dorosz. I jeszcze będzie mówić, że Ewita jest intrygant-ka i że zabierała jej zawsze wszystkich chłopców. Wera zaś teraz szczebiotała:

— Oto nasza oblubienica. Ale czemu jesteś taka blada, droga Ewu-niu, czy przypadkiem nie za dużo pudru na twarzyczce?

W tym momencie uznała za stosowne wystąpić Genowefcia:

— Naszą^panienka Ewunia nie potrzebuje używać pudru i nigdy go nie używa. A że pobladła, to wiadomo, że ze wzruszenia, bo jest panienką skromną i dobrze wychowaną i wiekają należy znaleźć w dniu ślubu!

— Genowefo droga — uznała za stosowne powiedzieć karcąco mama. Jednocześnie jednak dodała z godnością:

— Zapominasz, droga Wero, że córki moje są tak wychowane, iż wiedzą, że wybielanie twarzyczek pudrem im nie przystoi.

— Ach, oczywiście, tak jest, droga cioteczko... — zaczęła się płatać Wera i zaraz zwróciła się do Ewity:

— Jak widzę, już jesteś uczesana, droga kuzynko. Czy pozwolisz, abym na chwilę mogła przed toaletką usiąść i poprawić moje uczesanie? Czuję, że wyglądam niezmiernie awantażownie, wszak prawda?

— Ależ oczywiście, droga kuzynko Wero — Ewita posłusznie podniosła się ze swojego miejsca z zamiarem ustąpienia go Werze. W tejże jednak chwili Genowefcia chwyciła Andę za ramię i błyskawicznie wepchnęła w opuszczony przez Ewitę fotelik, do Wery zaś zwróciła się z triumfującą miną:

— O, za przeproszeniem, teraz musi się już czesać nasza panienka. A w salonie jest kilka luster, panienko Wero.

— Ach, ostatecznie nie muszę się przeglądać — wycedziła przez zęby Wera. I zwracając się do mamy dodała: — Ależ cioteczko, uważam, że służba domowa w Warszawie jest niezwykle rozzuchwalona. U nas w Radomiu...

— O, moja droga, mogę cię zapewnić, że nasza służba domowa jest niezmiernie nam życzliwa i nic złego powiedzieć o niej nie mogę — odpowiedziała mama, a Anda z pewnego załamania głosu poznała, że mama

153

{

jest oburzona na Werę i że ma już jej dosyć. Niepotrzebnie jednak mama się denerwuje i niepotrzebnie denerwuje się Genowefcia.

— Niechby się była przejrzała, Genowefciu — mruknęła Anda, gdy Wera z mamą wyszły z pokoju.

— Jak to, niechby się przejrzała! — podskoczyła dotknięta do żywego Genowefcia. — Czy panienka wie, co panienka mówi? Przecież ona chciała koniecznie zaraz na tym fotelu po paniencie Ewuni usiąść, żeby jak najprędzej za mąż wyjść.

— Ale co ma jedno do drugiego, moja Genowefciu?

— Co ma? A to, że tak już jest, że jak panna siądzie do czesania pierwsza po pannie młodej, to prędko potem zaraz za mąż wyjdzie! To miałam pozwolić, żeby ta panienka Wera pierwsza wyszła? O nie, nie-doczekanie jej. Panna Anusia musi wyjść przed nią.

— Wcale mi na tym nie zależy — wyznała Anda. — Naprawdę! A ja jeszcze pomyślę, że musiałabym wyjść za mąż i tak jak Ewita mieć takie duże gospodarstwo, to skóra na mnie cierpnie. Ale mniejsza o to.

— Jak czesemy? — spytał czekający na koniec rozmowy pan Edwin.

— Jak najzwyczajniej, proszę pana, bez żadnych takich sztukaterii i makaronów. Ja bardzo tego nie lubię. A może w ogóle obciąłabym włosy, co?

— Szanowna pani raczy, hehehe, żartować — zachichotał wdzięcznie pan Edwin — może więc damy z przodu loczki, z tyłu zaś spuścimy na ramiona anglezy.

— Nic takiego, żadne takie rzeczy, jak pan tam je nazywa. Genowefciu, ratuj mnie! Ja nie chcę nic takiego. Proszę pana, to już może lepiej jakoś zapleść warkocz.

— Rozumiem, w koronę, a z tyłu anglezy.

— Koronę, ale bez tych anglezów, czy jak tam — kategorycznie oświadczyła Anda. — I proszę, żeby to było szybko, proszę pana. Ojej, i bez tych szczypców. Nie chcę żadnego przypiekania.

Wreszcie pan Edwin zgodził się upiąć jej włosy w koronę i, o dziwo, uczesanie spotkało się z przychylną aprobatą mamy.

— Widzę, dziecię moje, z zadowoleniem ogromnym, że umiar potrafisz zachować w stroju i uczesaniu. I teraz już czas, córki moje, abyście zaczęły się ubierać.

Anda swoją, rzeczywiście śliczną (musiała to przyznać) sukienkę z różowej mory, ozdobioną pączkami różyczek, włożyła dziś wyjątkowo szybko i bez grymasów. Chciała koniecznie być gotowa wcześniej, żeby pomagać przy ubieraniu panny młodej. A Ewita, biedulka, stała teraz pośrodku pokoju i poddawała się pokornie zabiegom Genowefci i mamy. Najpierw więc docięnięto sznurówkę. Trudno! Panna młoda musi być cieniutka w pasie! I rzeczywiście, wspólnym wysiłkiem osiągnięto wspaniały rezultat. Teraz na Ewitę włożono ślubną suknię z białej sztywnej tkaniny jedwabnej w wypukłe, również białe kwiaty.

— Cóż to za piękna materia! — zachwyciła się Genowefcia. — Od razu widać, że Jancuski czy jaki tam jedwab. Nie darmo z zagranicy go pani Eleonora przysłała naszej paniencie. Cała Warszawa będzie mówiła o tej sukni.

— A teraz welon, dziecię moje — powiedziała mama ze wzruszeniem w głosie. — Pozwól, że matka włoży ci na głowę ten wianek będący oznaką twej niewinności. Cóż ci powiedzieć mogę, córko, aby cię przygotować do tego stanu małżeńskiego, w który wstępujesz? Posłuszną musisz być we wszystkim twemu mężowi i spełniać powołanie kobiety. Rany boskie, to ładna historia takie wyjście za mąż w roku 1880! — przestraszyła się Anda. — Wcale mi to nie wygląda zabawnie. Mama zaś mówiła dalej:

— W wianku twym, dziecię moje, ukryłam złoty dukat z Matką Boską, jak nakazuje tradycja, aby szczęście i błogosławieństwo zawsze było przy tobie. Ten dukat i ja miałam ukryty w moim wianku ślubnym, i moja matka, i jeszcze babka nasza z domu rodzicielskiego go otrzymała. Strzeż go więc i zachowaj, abyś z kolei córce swej przekazać go mogła.

A co będzie, jeśli Ewita nie będzie miała córki? — zastanowiła się Anda, ale nie miała odwagi przerwać pytaniem podniosłego nastroju. Mama była naprawdę ogromnie wzruszona i ocierała łzy, a Ewita dyskretnie pociągnęła swym kształtnym noskiem.

Ciekawa też jestem — zastanawiała się dalej Anda — w jaki sposób ten dukat ukryty jest w wianku i czy nie wypadnie?

Wianek bardzo się jej podobał. Zrobiony był z woskowych kwiatków pomarańczowych i Ewicie było w nim, trzeba przyznać, bardzo do twarzy. Zwłaszcza że od wianuszka spadał aż na podłogę welon z cieniutkiej,

155

jknej koronki. Mama ucałowawszy Ewitę, upinała teraz koronkę na swie oblubienicy. Robiła to bardzo delikatnie za pomocą małych szpi-;zek. Naraz znów ktoś zapukał. Tym razem był to Zbyszek, okropnie rosty, we fraku i porządnie uczesany. Przyszedł powiedzieć, że przy-5Śli z kwiaciarni bukiet dla panny młodej. I podał przez uchylone drzwi, winietę w białą bibułkę, kwiaty.

— Wyjmij je, Anusiu, z tych opakowań — poleciła mama, zajęta ciągle inaniem welonu.

Otulone w cienkie, przedziwnie miękkie i jedwabiste bibułki białe że ułożone były w duży, okrągły i płaski jak torcik bukiet, obramowany likatną koronką.

Łodyżki kwiatów ujęte były w rodzaj stożkowatego, sztywnego fute-u z białego atłasu. Było to właściwie bardzo ładne.

— Nigdy nie widziałam podobnego bukietu! — wykrzyknęła Anda.

— Ach, bo też nasz pan młody wybiera wszystko, co najpiękniejsze westchnęła po swojemu z rozczuleniem Genowefcia, a Ewita, zaru-

eniwszy się, wzięła bukiet od Andy i przytuliła do niego twarz.

— No, to właściwie jesteś gotowa, dziecko moje — mama odeszła rę kroków, aby spojrzeć na swoje dzieło.

— Przepięknie! — wykrzyknął pan Edwin, który tkwił w kąciu po-ju na wszelki wypadek, aby ewentualnie dokonać jeszcze jakiegoś re-;zu koafiur. Przydało się to zresztą mamie, której loki potargały się ;co.

— Teraz tylko jeszcze zmienię suknię i będzie wszystko gotowe. — aama poszła się przebrać.

W tejże chwili rozległo się przed domem, na ulicy, trzaskanie z biczyskanie koni. Anda wyjrzała co prędzej przez okno, korzystając z tego, wszyscy byli zajęci zupełnie czym innym niż zwracaniem jej uwagi, nie wypada wyglądać przez okno. A na ulicy przed bramę zajeżdżały mszczące czarne karety i odkryte powozy, gdyż wrzesień był bardzo :pły. Zajeżdżała też karetka dla państwa młodych — wybita w środku iłym atłasem, zaprzężona w cztery białe konie, a na koźle siedział stan-it w kremowym surducie ze złotymi guzikami i gałązką zielonego rtu przypiętą do klapy.

Również zielony mirt, przywiązany białą tążką, miał przypięty do swego kremowego cylindra. Obok niego sie-iał drugi jegomość identycznie ubrany.

— Dlaczego ich jest dwóch? — zdziwiła się, po raz nie wiadomo który w tej epoce, Anda.

— Bo przecież jeden będzie otwierał drzwiczki, kiedy młodzi państwo będą wsiadali i wysiadali — wyjaśniła Genowefcia, która też uległa pokusie wyjrzenia na ulicę. — A ciekawa jestem, którą kareta panienska Anusia pojedzie do kościoła.

— E, ja to wszystko jedno którą, mogłabym i piechotą iść. Do Wizytek stąd przecież niedaleko.

— Co też panienska opowiada. Nawet nieładnie tak żartować w dzień ślubu siostry. Żeby to pani usłyszała, toby się zmartwiła. A co do karety, to nie wszystko jedno, bo to drużba stara się o karete, którą będzie jechał z druhną. Więc w tym przypadku to ten przyjaciel pana Dorosza powinien zadbać, aby piękny pojazd dostać. Zawsze co starsza druwna, to starsza druwna.

— Jak to starsza? Przecież Wera jest starsza ode mnie?

— Nie o wiek tu chodzi, tylko o godność!...

— Aha! — Anda co prawda ciągle nie bardzo mogła zrozumieć, dlaczego młodsza ma się nazywać starsza, ale Zbyszek zapukał jeszcze raz.

— Czy mogę wejść? Znów przynieśli kwiaty!

— Jak to? Przecież Ewita ma już jeden bukiet!

— Tym razem, Anusiu, są to kwiaty dla ciebie!

— Dla mnie? Przecież ja nie wychodzę za mąż!

— No, ale jesteś druhną! A przecież zawsze drużba przysyła druwnie kwiaty. Zobacz, czy ładne.

Były nie tylko ładne, ale nawet bardzo ładne. Bładoróżowe, dobrane do sukni. I też ułożone w zabawny, płaski jak tort bukiet.

Przynajmniej dostałam przyzwoite kwiaty — pomyślała Anda—jednak ta epoka ma czasem swoje dobre strony. Mam też nadzieję, że karetka będzie odpowiednio elegancka. A suknię mam taką śliczną jak na scenie. Nie, więc chwilami jest zupełnie przyjemnie, naprawdę. Tylko wcale przy tym nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby to trwało już na zawsze. Wolałabym mieć pewność, że w każdej chwili mogę wrócić do czasów Rakowieckiej i wtedy cała ta historia bawiłaby mnie o wiele bardziej.

Rozmyślanie przerwał okrzyk Genowefci, że pan młody już przyjechał. Ewita spłonęła rumieńcem. Jednocześnie w drzwiach stanęła mama, już ubrana w piękną szarobłękitną suknię .

157

— Przejdź do salonu, dziecko moje! — powiedziała do Ewity.

— A ja mogę również iść do salonu? — Anda przeczuwała, że będą się tam działy rzeczy niezwykle interesujące.

Mama jakby zawahała się przez chwilę.

— Oczywiście, Anusiu, wszelako proszę cię, abyś w tym dniu, szczególnie ważnym i uroczystym dla twojej siostry, zachowywała się, jak przystało.

— No nie, nie, naturalnie, że postaram się zachowywać jak najlepiej — zapewniła Anda, po czym na polecenie mamy uniosła koronkowy welon siostry, aby nie zaczął się o któryś z mebli.

Gdy weszli do salonu, stał już tam, ubrany we frak, uroczysty i wzruszony Dorosz. Ukłonił się nisko Ewicie i ucałował jej rękę.

— A więc to dziś jest dzień, który nazwę najszcześniejszym w moim życiu — powiedział głosem, który w powieściach dla dziewcząt nazywa się aksamitnym. Jednocześnie podał Ewicie białe, podłużne pudełko, obciągnięte skórą.

— Ciotka moja, której tak wiele zawdzięczam, przeznaczyła dla wybranki mego serca również i te klejnoty, które nosiła, gdy sama była młodą i piękną, a także bardzo szczęśliwą małżonką.

Ewita nacisnęła złoty zameczek puzderka i aż krzyknęła ze zdumienia i zachwytu. Na błękitnym aksamicie migotały diamentowe długie kolczyki w kształcie kwiatów oraz odpowiedni do nich naszyjnik.

Takie rzeczy mogą się zdarzyć tylko w epoce ciotki Eleonory — westchnęła Anda. — Już sama nie wiem, co lepsze: pięciopokojowe mieszkanie i diamenty czy pływalnia i możliwość latania w porciętach. Nie mam siły w tej chwili nad tym się zastanawiać. W każdym razie nareszcie jest zabawnie i przyjemnie!

Drzwi salonu skrzypnęły — weszli rodzice, a z nimi jakiś chudy i rudy młodzieniec we fraku.

— Czas chyba jechać do kościoła — powiedział również wyfraczony tatko — Anusiu, oto twój druhna, kuzyn Karol. Ale draka! — chciała krzyknąć Anda. — Rudzielec we fraku! — Al natychmiast przypomniała sobie prośbę mamy i uprzytomniła, że tej rodzaju uwaga wprowadziłaby przykry zgrzyt do uroczystego nastroju.

W salonie gromadziło się coraz więcej osób: pań w sutych, szeleszczących, ogoniastych sukniach o jasnych, pastelowych barwach, pań

o wysokich uczesaniach, przystrojonych kwiatami i wstążkami, pań o twarzach nie malowanych, a więc przez to dziwnie delikatnie się rysujących na tle barwności sukien i urządzenia salonu.

To jest zupełnie tak, jakbym niechcący brała udział w jakimś stylowym przedstawieniu — pomyślała Anda. — Tylko żebym nie wyrwała się z czymś takim, co zepsuje całą uroczystość. W ogóle diabelnie trudno być taką stylową osobą. Po chwili rozmowy ucichły, obecni ustawili się w półkole, a Ewita z Doroszem podeszli do rodziców i ukłękli przed nimi. Dlaczego oni klękają? — Anda już miała zamiar zapytać o to swojego rudowłosego druhnę, ale na szczęście ktoś stojący za nią szepnął z aprobatą:

— Piękny to i szlachetny zwyczaj prosić rodziców o błogosławieństwo.

Ledwie jednak przebrzmiały słowa mamy błogosławiącej młodą parę na nową drogę życia, kiedy cicho skrzypnęły drzwi salonu i ukazała się w nich smukła, piękna pani w powłóczyściej sukni „vieux rose”, podpinanej czarnymi jaskółkami. Ciemne włosy damy i jej smukłą piękną szyję zdobiły migotliwe diamenty. Serce Andy zabiło. W pięknej damie poznała po chwili ciotkę Eleonorę.

Wszyscy rzucili się teraz na przywitanie nowo przybyłej. A ona, śliczna i łaskawa, rozdzielała miłe słowa i uśmiechy. Przytuliła tkliwie młodą oblubienicę i szepcząc coś do niej pocałowała ją w czoło.

— Czas jechać do ślubu — powiedziała.

158

F

Rozdział trzynasty

Bardzo mi się podoba ten ślub z roku 1880 — zdecydowała Anda, rozglądając się po kościele Wizytek. Wejście do kościoła było za zaproszeniami, jak zdołała zauważyć, przez środek biegł szeroki czerwony chodnik, pełno było kwiatów i płonących świec, a na chórze ktoś bardzo ładnie grał na skrzypcach i na wiolonczeli. Do ołtarza Anda kroczyła ze swoim rudzielcem pod rękę, tuż zaraz za młodą parą, co było nieco kłopotliwe, gdyż tren sukni oblubienicy był niezmiernie długi i trzeba było uważać, aby na niego nie nadeprnąć. Poza tym wszystko odbyło się normalnie. Ktoś grał na organach i ktoś śpiewał *Veni Creator*, a potem wszyscy składali młodej parze życzenia. Nie wiadomo tylko, dlaczego niektóre starsze panie szeptały z oburzeniem, że panna młoda nie płacze.

Widać w tej epoce panna młoda musi płakać — zdecydowała Anda. — A szkoda, bo już mi się zaczynało to wszystko podobać. A z tym płakaniem to gorzej. I po co w ogóle płakać? Miała nawet zamiar porozmawiać na ten temat ze swoim druhną, gdy w prawdziwej karcie wracali do domu, ale ten Karol z epoki ciotki Eleonory zupełnie był inny niż tamten z czasów Rakowieckiej. Jak się okazało w czasie rozmowy, nie rniął najmniejszego nawet pojęcia o rzucaniu oszczepem i utrzymywał, że owszem, wiadomo mu jest, że była to broń ludzi pierwotnych. A j eśli chodzi o sport, to owszem, uprawia — jazdę konną i próbował też jazdy na bcyklu.

— A co to jest bcykl? — Anda wyznała, że nigdy nie widziała bcylda.

160

— Jest to przyrząd wymagający wielkiej umiejętności zachowania równowagi, kuzynko — objaśnił grzecznie Karol. I zaraz zaproponował: — A może kuzynka będzie kiedy chciała zobaczyć, jak wygląda jazda na bcyklu, to proszę poprosić rodziców i przybyć razem z nimi na Dynasy, gdzie młodzi zwolennicy tego śmiałego sportu odważnie opanowują tę trudną sztukę.

— Dobra! Rodzice na pewno nie będą mogli, bo sąprzecież okropnie zajęci, to ja sama wpadnę — zaproponowała ochotczo Anda. Ale ponieważ w tymże momencie Karol zrobił bardzo dziwną minę, zorientowała się, że popełniła znów jakiś błąd. Prawda! Jakże mogła powiedzieć, że wpadnie sama! Bez opieki! W 1880 roku! Aby więc naprawić złe wrażenie, dodała szybko: — Oczywiście, mówiąc sama, mam na myśli wyprawę pod opieką Genowefci.

Tak, to już było lepiej. To już było bardziej w stylu epoki.

— Rad będę tam cię powitać, droga kuzynko — odpowiedział na to grzecznie zwolennik jazdy na bicyklu. I zaraz zapytał, czy Anda ma zamiar chodzić na lekcje tańca i czy mogłaby wziąć pod uwagę jego prośbę o pierwszego walca, gdy rozpoczną się tańce po uczcie weselnej.

— Ależ proszę — powiedziała grzecznie Anda — ma się rozumieć! Ale gdybyśmy tak zatańczyli rock and rolla, to byłoby fajnie, co, Ka-rolku?

Nie zdołała jednak dostrzec zdumienia na twarzy swego partnera, gdyż uwagę jej przykuł fakt, że oto właśnie przyjechali znów na Miodową i że / . karetę, która zatrzymała się przed nimi, wysiada w tej chwili ciotka Eleonora.

To jej przypomniało, że jednak koniecznie musi porozmawiać z ciotką o zegarze. Nie czekając więc na Karola, szybko wbiegła na górę, do mie-!./kania. Było już tam pełno osób, witanych przez rodziców. Ciotka Eleonora stała pośrodku salonu, otoczona gronem panów. Nie, w tej chwili nie można było do niej podejść. Ktoś inny zapytał:

— A gdzie są nowożeńcy? Ktoś odpowiedział:

— Pojechali na tradycyjny spacer w Aleje, zaraz tu będą.

— Wobec tego możemy siadać do stołu — powiedziała mama. Wszyscy więc przeszli do tego pożyczanego salonu sąsiadów, gdzie

I v ustawione stoły.

II

Godzina pąsowej...

161

To jednak ładnie wygląda — pomyślała Anda, patrząc na śnieżnobiałe adamaszkowe obrusy, połyskujące nakrycia, kwiaty i kryształ. Świece w mosiężnych i kryształowych lichtarzach płonęły jasno, rzucając różowe, migotliwe światło, w którym wszystko wygląda ślicznie i nieprawdziwie jak sen.

Więc ja jednak śnię — pomyślała w tej chwili Anda. — Tak, oczywiście, że śnię. Zabawny sen.

Po chwili siedziała już przy stole, na Wskazanym jej przez mamę miejscu. Obok tkwił rudy kuzynek Karol. Miejsca honorowe zajęli Ewita i Dorosz, a tuż przy nich ciotka Eleonora. Wyglądała ślicznie i udawała, że nie dostrzega Andy.

Ciekawa jestem, co ta diabelska ciotka knuje — rozmyślała Anda. Na

pocieszenie stwierdziła, że przyjęcie weselne jest fantastycznie smaczne.

Rudzielec Karol podsuwał jej półmiski, dolewał wina i był niesamowicie uprzejmy.

No, proszę! Jak on się zmienił na korzyść. Przecież w naszej epoce był nieznośny.

Teraz, po kieliszku szampana wypitego za zdrowie młodej pary, wszystkie spostrzeżenia formułowały się łatwiej i na wesoło. Nastrój przy stole był coraz lepszy, wszyscy dyskretnie chwalili udane przyjęcie weselne. W pewnym momencie, po toastach na cześć panny młodej i pana młodego, wstał tatko i wzniósł zdrowie ciotki Eleonory.

Podziękowała z tym właściwym sobie wdziękiem. Ktoś zaczął mówić o wspaniałości srebrnej zastawy, którą obdarowała Ewitę. Ciotka słysząc to zaśmiała się srebrzy-

ście.

— Nie mniej piękny podarek przewidziałam dla mojej drugiej siostrzenicy — oświadczyła, spoglądając teraz na Andę.

— Dostanie ona w dniu swego ślubu mój ukochany holenderski zegar porcelanowy. Wiem, jak bardzo pragnęłaby posiadać ten czasomierz o niezwykłych właściwościach. Otóż w dniu zaślubin, gdy będzie w białej sukni i welonie siedziała przy tym stole u boku swego męża — wręczę jej ten oto kluczyk do nakręcania mojego pocziwego zegara.

To mówiąc podniosła do góry w cienkich paluszkach swojej białej, smukłej dłoni połyskujący złociście klucz...

Wszyscy więc zaraz zaczęli mówić o zaletach zegara — o słodko brzmiącym kurancie i przedziwnej srebrngystości jego dźwięku, gdy wy-

162

dzwania godziny i kwadrans, o niezwykłej precyzji maszynierii i wreszcie o koronkowym rysunku wskazówek i wykwinności malowideł na porcelanie.

— Wobec tego niezwykłego podarku warto pospieszyć się z zamąż-pójściem, kochana siostrzyczko — powiedział wesoło pan młody.

— Ale z kogo? — zastanawiała się głośno i zupełnie na serio Anda.

Sprawa wydała się jej godna zastanowienia, a warunek ciotki Eleonory, ostatecznie nie tak bardzo trudny. O cóż chodziło? Oto po prostu, aby zasiadła w stroju oblubienicy za stołem weselnym i dzięki temu mogła otrzymać upragniony zegar. A wtedy... wtedy, nie czekając już na nic, wystarczyłoby przesunięcie wskazówek, co oznaczałoby powrót do czasów ulicy Rakowieckiej. To dopiero będzie zabawne — stać się znów dawną Andą.

— Czy ożeniłbyś się ze mną, drogi kuzynku? — spytała więc natychmiast bez namysłu Karola, który właśnie nakładał jej na talerzyk kawał wspaniałego tortu.

— W istocie, droga kuzyneczko — odparł z galanterią družba — nawet twój żart zaszczyt mi przynosi. Wierzę mi, że gdybyś doszła już do wieku, w którym panience przystoi słuchać ofert małżeńskich, pierwszym byłbym, który zgłosiłby się z pokorną prośbą o twoją piękną rączkę.

Masz ci los — zmartwiła się teraz Anda — to znów okazuje się, że jestem za młoda na to, aby wyjść za męża. A przecież nieraz słyszałam, że dawniej dziewczęta wychodziły za męża niezwykle młodo. Albo może rudzielec nie ma zamiaru skorzystać z mojej matrymonialnej oferty i tak się tylko wykręca. Muszę jeszcze spróbować pogadać z kim innym. Muszę doprowadzić do mojego zamążpójścia, jeśli już ta szatańska ciotka wymyśliła taki rozkoszny warunek. Trzeba będzie rozejrzeć się wśród tych prześmiesznych młodzieńców. Wszystko jedno, czy będzie wyglą- dać po ludzku, czy nie. Nawet może być łysy. Przecież to i tak nie będzie naprawdę — w momencie, kiedy dorwę się do

klucza i do zegara — wszystko się zmieni. Oczywiście, że trzeba będzie odczekać jakiś czas między zaręczynami a weselem — ale trudno. Ci narzeczeni z lat osiem-i iesiątych są okropnie nudni z cikliwymi listami, ale mają też i dobre czaję — przynoszą taaakie bomboniere wspaniałych czekoladek przysyłają kwiaty. I ta część programu narzeczeńskiego nawet mi się podoba.

163

Zaczęła przyglądać się bacznie siedzącym przy stole panom. Ale nie bardzo mogła zdecydować się, któremu z nich nawet tak na niby i na trochę oddać swoją rękę — jak to się mówiło w czasach ciotki Eleonory; wszyscy byli tacy brodaci i wąsaci i raczej nadawali się na wujków niż na narzeczonych.

Te refleksje przerwały okrzyki: — Gorzkie wino! Gorzkie wino! — Miało to oznaczać, że pan młody ma pocałować wobec wszystkich pannę młodą. Ewita zarumieniała się mocno i spuściwszy oczy wyszeptała, że wino jest na pewno słodkie, ale to nie pomogło. Wszyscy nadal wołali:

— Gorzkie wino! W rezultacie pozwoliła się pocałować Doroszowi w policzek, po czym zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Zaraz potem mama, w porozumieniu z młodą parą, dała znak wstawania od stołu. Wszyscy mieli przejść do salonu, gdzie zaczynało tańczyć. Ewita podniosła się z krzesła jednocześnie z Doroszem — widać zapamiętała dobre rady i wskazówki Genowefci, która przykazywała jej, aby podczas kolacji i wstawania od stołu ani na chwilę nie rozstawała się ze swoim nowo poślubionym małżonkiem.

— Bo jeśli wtedy jedno z małżonków odejdzie — to znaczyć będzie rozstanie — przestrzegała Ewitę.

— No, to się rozwiodą — wtrąciła lekkomyślnie Anda. I dopiero wtedy podniósł się krzyk.

— Jak można mówić takie zberezeństwa — krzyczała Genowefcia

— panna Anusia tak mówi, bo nawet nie rozumie, co znaczy takie słowo!

A Ewita aż pobladła i powiedziała, żeby Anda zaraz odpukała takie okropne słowo, bo chociaż podobno takie rzeczy czasem się zdarzają, ale na ogół nie powinny mieć miejsca w porządnym rodzinach, a po drugie, ona sama, to znaczy Ewita, za nic by nie chciała rozstać się z Doroszem.

Aha, to widać w czasach ciotki Eleonory nie było jeszcze rozwodów

— wywnioskowała z tego Anda — i może lepiej było, że nie było. Bo to są okropne historie. Jak rodzice Joli z naszej klasy rozwodzili się, to ona była wtedy chyba najbiedniejsza pod słońcem. Zwłaszcza kiedy kazali jej wybierać, z kim chce być — z ojcem czy z matką. A przecież ona ich obydwójce kochała i koniecznie chciała, żeby byli razem.

Tak więc, pomna teraz wskazówek Genowefci, Ewita położyła ręki, — na ręce Dorosza, razem podnieśli się od stołu i przeszli do salonu, a za

nimi reszta gości. Panowie podawali ramię swoim damom, a rudzielec Karol z galanterią skłonił się przed Andą.

— Czy mogę służyć, kuzyneczko?

Proszę — powiedziała grzecznie Anda, chociaż rudzielec nudził ją okropnie.

W salonie zaś słychać było dźwięki muzyki.

— Czy mogę prosić kuzyneczkę do kontredansa?

— Nie mam pojęcia, jak to się tańczy — wyznała.

— Ach, to nic trudnego! Na pewno kuzyneczka potrafi doskonale zatańczyć ten piękny i bardzo teraz modny taniec.

— To teraz kontredans jest modny? — zdziwiła się.

Widać już było wirujące pary. Ewita zdawała się płynąć po posadzce, unoszona przez Dorosza. Zdjęła welon, była zarumieniona i wyglądała ślicznie.

— Wszystkie pary kółeczko — zawołał wesoło tatko — wszyscy tańczą. — I poprosił, składając niski ukłon, do tańca ciotkę Eleonorę.

Ach, zostawmy płasy młodszemu pokoleniu — roześmiała się ciotka. Ale po chwili podniosła się i zaczęła tańczyć. Była tak ładna, że wszyscy stali zapatrzeni. Smukła, wytworna w każdym ruchu, obracała się dziwnie lekko na błyszczącym parkiecie.

To wygląda jak scena z jakiegoś filmu — pomyślała Anda. Patrzyła z przyjemnością na roztaczający się przed nią obraz, jaki przedstawiał w tej chwili duży, staroświecki salon. W świetle niezliczonych świec, migotliwie odbijających się w kryształowych wisiorkach kandelabrow, wśród kwiatów, ustawionych w wazonach i koszach, wirowały pastelowe sylwetki tancerek, których suknie, szerokie u dołu, przybierały w czasie tańca kształt kielichów jakichś ogromnych powojów. Staroświeckie, melancholijne i melodyjne walce stanowiły doskonałą ilustrację muzyczną.

— Tańczymy, kuzyneczko? — uprzejmie spytał jeszcze raz Karol. Wydał się jej teraz dość sympatyczny. Był nieomal wzruszający z tą

swoją troską o nią. — Może on jest i dobry chłopiec w gruncie rzeczy — pomyślała. Zaczęli też zaraz tańczyć. W tej epoce kuzynek Karol, o dziwo! tańczył bardzo dobrze.

— Wszyscy teraz rrrond — zakomenderował jakiś młody człowiek I blond baczami.

164

165

Momentalnie wszyscy utworzyli wielkie koło i ciotka Eleonora znalazła się w tej chwili w najbliższym sąsiedztwie Andy. Uśmiechała się do niej, przymrużając porozumiewawczo piękne oczy, a gdy mijały się w jakimś chaine — uściśnęła jej znacząco dłoń i szepnęła:

— Dotrzymam obietnicy, Anusiu. Podaruję ci zegar. Tylko znajdź sobie jakiegoś dorzecznego męża.

— Nie rozumiem, dlaczego muszę spełnić aż tak trudny warunek

— odszepnęła buntowniczo, gdy mijały się w następnej figurze kontre-dansa.

— Czyżbyś ciągle jeszcze źle się czuła w tej mojej epoce? — zdumiała się ciotka Eleonora. Poruszała przy tym wspaniałym wachlarzem z ciemnogrnatowych piór. Była tak śliczna, że miało się ochotę patrzeć na nią jak na piękny obraz. — Czyżby ci się nie podobały te moje czasy?

— powtórzyła. — Pomyśl, jak wspaniałe jest wesele twojej siostry. Czy możliwe byłoby urządzenie podobnego przyjęcia w waszym małym mieszkanku na Rakowieckiej? Spójrz na diamenty, które otrzymała Ewita. Czy pan Dorosz z naszej epoki mógłby obdarować ją czymś podobnie wspaniałym?

— Nie, nie mógłby — szepnęła Anda, ale dodała buntowniczo — to jeszcze wcale nie jest najważniejsze i zasadnicze. Nasza epoka daje natomiast o wiele więcej swobody dziewczętom. A diamenty nie mają znaczenia.

— Nie wiem — szepnęła ciotka — nie wiem, mnie to wydaje się najpiękniejszą epoką w dziejach świata. Wsłuchaj się tylko w melodyj-ność walców.

— Uważam, że są raczej nudne — mruknęła niegrzecznie Anda — mnie się podoba na przykład rock and roli!

— Nie wiem, co to jest — ciotka Eleonora wydawała się lekko zakłopotana — to znaczy, mam wrażenie, że chcesz mnie czymś zaszokować. Czymś raczej wulgarnym. To jest charakterystyczne dla waszych czasów.

— Wulgarnym? — powtórzyła Anda.

— Właśnie. Albo w każdym razie krzykliwym, denerwującym. No, czymś takim, co wy nazywacie nowoczesnym...

— Czy mogę prosić, droga kuzynko? — Tato skłonił się przed ciotką Eleonorą, pełen staroświeckiej galanterii. Ciotka Eleonora zaśmiała się

tym swoim dziwnym, srebrnym, jakby gruchającym śmiechem i skinąwszy głową Andzie, znów dała się unosić w zawrotnym walcu.

— Chaine z lewej rączki — zakomenderował młodzieniec z bacz-kami.

Co to znaczy chaine? — chciała zapytać Anda, kiedy naraz poczuła, że stopą, obutą w aksamitny różowy pantofel na cienkiej podeszwie, nastąpiła na coś. Schyliła się szybko i w tejże chwili poczuła w swej dłoni drobny, misterny kształt klucza. Złotego klucza ciotki Eleonory! Klucza do porcelanowego zegara! Widać upuściła go wtedy, kiedy tato zaprosił ją do tańca. A może należałoby oddać zbugę? Ale nie, cóż za szalony pomysł! A czy ciotka Eleonora postąpiła wtedy lojalnie, kiedy wrzuciła złoty kluczyk do morza? Co prawda należy być zawsze szlachetniejszym od przeciwnika. Ale w tym wypadku! Przecież trzeba jakoś wrócić do swojego własnego czasu! Zaraz! Przecież kluczyk to jeszcze nie wszystko. Jeszcze trzeba odnaleźć zegar! Oczywiście trzeba działać dość szybko, zanim ciotka Eleonora spostrzeże się, że nie ma klucza! Właśnie w tej chwili muzycanci przestali grać i panowie odprowadzają swoje tancerki w kierunku krzeseł i kanapek pod ścianami. Teraz należy za wszelką cenę unikać spotkania z ciotką Eleonorą.

— Czy można kuzyneczce służyć jakimś napojem? — To rudzielec Karol taki jest okropnie grzeczny i troskliwy. — Pewnie kuzynka odczuwa pragnienie po tak szybkim tańcu.

— Doskonała myśl — pochwaliła łaskawie Anda — w istocie dobrze byłoby napić się czegoś zimnego.

Karol przywołał jednego z owych wyfraczonych jegomościów o pozorach dyplomaty. Jegomość zbliżył się z tacą zastawioną smukłymi kryształowymi kieliszkami — skłonił się uprzejmie. Anda pochwyciła jeden z kieliszków, napełniony jasnym, musującym płynem, i wychyliła go szybko. Napój był chłodny, orzeźwiający i bardzo jej smakował. Natychmiast chwyciła więc drugi kieliszek i trzeci. Karol patrzył przerażony.

— Ależ droga kuzyneczko — wyjąkał — obawiam się, że tyle szampana może kuzyneczce zaszkodzić.

— To ma być szampan? — zachichotała Anda, było jej teraz dziwnie wesoło — ależ to jest po prostu woda sodowa z sokiem!

— Miałem zaszczyt podać panience najlepszy gatunek szampana — skłonił się dyplomata z tacą.

166

167

I

— Naprawdę? — zdziwiła się i ucieszyła Anda. — To świetnie! Przynajmniej dzięki ciotce Eleonorze i jej zegarowi poznałam smak szampana. Nie, nie, ta epoka ma jednak swoje dobre strony i chwilami żał mi się z nią rozstawać. I ty, Karolu, jesteś teraz zupełnie miłym chłopcem. A tam na Rakowieckiej byłeś zupełnie inny. Muszę ci nawet powiedzieć, że byłeś często źle wychowany. Po prostu ordynarne chło-paczysko!

— Aaach, kuzynko! — jękał przerażony i wyraźnie zgębiony kuzyn Karol. — Jeśli kiedykolwiek w jakikolwiek sposób, oczywiście zupełnie mimo mej woli, zachowałem się w sposób, który mógłby cię urazić, to proszę cię na wszystko, abyś zechciała mi to wybaczyć!

— Lubię, jak się tak wygłupiasz! Ach, żebyś był taki grzeczny jak teraz! Proszę cię, bądź dalej taki okropnie uprzejmy! Aż mi żal, że to niestety wkrótce się skończy i że być może już za godzinę, jeśli oczywiście uda mi się odnaleźć zegar, będziesz znów odnosił się do mnie z pogardą, będziesz trzymał ręce w kieszeniach i wzruszał ramionami przy każdym odezwaniu się.

— Co mówisz, droga kuzynko? — Rudzielec był szczerze zmartwiony. — Czyżbyś w istocie uważała mnie za zdolnego do podobnych uwłaczających postępów? Czy też może żartujesz sobie ze mnie w sposób okrutny? Wierzę mi, że nie zasługuję na to.

— Oczywiście, że w tej chwili nie zasługujesz! Ale kto wie, co będzie za godzinę?

— Ach, nie zaprzataj swej młodej główki filozofią życia.

— No nic, jeszcze zobaczymy! Na razie chciałabym znaleźć Geno-wefcię. Do zobaczenia, kuzynku, do zobaczenia za całe osiemdziesiąt lat!

— Ach, obawiam się, czy zbytek szampana, droga kuzyneczko, nie nastroił cię tak żartobliwie! Jeśli zaś miałabyś w chwili obecnej złe samopoczucie, to pozwól, iż ja zajmę się odszukaniem twojej panny służącej.

— Świetnie! Gdybyś znalazł Genowefcię, którą tak śmiesznie nazywasz, byłoby to bardzo ładnie z twojej strony! Wyprawiwszy w ten sposób kuzynka Karola, Anda wysunęła się z salonu, pełnego gwaru i muzyki. Mimo dziwnego szumu w uszach i faktu, iż czuła się raczej niezbyt dobrze, miała pełną świadomość, jak cenną zdobycz ściska w tej chwili w dłoni. Mały złoty klucz!

168

W korytarzu ani w jadalni nie znalazła jednak Genowefci. Do czego potrzebna jej była w tej chwili Genowefeia? Ba, przecież to była jedyna osoba, która mogła jej w tej chwili wskazać, jak trafić do mieszkania ciotki Eleonory! Do tego mieszkania, gdzie prawdopodobnie na jakimś kominku czy konsoli odmierzał czas dziwny, staroświecki porcelanowy zegar, malowany w kwiatki.

W sypialni mamy, gdzie panie poprawiały uczesania, i w gabinecie ojca, gdzie siedzieli panowie, paląc cygara i gdzie nie było ani jednej pani — też Genowefci nie było. Przyszło jej więc na myśl, że być może natrafi na nią w tej zaimprovizowanej jadalni, w mieszkaniu sąsiadów. Przeczucia nie omyliły jej. Genowefeia zmieniała obrusy na stołach. Na widok Andy rozpromieniła się:

— A co? Udanе wesele! Przez rok będą w kamienicy o tym mówić. Piękne wesele ma nasza panna Ewunia! A za roczek, dwa to naszą pannę Anusię też będziemy wydawać!

— Niech i tak będzie — zgodziła się Anda. Miała przecież klucz w ręku i to usposabiało ją wspaniałomyślnie — przecież i tak w momencie posunięcia zegara wszystko będzie wyglądać inaczej. Wszystko powróci do epoki ulicy Rakowieckiej. Teraz nie było miejsca ani czasu na takie drobiazgi, jak rozważania o weselu. Teraz należało działać w innym kierunku.

— Genowefciu — zaczęła.

Genowefeia była w jak najbardziej lirycznym nastroju.

— Co, panno Anusiu, co ptaszynko, co kwiatuszku? Już tylko jedną panienkę będziemy teraz mieli w domu.

— Genowefciu! Mam do załatwienia niezmiernie pilną sprawę.

— Pilną sprawę? A cóż może być teraz pilnego? Pilną sprawę to ja będę miała do załatwienia, panienko. Muszę za chwilę jechać na Nowy Świat.

— A po co znowu na Nowy Świat?

— Jak to po co? Muszę pojechać do tego nowego mieszkania panny Ewuni i witać tam na progu nowożeńców chlebem i solą.

— Aha! A czy nie jedziesz też czasem na przykład do ciotki Eleonory? To znaczy do jej mieszkania?

— Eee nie. A czemu panna Anusia o to pyta?

— Ach, nic takiego. Tylko ciocia prosiła mnie, abym tam zajrzała, bo

169

zdaje się jej, że zgubiła jakiś drobiazg. Mogłybyśmy pojechać tam razem.

Anda jest w tej chwili bardzo zadowolona z siebie. Uważa, że jest to niezwykle chytre i podstępne posunięcie. Gdyby tylko Genowefcia zgodziła się. Ale Genowefcia waha się — nie będzie dosyć czasu na takie dalekie przejażdżki — przecież ciotka Eleonora mieszka aż w alei Róż. Pod siódmym.

— Ale do Ewity pojedziesz, co? — upewnia się na wszelki wypadek Anda.

— Jakże bym nie pojechała? — Genowefcia obrusza się — pojedę za jakieś pół godzinki.

Za pół godzinki. Hm, przez ten czas można by jeszcze pobawić się na staroświeckim weselu z takim uczuciem, jakby się oglądało jakiś superdo-skonały film panoramiczny. Bo jeśli za pół godziny czy trzy kwadransy można już będzie przesunąć wskazówki na porcelanowym zegarze — to cała historia przecież momentalnie się skończy. A więc —jeszcze trochę zabawy w stylu epoki ciotki Eleonory.

Zaraz, zaraz — a gdyby tak na zakończenie tej przygody w czasie pokazać ludziom z minionego stulecia kawałek przyszłości? Pokazać im, jak się tańczy w drugiej połowie XX wieku? Zgorszą się? No to niech tam! Niech się zgorszą. Za chwilę przecież i tak to nie będzie ważne! Ale co za zabawa!

Rozdział czternasty

W salonie wszyscy stali półkołem, oniemiał — może ze zdumienia, a może ze zgrozy — na widok Andy tańczącej pośrodku salonu. Sama już właściwie nie wiedziała, co tańczy. Była to jakaś improwizacja, jakaś synteza współczesnego rytmu. Uniosła aż do kolan swoją stylową długą suknię i poruszała się jakby w zapamiętaniu. I w tym salonie, wśród staroświeckich mebli, koronkowych firanek i aksamitnych portier, w blasku żółtawego światła naftowych lamp i płonących w kandelabrach świec, jej taniec był czymś niemal przejmującym, był nieodwołalną zapowiedzią niepojętych spraw i przemian. Ale Anda bawiła się tym świetnie, pewna już zupełnie bezkarności — przecież za chwilę pojedzie do mieszkania ciotki i przesunie zegar. A ci wszyscy ludzie stojący wokół przywróci zostaną tym czasem, w których zabawny taniec i noszenie spodni przez dziewczęta nie jest czymś wywołującym zgrozę.

Nie przejmowała się wcale tym, że ktoś wołał: — To dziewczę oszalało! Ratunku! Ach! Ach! Wezwijcie lekarza! — Kilka pań zemdłało. Zaraz przecież zniknie ten zabawny staroświecki salon, kobiety będą zwyczajnie ubrane, prosto i krótko, i każda z nich będzie wyglądać o dwadzieścia lat młodziej, mężczyźni nie będą mieli tych śmiesznych bokobrodów i wąsów. Życie będzie o wiele prostsze i łatwiejsze. A czy lepsze? Trudno to powiedzieć — w każdym razie ciekawsze,

szybsze, bogatsze w przeżycia. Szkoda, że niektórych rzeczy nie można zachować i przenieść / epoki do epoki — na przykład tych rozległych mieszkań! Albo na przy-

171

kład ugrzecznionego rudzielca Karola! Ale trudno! Jeszcze dwa, trzy takty i koniec zabawy!

Przystanąła zdyszana. Wszyscy rzucili się w jej stronę — mama z okrzykiem przerażenia. (Kochana mamo! Przecież sama tak tańczyłaś w tych czasach na Rakowieckiej!) Ciotka Eleonora z wyrazem największego niesmaku na ładnej twarzyczce, ojciec — zgorszony, rudzielec też zgorszony, zupełnie jakby w czasach Rakowieckiej to nie on był pierwszy do wszelkich wygłupów. A reszta — to był po prostu tłum szemrzący i oczywiście oburzony.

— Do zobaczenia za sto lat! — krzyknęła wobec tego Anda i wybiegła szybko z salonu. Tak oczywiście szybko, jak tylko na to pozwalały wysokie obcasy i długa suknia. W korytarzu wpadła na Genowefcię, która stała z przerażoną miną, trzymając jakieś zawiniątko.

— Jedziemy! — zakomenderowała Anda i pociągnęła ją za sobą. Wybiegli przed dom, gdzie stał rząd karet.

^~ — Do której mamy wsiadać?

— Do tej, gdzie taki gruby stangret — wskazała Genowefcia.

— No, to jazda.

Kareta potoczyła się szybko i wkrótce znalazły się na Nowym Świecie.

— Ty teraz tu zostaniesz, Genowefciu, z tym chlebem i solą, a ja pojedą troszeczkę dalej — rozkazała Anda. — Tak, tak, nic nie mów, tylko wędruj na górę. Ja wiem, co robię. Już mi się znudziła ta cała epoka. A tobie na pewno też, chociaż o tym nie wiesz. Ale już za chwilę będziesz wyglądała o wiele ładniej i młodziej.

— Nic nie rozumiem — denerwowała się Genowefcia.

— Wcale nie musisz rozumieć! Szoruj tylko szybko do tego mieszkania Ewity. Tego to mi szkoda! Ale co robić! Panie stangrecie, proszę teraz szybko pojechać w aleję Róż, numer domu siedem. Tak, tak, siedem, tylko jak najszybciej! I pan za chwilę zamiast powozić tą kareta będzie prawdopodobnie siedział w swojej własnej eleganckiej taksówce!

— Dobrze, panienko — zgodził się stangret. Miał bardzo wystraszoną minę i najzupełniej nie wiedział, co ma myśleć o tak dziwnie się wyrażającej młodej osobie. — A czy mam zaczekać na panienkę?

— Dobra, niech pan czeka! Sama jestem ciekawa, jak pan będzie wyglądać za te małe sto lat!

172

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnał się dyskretnie stangret — jedziemy!

Pognał białe konie i kareta szybko potoczyła się przez Nowy Świat, który wcale nie wyglądał jak Nowy Świat, poprzez plac Trzech Krzyży, na którym wszystko wyglądało zupełnie inaczej i gdzie był ogromny bazar, a następnie w Aleje Ujazdowskie, też inne niż te dzisiejsze. Wszystko w dodatku było bardzo źle oświetlone gazowymi latarniami. Wreszcie kareta zatrzymała się przed jakimś pałacykiem.

— To chyba tu, panienko — powiedział stangret. Wygramolił się z kozła i grzecznie otworzył drzwiczki pojazdu.

Anda wyskoczyła szybko i pchnąwszy żelazną, ażurową furtkę ogrodzenia, wbiegła po schodach do wnętrza. Nie spotkała po drodze nikogo. Mijała duże, mroczne pokoje, pełne stroświeckich mebli. Całe szczęście, że tuż za oknami płonęła nawet dość jasno latarnia gazowa. Stojące przy oknach kwiaty rzucały na pokoje fantastyczne cienie i wszystko wyglądało dziwacznie i trochę niepokojąco.

Gdybym wierzyła w duchy, mogłabym się przestraszyć — pomyślała Anda — ale ponieważ nie wierzę, więc nie powinnam się bać. Ale gdzie, u licha, jest ten zegar? Jeżeli nawet w tym mroku trudno jest go dostrzec, to powinnam przecież usłyszeć jego tykanie!

Biegła dalej, otwierając coraz to nowe drzwi i wchodząc do coraz to innych pokoi. Ale zegara nigdzie nie było. Czyżby ciotka Eleonora przezornie usunęła go ze swego mieszkania?

Przystanąła, niezdeterminowana, co robić dalej. No, gdyby zegara tu nie było... lepiej nie myśleć, co za historia wynikłaby z tego tańca! Straszliwy skandal! I znów mama martwiłaby się, że skompromitowała ich zacny dom! Nie, nie można dopuścić do tego, aby mama miała takie bezsensowne zmartwienia! Trzeba jeszcze raz przeszukać całe mieszkanie. Uważnie, spokojnie. Tylko spokój może nas uratować! — jak mawia tatko. Oczywiście ten z Rakowieckiej. Zaraz, zaraz, w tym pokoju, pełnym pachnących kwiatów, a może tylko przesyconym wonią perfum, słychać jakiś miarowy szmer. Trzeba posłuchać spokojnie. Ależ tak! To przecież znajome tykanie porcelanowego zegara! Co za radość! A teraz wydzwania swoim srebrzystym głosikiem kwadrans — która też może być godzina? Ach, mniejsza o to, która! Najważniejsze jest to, że w ogóle jest zegar!

173

I że Anda trzyma w zaciśniętej dłoni złoty kluczyk. Za chwilę wskazówki obrócą się w stronę nowych czasów, za chwilę wszystko się zmieni. Za chwilę będzie znów ulica Rakowiecka, mieszkanie na drugim piętrze, mama w krótkiej sukni, tatko, który umówi się z mamą do kina, Ewita, spiesząca na spotkanie z Doroszem — a ona, Anda, pójdzie jeszcze dziś lub najpóźniej jutro na pływalnię. I może umówi się z Teresą do kina. Ach! Jakie to wszystko będzie piękne. Nawet zadania z algebry wydają się pełne uroku, a Cuduś niezwykle cudny! Jakże się do tego wszystkiego stęskniła! Zaraz, w mroku tak trudno jest trafić tym małym złotym kluczykiem do właściwego otworu w tarczy zegara. Na szczęście żółte światło latarni pada właśnie na tę część marmurowego kominka, gdzie stoi zegar. O, tak. Oto wskazówki, misternie rzeźbione, delikatne i cienkie. Można je będzie obrócić na tarczy zegara, mijając malowane ozdobne cyfry.

Ileż trzeba tych obrotów, aby stał się właściwy czas? Wtedy wskazów-Cki biegły jak szalone w stronę przeciwną do swego zwykłego biegu. Ale to działa się — jak powiedziała ciotka Eleonora — działa się to w godzinie pąsowej róży. A czy teraz jest godzina pąsowej róży czy jakiegokolwiek róży? Być może — że jest. Jednak mniejsza o to, nie ma czasu

na dalsze zastanawianie się. Najważniejsze, aby spróbować przesunąć czas. Przecież wtedy, u zegarmistrza, w pogodny, wiosenny ranek, wskazówki popchnięte naprzód sprawiły, że dzięki temu w jednej sekundzie minęły trzy miesiące i że zamiast kwietniowego, łagodnego dnia był upalny lipiec. Śmieszne i dziwne było wtedy tak nagle znaleźć się na plaży, nad morzem. Swoją drogą ciekawe, co by to było, żeby tak cofnąć wskazówki jeszcze trochę i przekonać się, co z tego wyniknie? To mogłaby być zupełnie śmieszna historia. Pomyśleć tylko — igraszka z czasem! Jest to pokusa nad pokusami — ale może jednak nie ryzykować. Bo a nuż człowiek znajdzie się w jakiejś dziwacznej epoce? Na przykład w średniowieczu. Wtedy nie znano zegarów nakręczanych małymi kluczykami i można by wkopać się w beznadziejną awanturę. Nie, to już lepiej pchnąć wskazówki naprzód!

Tak była zaabsorbowana tymi rozważaniami, że nawet nie usłyszała lekkich, tłumionych przez dywany kroków i nie zauważyła, że na progu pokoju stanęła jakaś wysoka, smukła postać.

— Widzę, że zupełnie przyjemnie spędzasz czas w moim mieszkaniu, drogie dziecko — rozległ się dobrze już znany głos. Tym razem nabrzmiały był ironią.

174

— Ciotka Eleonora?... ciocia... to znaczy..

— Wyobraź sobie, najmilsza Anusiu, że to ja. We własnej osobie. Zdaje mi się, że jednak przyszłam do mojego własnego mieszkania jak najbardziej nie w porę i że ci przeszkodziłam, co?

— Trochę — wyznała Anda — trochę mi przeszkodziłaś, ciociu. Ale chyba nie dziwisz się, droga ciociu Eleonoro, że mam ochotę powrócić nareszcie do mojej epoki.

— Doprawdy? Przyznam ci się, że się dziwię. Czyż ci nie jest teraz dobrze na świecie? Czyż to nie są piękne czasy, ^gdy kobieta, a zwłaszcza urocza kobieta, otoczona jest uwielbieniem, kiedy nosi śliczne suknie, dostaje kwiaty, czekoladki i klejnoty? Kiedy mężczyźni marzą o jej jednym uśmiechu i gotowi są do nie wiem jakich poświęceń; aby zdobyć od uwielbianej istoty zwiędły kwiat, który zdobił jej włosy czy suknię. Ach, przynasz, że w tych moich czasach jesteśmy po prostu czczeni jak bóstwa!

— Eeee, ładne bóstwa! W gorsetach i długim ^perkalu owych majtkach! — lekceważąco mruknęła Anda. — Wolę nie być bóstwem, a ubierać się po ludzku, używać sportów i chodzić do kina! J^6 ta epoka mi nie odpowiada! Nie odpowiada i już!

— To może tobie się nie podoba, ale ja nie chcę, a ^y przeminął ten czas — krzyknęła gwałtownie ciotka Eleonora i wionąwszy sutymi falbanami sukni, jednym susem znalazła się przy A^dzie-

— Oddaj natychmiast kluczyk! — syknęła przez zaciśnięte zęby.

— Nie oddam! Ja przekreśliłam ten zwariow^y czas i ja go odkreślę!

— Wgłowiemi się nie mieści, jak można być tak zuchwałą—syczała dalej ciotka Eleonora.

— Można, można, moja ciociu. I w ogóle Ciocia tych rzeczy nie rozumie.

To mówiąc, Anda usiłowała natrafić kluczy^m na właściwy otwór w tarczy porcelanowego zegara. W pewnej chwili wydało się jej, że wreszcie kluczyk obraca się swobodnie, przekręca go więc co prędzej z zamiarem pchnięcia wskazówki naprzód. Jednocześnie jednak poczuła, że cienkie, białe i upięścinione palce ciotki Eleonory szarpnęły jej rękę. Z wnętrza zegara wydobył się przykry zgrzyt.

— No i co? — spytała teraz ciotka, uśmiechając się <5 triumfująco — no i co, moja panienko? Zdaje mi się, że zepsułaś nasz pamiątkowy, rodzinny zegar. No i co?

175

Po czym dodała triumfująco:

— Pożalujesz teraz swojego tak zuchwałego postępowania. Spójrz w lustro!

Jednocześnie ładnym, pełnym gracji ruchem zapaliła świecę w kryształowym lichtarzu na kominku.

Anda przysunęła się bliżej do lustra. Dotykała prawie szklanej tafli, z której spoglądała na nią dziwna twarz. Była podobna do niej, a przecież niepodobna. Pomarszczona i pożółkła. Koło bladych, zaciśniętych ust rysowały się dwie kreski nadające pełen rozgoryczenia wyraz. Była to twarz starej kobiety!

— Kto to? — spytała Anda ze zdumieniem. — Co to za kobieta?

— To ty jesteś — szepnęła ciotka.

— To nie ja! Nie ja! — krzyknęła Anda. — Przecież ja tak nie wyglądam!

Uczyniła gwałtowny gest, jakby chciała zamazać rysującą się w lustrze twarz — jej odbicie wiernie powtórzyło ten sam gest.

— A widzisz? — zaśmiała się triumfująco ciotka Eleonora — tak się kończy nieposłuszeństwo, zła wola i chęć podstępного działania. Czyż nie postawiłam ci godziwego warunku otrzymania klucza? Stwarzałam ci możliwość przeżycia najpiękniejszych chwil, jakie może przeżyć kobieta w każdej epoce, a już szczególnie w mojej — przeżycia okresu narzeczeń-stwa! A teraz, gdy tak samowolnie przesunęłaś czas o prawie dwadzieścia lat — kimże jesteś? Spójrz! Brzydka, starą panną, której nikt już nie zechce. Starą panną, która będzie pośmiewiskiem i tematem anegdotek.

— Nie rozumiem, co to znaczy: starą panną— szepnęła Anda. Zwiędłe usta brzyduli w lustrze powtórzyły wiernie układ jej warg, gdy zadawała to pytanie.

— Ach, nie rozumiesz, bo w twojej epoce to pojęcie już zupełnie zanikło. Ale w moich czasach było to zjawisko niezbyt radosne. Masz teraz prawie trzydzieści pięć lat. Jesteś brzydka, powtarzam to jeszcze raz, brzydka, gdyż w mojej epoce kobieta po trzydziestce, jeśli nie wyszła za mąż, traci urok i nikt już się nią nie interesuje. Chyba że jest bardzo

posażna. A ty nie jesteś posażną panną, moja droga. A w dodatku ta obecna moda nie jest ci do twarzy. Spójrz tylko — powtórzyła.

— Wyglądam jak czupiradło! — samokrytycznie skonstatowała Anda. Czuła się przy tym bardzo głupio.

176

— A właśnie! Zupełnie trafni i lo

dasz? Bo musisz się ubicrai panience, jeśli nawet ma tr/.yd; jak ubierają się mężatki. A ja! masz na głowie?

— Ależ to jest wronie gnia/dn, .i m

— W istocie, przypomina nieco \i >'ui. I zdo. Trzeba przyznać, że niejesteś w tej i tego chciałaś, moja droga.

Oczywiście, że Iwoj mężajest o wiele mniejsza niż dwadzieścia lal lenni bodaj za mecenasa Kępskiego — ale dziś ma on ju siatki i wątpię, żeby miał ochotę cię poślubić. Nic mó Karolu, który prawdopodobnie ożeni się z Werą.

— Z Werą? — podskoczyła Anda. — Czy on oszalał" len i Ostatecznie był dosyć sympatyczny, zwłaszcza w tej epoce, kil

byli tak okropnie dobrze wychowani! Nie, ja do tego nic mogę dopu aby Wera mi go zabrała! — krzyknęła w przystępie irytacji i nic ruun lając się dłużej chciała dotknąć zegara, aby znów cofnąć wskazówek i

— Co robisz?! — ciotka Eleonora chwyciła ją za rękę. — Jeśli teraz zaczniesz pędzić wstecz, znajdziemy się w epoce Sobieskiego albo Piasta i Rzepichy!

— Och, wolę to niż miałabym zostać na zawsze czupiradłem we wronim gnieździe na głowie! Poza tym w czasach Rzepichy nie byłoby jeszcze zegarów. Na razie jednak zegar się zaciął. Nie chce posunąć się dalej ani naprzód, ani wstecz!

— Widzisz, do czego doprowadziła twoja samowola i nieposłuszeństwo, a także nieuszanowanie zaleceń osób starszych! — wykrzyknęła ciotka Eleonora.

— Nic nie widzę! — wrzasnęła Anda. — Dosyć już mam tego wszystkiego. Chcę wrócić do moich czasów na Rakowieckiej!

— Ja zaś mam wrócić na moje miejsce na starej fotografii w pluszowej ramce, co? O nie, moja panienko! Życie — zwłaszcza życie w mojej epoce — jest zbyt piękne, abym miała z niego zrezygnować. Na siedzenie w ramce zawsze jeszcze będzie czas. A teraz, teraz przed samym sezonem, kiedy zapowiada się tyle pięknych balów, kiedy mam zamiar wyjechać do Paryża, miałabym zrezygnować ze wszystkiego? O nie!

12 — Godzina pąsowej...

177

— Przecież, gdyby nie ja, nigdy by pani nie wróciła do swojej epoki — zuchwale przypomniwała Anda. — To dzięki mnie jest pani znów piękna, bawi się pani, podróżuje i w ogóle istnieje!

— Nie mów do mnie „pani”! To brzmi tak niesympatycznie, tak chłodno, zupełnie jakbyś chciała być impertynencka. Ostatecznie nie stała ci się żadna krzywda! Już samo mieszkanie sześciopokojowe w porównaniu z tymi klitkami na Rakowieckiej coś znaczy. A już nie mówię o meblach, o sukniach, które nosisz, o...

— Sześć pokoi! Ale bez łazienki — przerwała z irytacją Anda.

— Ach, ostatecznie nie mieszka się w łazience! Ale za to macie salon! I to jaki! A twoja siostra! Czyż nie zrobiła kariery? W waszych czasach gnieździliby się w jednej kawalerce na piątym piętrze. I karete też będzie miała, i diamenty. I będą mogli wyjechać za granicę.

— W moich czasach też mogą pojechać. Przez jakieś biuro podróży na wycieczkę, albo na przykład, gdyby Ewita była aktorką to razem z teatrem! Wcale nie jestem pewna, czy nie wolałaby być aktorką w moich czasach, niż panią domu w epoce długich kiecek, takich ogoniastych i fal-baniastych, przez które można się przewrócić i którymi tylko zamiata się kurz! Dobrego w tych czasach, które pani tak chwala, jest tylko tyle, że ludzie są jacyś rzeczywiście grzeczniejsi. No i chłopcy też — lepiej wychowani. Niby te kwiatki i czekoladki — to nawet przyjemne! Ale poza tym — to co mnie na przykład czeka? W moich czasach to, proszę stylowej cioci, miałam chociaż szansę zobaczenia kawałka świata — mogłam zostać mistrzynią w pływaniu, sławną na cały świat! A teraz co?

Ciotka Eleonora wzruszyła ramionami.

— Teraz też możesz podróżować! Możesz wyjechać z mężem w podróż poślubną, kiedy wyjdiesz za mąż. Ja osobiście bardzo radzę ci zamąż-pójście!

— Ani mi się śni!

— A mnie zdawało się niedawno, że jesteś skłonna o tym pomyśleć! Choćby ze względu na obiecany ci przeze mnie podarunek ślubny. Postawiłam ten warunek, gdyż jest on związany z pewną tradycją rodzinną!

— Gwiżdżę na tradycje rodzinne — powiedziała niegrzecznie Anda.

— Gdy się wygląda tak, jak ty wyglądasz w tej chwili, to się nie gwiżdżę, moja droga — upomniała dobrotliwie ciotka Eleonora. — Spójrz jeszcze raz w lustro!

178

Anda mimo woli powtórnie skierowała wzrok w stronę połyskliwej tafl.

— Przecież mówiłam już, że to nie jestem ja! — podskoczyła ze złością Anda. — Pani robi sobie ze mnie żarty! Ta kobieta w lustrze jest chyba starsza od pani. A jeśli już ja mam być teraz taka stara, to pani powinna być jeszcze starsza! A pani nic się nie zmieniła!

Ciotka Eleonora zachichotała radośnie i triumfalnie.

— Kochanie, przede wszystkim nie mów do mnie: pani- Już cię o to prosiłam. A poza tym, czy naprawdę uważasz, że wyglądam ładnie i młodo? Tak? Cieszę się z tego niezmiernie. Oczywiście zawdzięczam to trochę i tobie. Dlatego tak pobłażliwie znoszę twoje impertynencje. Co prawda fakt, że cofnąłeś zegar w godzinie paśowej róży, był raczej kwestią przypadku. Niemniej jednak żywię dla ciebie z tego tytułu jakieś cieplejsze uczucia. I nawet mi trochę ciebie żal, kiedy tak się denerwujesz. Co zaś do mojego wyglądu — to zawdzięczam go po większej części rodzinnej legendzie. Tak, tak. Wszyscy zawsze mówili, że byłam piękna, i tak się do tego przyzwyczaili, że nikt nigdy nie wyobrażał mnie sobie inaczej, jak młodą, pełną czaru kobietę. Na fotografii też jestem młoda i ładna. To wszystko sprawiło, że na zawsze pozostałam już taka. Bez względu na czas. Zresztą, jak sama wiesz, sprawa czasu jest rzeczą bardzo dziwną i zupełnie nie sprawdzoną. Podobno jakiś pan interesował się tym. Nie jestem jednak tego pewna. Nie wszystko docierało do mnie poprzez tę pluszową ramkę i szkło.

— To profesor Einstein twierdził, że czas jest pojęciem względnym — wtrąciła z godnością Anda.

— Co ty mówisz? A to ciekawe! A widzisz? Więc jednak ktoś zwrócił już uwagę na dziwność pojęcia czasu.

Anda postanowiła jednak przerwać filozoficzne rozważania ciotki Eleonory i zauważyła cierpko:

— Może byśmy jednak załatwiły sprawę tego zegara- Doszłam do wniosku, że raczej jednak zrezygnuję z dobrodziejstw dziewiętnastego stulecia i wrócę do mojej epoki. Proszę to jakoś załatwić.

Ciotka Eleonora roześmiała się. W rozległym, pogrążonym w mroku mieszkaniu jej śmiech brzmiał tak dziwnie, że właściwie nie było to zupełnie pewne, czy jest to jej głos, czy też może pobrzękujący jak szklane dzwoneczki kurant porcelanowego zegara.

179

Wreszcie śmiech przebrzmiał. Ucichło echo niosące go przez amfildę dalekich pokoi i ciotka Eleonora zbliżyła się do kominka. Szybko chwyciła złoty kluczyk tkwiący dotychczas w mechanizmie starego pożeracza czasu. Ale klucz tkwił tak mocno, że nie dał się wyjąć.

— Proszę przywrócić epokę ulicy Rakowieckiej! Ja tego żądam! — wołała tymczasem istota, która do niedawna jeszcze była zupełnie niebrzydką Andą w różowej balowej sukni, a teraz stała się chudą, spicza-stonosą paniusią w ohydnej sukni koloru musztardowego, z czerwonymi przebraniami, i w równie ohydny kapeluszu, przystrojonym czymś w rodzaju kaczego ogona. I to wyskubanego lub nadgryzionego przez mole.

— Proszę przywrócić epokę ulicy Rakowieckiej! — powtórzyła z rozpaczą i determinacją.

Ciotka Eleonora, nadal śliczna i wytworna, spojrzała na nią z pewnym politowaniem.

— Niestety, moja droga. Mówiąc językiem z epoki Rakowieckiej, sama narobiłaś piekielnego bigosu, na który ja nic w tej chwili nie mogę poradzić. Wpakowałaś kluczyk do niewłaściwej dziurki! W żaden sposób nie mogę go wyciągnąć! I nie wiem, czy znajdzie się zegarmistrz, który potrafi to zrobić, aby nie uszkodzić zegara. Tak więc na razie musisz pozostać w postaci, którą posiadasz w tej chwili! Poza tym otul się dobrze, gdyż jest teraz zima i to dość mroźna. Do widzenia, Anusiu.

Co to ma znaczyć?! — chciała krzyknąć Anda, aby dać choć w ten sposób wyraz swemu oburzeniu, ale zanim zdołała to uczynić, poczuła, że jest jej rzeczywiście bardzo chłodno i ze zdumieniem przekonała się, że znajduje się na ulicy pokrytej śniegiem. Obok niej stała opatulona starsza tęga kobieta, w której poznała Genowefię.

— Genowefciu! Co my tu robimy? Co się stało?

— A co się miało stać, panienko — flegmatycznie mruknęła Genowefcia. — Zimno jest, wracamy do domu. Nie wiem, co panience przyszło do głowy, żeby spacerować w taki dzień. Starsza pani będzie się niepokoić, że panienki nie ma dotychczas, a przecież dziś na operę kupione bilety.

— Nic nie rozumiem! Bilety na operę? A wesele Ewity? Zdaje mi się, że dziś było wesele Ewity.

— Ba, czas szybko leci! Te dwadzieścia lat przeleciało jak jeden dzień.

— Jak to dwadzieścia lat?

— Przecież dobrze mówię. Pannę Ewunię wydaliśmy za mąż w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku jesienią, a teraz jest tysiąc dziewięćsetny.

— Tysiąc dziewięćsetny rok?

Rozejrzała się po ulicy. Kobiety wyglądały teraz nieco inaczej — miały również długie suknie, ale nie tak powłóczyste. Były bardzo wcięte w pasie, z wydatnymi biustami. Kapelusze wielkością przypominały młyńskie koła lub balie. W pobliżu słychać było dźwięki orkiestry.

— A to nie jest czasem muzyka z wesela Ewity? — upierała się przy swoim Anda.

— Skądże znowu, panienko! To gra muzyka w Dolinie Szwajcarskiej.

— W Dolinie Szwajcarskiej? A to co takiego?

— Jak to co? Ślizgawka!

— Ślizgawka—ucieszyła się Anda, podskakując z radości. — Chodźmy tam. Muszę zobaczyć. Może bym się poślizgała. I zapominając o swoich zmartwieniach i perypetiach z ciotką Eleonorą, uniosła zgrabnie suknię i przejechała się z wprawą po zamrażniętej kałuży. Poczuła się od razu lepiej, jakoś było jej weselej i nawet przekrzywiający się kapelusz nie zdołał zepsuć tego humoru. Hopsa! — przejechała się jeszcze raz na jednej nodze, ku ucieście małych uliczników i nieopisanemu zdumieniu przechodniów, którzy zaczęli zatrzymywać się i przyglądać niezwykłemu zjawisku.

— Nie rozumiem, czemu się gapią — zauważyła wesoło, szykując się do nowego poślizgnięcia.

— Ależ, panienko Anusiu! Nie uchodzi! Co sobie ludzie pomyślą. Zwłaszcza że panienka, chociaż jeszcze panienka, ale już prawdę powiedziawszy, to jakby starsza osoba!

— Bajdurzysz, jak zawsze, Genowefciu. Ale jeśli cię to szokuje, to chodźmy wobec tego na prawdziwą ślizgawkę. No, nie krzyw się, nie krzyw. Tylko zajrzemy, co się tam dzieje.

180

!

Rozdział piętnasty

Na wielkim placu, okolonym barierą, ślizgały się dziwacznie poubierane postacie. Młode dziewczęta, w długich, do kostek sięgających sukniach, z rękami ukrytymi w małych futrzanych muflach, sunęły na łyżwach same lub w towarzystwie młodzieńców w krótkich, ledwie za kolana sięgających spodniach i czarnych pończochach oraz w granatowych czamarkach. Gdzieś tam widać też było młodzieńców popychających malutkie, wysłane czerwonym aksamitem saneczki, w których siedziały młode paniusie w kapeluszach z piórami. Młodzieńcy, trzymający się tylnego, wysokiego oparcia saneczek, nachylali się często do ucha pań, szepcząc im widocznie jakieś komplementy. Podkreślali przy tym zabójczo sterczące wąsy.

Andzie wydali się tak zabawni, że aż przysiadła na stojącej na skraju lodowiska ławeczce, zanosząc się ze śmiechu.

— Genowefciu! — zawołała w pewnej chwili. — Zdajemy się, że jest to najzabawniejsza rewia na lodzie, jaką kiedykolwiek w życiu widziałam. Oni wszyscy sąprzekomiczni. Ale jeżdżą fatalnie. Miałabym ochotę pokazać im, jak wyglądać powinna prawdziwa, wyczynowa jazda na lodzie. Zaraz, gdybym tylko miała łyżwy.

— Rany boskie, rany boskie! Co też panienka wygaduje! I zdawałoby się, że w tym wieku już można by mieć trochę rozsądku. Proszę iść do lustra i poprawić sobie włosy i kapelusz.

W drewnianej ramie trochę zmatowiałego lustra, wiszącego w szatni

przy ślizgawce, Anda ujrzała znów tę samą śmieszna twarz o spiczastym nosie. Przekrzywiony cudaczny kapelusz podkreślał śmieszność tego obrazu, a czerwony od mrozu nos wyglądał jak umalowany. Rzeczywiście: istny błazen cyrkowy.

Anda obejrzała się za siebie gwałtownie — była pewna, że za nią stoi ktoś, kto właśnie tak wygląda. Ale gdy odwracając się do lustra dotknęła jednocześnie przemarzniętego policzka, przekonała się, że dziwaczna postać w lustrze powtórzyła jej gest. Czyżby to więc naprawdę była ona? Zwróciła się do Genowefci, która stała obok.

Genowefcia też wyglądała inaczej. Była znacznie starsza, posiwiata, jej rumiana i gładka twarz poorana była teraz zmarszczkami. W jednej chwili pojęła, że to są skutki historii z zegarem. Zdołała przesunąć na nim czas tylko o dwadzieścia lat. I oto była teraz nieładna, śmieszna paniusia.

— Prędeż, panienko — poganiała tymczasem po swojemu Genowefcia. Pod tym względem najwidoczniej nie zmieniła się nawet poprzez stulecia — zawsze miała zwyczaj zmuszania wszystkich do pośpiechu.

— Prędeż — powtórzyła — przecież dziś idzie panienka do teatru.

— Nie chcę żadnego teatru! — wrzasnęła z wściekłością Anda. Jej sposób myślenia i impulsywnego reagowania na wszystko nie uległ poprzez minione lata żadnej zmianie. Miała naprawdę ciągle te swoje czternaście lat i kilka miesięcy. Czuła się młoda, zdrowa i silna, była w doskonałej formie sportowej, tak jak tego pamiętnego popołudnia, kiedy w godzinie pąsowej róży trzasnęła obcasem w familijną fotografię w pluszowej ramce. Tylko ta nieszczęsna powierzchowność! Powierzchowność starszej pani! I to śmiesznej!

— Ja jej pokażę! Ja muszę coś z nią zrobić! — odgrażała się wymachując trzymaną w ręce parasolką, zieloną, z rączką w kształcie kaczej główki. Oczywiście wszystko to były pogroźki pod adresem czarującej ciotki Eleonory. — Nie rozumiem, czemu ona tak się mnie czepia! Dlaczego uwzięła się na mnie?!

— Ciszej, panno Anusiu — błagała przerażona Genowefcia.

— Dlaczego mam być ciszej?! — tupiała nogami Anda. — Ja chcę wyglądać tak jak dawniej! Ja mam czternaście lat!

— Biedna!

— Dostała pomieszania zmysłów!

182

183

— Wezwijcie lekarza! — rozległy się okrzyki w szatni pełnej teraz ślizgawkowej publiczności.

To już przeszło granice cierpliwości Genowefci.

— Panienko! — krzyknęła. — Proszę nie opowiadać takich rzeczy, bo zaraz zrobi się zbiegowisko i skandal. I wezwą naprawdę lekarza.

— O, to byłoby gorsze — zdecydowała Anda — zresztą już przyjrzałam się tej starożytnej ślizgawce i możemy wiać! Teraz gazu, Genowefciu!

To mówiąc, pociągnęła za sobą Genowefcię i zgrabnie przebiła się przez tłum w szatni. Na ulicy stał rząd sanek.

— Sanki! Genowefciu! Prawdziwe sanki! Czy można nimi pojechać?

— Nie tylko można, ale nawet trzeba i to szybko, panienko. Czas do teatru.

— Wsiadajmy! — krzyknęła niefrasobliwie Anda. — Tylko niech pan jedzie prędko! Po kawalersku!

Sankarz obejrzał się zdumiony na paniusię w przekrzywionym kapeluszu, która wskoczyła do sanek ze zręcznością młodego chłopaka i tak dziarsko zachęcała do jazdy, po czym ruszył, poganiając swoją szkapinę.

Zadźwięczały cichutko i srebrzyście dzwoneczki u sanek, biały śnieg skrzypiał pod płożami, a tonące w śniegowym puchu drzewa w Alejach Ujazdowskich wyglądały w błękitniejącym coraz bardziej mroku zupełnie bajkowo.

— Jak cudnie! Genowefciu! Jak cudnie! — cieszyła się Anda, zapomniawszy już o niedawnej przygodzie. — To zupełnie jak film panoramiczny, a może nawet ładniejsze!

— Najważniejsze, żeby panienka zdążyła się przebrać na tę operę — odpowiedziała jak zawsze trzeźwo myśląca i rzeczowa Genowefcia.

Ale przyjechały jeszcze na czas. Sanki zatrzymały się przed kamienicą na Miodowej i Anda szybko wbiegła na górę. W przedpokoju otworzyła jej mama. W mrocznym świetle lampy wydała się jej jakby starsza i przygarbiona.

— Dobrze, że już jesteś — ucieszyła się — właśnie przyszła Ewunia z dziećmi!

— Dobrze, że przyszła. Ale po co z dziećmi? I w ogóle co to za dzieci?

— Jak to? Nie rozumiem, doprawdy, Anusiu, o co pytasz.

Zanim jednak Anda zdołała coś odpowiedzieć, do przedpokoju

wbiegła Ewita. Wydała się Andzie dziwnie szczupła i młoda. Uważała więc za stosowne zaraz jej to powiedzieć.

— Świetnie wyglądasz, Ewitula! A co porabia Dorosz?

— Dziękuję, cioteczko, tatuś czuje się doskonale — odpowiedziała Ewita. I pochyliwszy się pocałowała Andę w rękę.

— Oszalałaś, czy co? — Anda zdenerwowała się. — Lubię żarty, ale nie takie! Co się wygłupiasz! To, że jesteś mężatką, jeszcze wcale nie upoważnia cię do kpin ze mnie! Mamo! Ewita mi dokucza!

— Ależ cioteczko droga, nigdy w życiu... — wyjąkała młodzieńczo wyglądająca Ewita. A ponieważ weszły już właśnie do salonu, dodała, zwracając się do wysokiej, szczupłej i siwowłosej pani: — Mamo! Ja doprawdy nie chciałam urazić ani dotknąć ciotki Anny!

— Och, doprawdy, droga Anno — odezwała się siwowłosa, szczupła dama — nie rozumiem twoich ekstrawagancji!

Mówiła głosem Ewity i była do niej bardzo podobna. Tylko że siwowłosa.

— Ewuniu — zwróciła się srogim tonem do swojej młodszej podobizny — stajesz się zbyt zuchwałą. Czyżbyś uraziła czymś ciotkę Annę? Czy nie pamiętasz o szacunku dla osób starszych? Nawet jako mężatka masz obowiązek o tym pamiętać.

Anda stanęła zdumiona:

— Jest was w tej chwili dwie, ale nie mam zielonego pojęcia, która z was jest prawdziwa! Która z was jest prawdziwą Ewitą? A która ją udaje?

— Droga Anno — Ewita siwowłosa była wyraźnie zdenerwowana — już w naszej młodości miałaś skłonność do dziwactw.

— Ach, i zostało to do dzisiejszego dnia — westchnęła posunięta w latach mama — przez to dotychczas za mąż przecież nie wyszła!

— Ja za mąż? Przecież jestem jeszcze na to za młoda — Anda załamała ręce — czego wy ode mnie chcecie?

— Za młoda? — mama załamała ręce — trzydzieści pięć lat kończysz i mówisz, że jesteś za młoda? Ewa córkę już za mąż wydała, a ty co?

Anda milczała i uśmiechała się. Już teraz wiedziała wszystko. Jest rok 1900. To znaczy, że rzeczywiście popchnęłam ten okropny zegar zaledwie o dwadzieścia lat naprzód. Więc tak wszyscy wyglądają po dwu-

184

185

!

dziestu latach. Ewita siwa i ma córkę zamężną. Mama — już zupełnie starsza i okropnie dostojna. A ja? Rany boskie — spojrzała w lustro — a ja wyglądam jak czupiradło. I to niezamężne czupiradło! A wszystko przez tę moją przystojną cioteczną babkę, której ani się śni wracać na dawne miejsce w pluszowej ramce, aby tam trwać w charakterze czcigodnej antenatki. Ale ja jej tego nie daruję! Jeszcze ja dopadnę tego jej porcelanowego brzuchacza. — Rodowa pamiątka, psia kość! — Ostatnie zdanie wypowiedziała głośno.

— Czy mówiłaś coś, dziecię moje? — zwróciła się do niej mama. — Mam nadzieję, że weźmiesz sobie do serca moje rady i rady Ewuni. Słuchaj siostry. Jako matka dorosłej, zamężnej córki jest ona doświadczoną kobietą i możesz jej zaufać. Właśnie nawet naradzałam się z nią w tym względzie, czy możesz pójść z nami na dzisiejszą operę. Jest to co prawda nasza przepiękna opera narodowa i to mnie skłania do wyrażenia zgody. Wszelako, dziecię moje, nie jestem pewna, czy panience, która nawet dość dawno skończyła — hmmm — tu mama chrząknęła z zażenowaniem — która skończyła już pewną liczbę lat, wypada być na widowisku, którego bohaterką jest wprowadzić nieszczęśliwe dziewczę wiejskie, lecz dziewczę, które zeszło z drogi cnoty!

— Jednak, mamo, „Halka” ma tak piękne melodie — wtrąciła Ewita starsza — że nie należy zwracać uwagi na libretto, lecz rozkoszować się pięknem muzyki...

— Czy to ma znaczyć, że „Halka” jest operą nieodpowiednią dla mnie? — zirytowała się Anda. — Co za głupstwa! Może jeszcze każecie mi wierzyć w bociany, co?

— Ach! — jęknęła mama zakrywając oczy. — Anusiu!

Rozdział szesnasty

Teatr był przepełniony. Anda, razem z rodziną, siedziała w jednej z wybitych czerwonym aksamitem łóż pierwszego piętra. Naokoło widać było jasne, wydekoltowane toalety pań i czarne fraki panów. Niektóre damy miały przypięte do sukien świeże kwiaty i prawie wszystkie nosiły długie aż do łokci rękawiczki. Anda też miała ręce obciśnięte białymi rękawiczkami, które niezbyt elegancko wyglądały przy jej niebieskiej sukni. Wolałaby czarne lub w kolorze czerwonego wina, ale mama powiedziała, że dla panienki, bez względu na wiek, odpowiednie są tylko białe.

Na sali panował upał i przyciszony gwar rozmów. Panie poruszały wachlarzami, kryjąc się za nimi lub chłodząc zarumienione twarze i słuchając komplementów szeptanych przez wyfraczonych panów. Bardzo śmiesznie wyglądali ci młodzieńcy i starsi panowie ze sterczącymi do góry wąsami. Wyglądali jak chrapaszczki i Anda nie omieszkała podzielić

się tym spostrzeżeniem z Ewitą, co wywołało pełne zgorszenia syknięcie mamy. I w ogóle wszyscy w łóżu patrzyli na nią z niesmakiem. Całe szczęście, że Dorosz przyniósł ogromną bombonierkę z czekoladkami i można było się nimi pocieszać.

Dobre czekoladki w każdej epoce są dobre — doszła do wniosku Anda. A poza tym postanowiła już niczym się nie przejmować. Jakoś to będzie.

Właśnie podniesiono do góry malowaną kurtynę i na scenie ukazał się Jontek z czarnymi, zabójczo podkreślonymi wąsami.

187

— No nie, przecież górale nie noszą takich wąsów — zaprotestowała głośno Anda, zwracając się do ojca. — Wiem to doskonale!

Ponieważ nikt jednak nie docenił należyście tej znajomości folkloru i znów rozległy się pełne zgorszenia sykania, musiała już dalej w milczeniu zżymać się wewnętrznie na widok tęgiej, starszej osoby śpiewającej partię Halki i na widok równie szanownych osób, reprezentujących chór wieśniaków.

Naraz usłyszała jakiś szelest w sąsiedniej, dotychczas, jak zauważyła, pustej łóżu. Ktoś przesunął krzesła, ktoś szeptał. Poczula woń dziwną, jakby znaną, tylko nie mogła sobie przypomnieć, gdzie już spotkała ten subtelny, a przecież tak oryginalny i wyraźny zapach perfum. Odwróciła więc głowę i zobaczyła tuż obok siebie śliczny, delikatny profil ciotki Eleonory. Nawet w półmroku panującym na sali można było dostrzec, że wyglądała olśniewająco pięknie w swej bardzo wydekoltowanej sukni koloru heliotropu. Wspaniałe boa z popielatych piór zsunęło się z jej nagich ramion, ukazując ich doskonałość.

— Anusiu — rozległ się znajomy szept — Anusiu! Nie chcę, abyś tak bardzo źle o mnie myślała! Nie chcę być aż tak bardzo niewdzięczna. W każdym razie twojej młodzieńczej lekkomyślności zawdzięczam powrót najpiękniejszego czasu. Ponieważ nie wiesz, czym jest czas, więc i tak nic nie tracisz. Tylko ludzie, których czas minął, cenią jego wartość. Ale żał mi się ciebie zrobiło, gdy zobaczyłam, że możesz stać się tak brzydką i śmieszną. Nie, nie chcę być niewdzięczna. Zegar jest zepsuty, ale poleciłam go naprawić. Nie jest pewne, czy uda się to w zupełności, ale kto wie. W tej chwili mój stary zegarmistrz trzyma się nad badaniem ruchu obracających się w zegarze małych kółek... Być może...

— Bardzo proszę, ciotciu Eleonoro, aby zegar dało się naprawić — przerwała niegrzecznie i właściwie bardzo impertynencko Anda — mam tego wszystkiego już dosyć!

To mówiąc uderzyła silnie dłonią o obciążoną aksamitem barierę łóżu. Jednocześnie jednak rozległo się silne klaśnięcie, jakby ręka przygłębła do czegoś pulchnego a przecież sprężystego. I Anda z najwyższym zdumieniem przekonała się, że dłoń jej tak klasnęła dzięki silnemu a bezpośredniemu zetknięciu z różowym i tłustym pośladkiem gołego dzieciaka, którego trzymała właśnie na kolanach. Dzieciak wierzgał i darł się wniebogłosy, w czym wtórowało mu troje innych dzieciaków nieco więk-

188

szych. Wszystkie były zabeczane i miały mokre nosy, które należało co prędzej wytrzeć. Wszystkie też powtarzały żałośnie:

— Oj, mamó! Mamó!

— A to co znowu? Co to ma znaczyć? Skąd wyście się tu wzięły? Co wy tu robicie? — Anda postawiła wrzeszczącego golasa na podłodze. — Ładna historia! — zdenenerwowała się. — I gdzie ja znowu jestem?

Mieszkanie było nieznanne, obszerne, pełne pluszowych mebli i okropnych lamp z abażurami. Nad dziwnie powyginaną sofką wisiała własna fotografia Andy w śmiesznym staroświeckim ślubnym stroju obok jakiegoś brodatego jegomościa we fraku.

— Oj, mamó, mamó! — wrzeszczały tymczasem jak na komendę stojące przy niej dzieci.

— Cicho! Bo oszaleję! — jęknęła. I już naprawdę zupełnie nie wiedziała, co ma począć, kiedy naraz wpadła na najszcześliwszy pomysł pod słońcem.

— Genowefciu! — zawołała możliwie jak najgłośniej — Geno-wefciu!

Przez chwilę oczekiwała z drżeniem serca, ale po chwili odetchnęła i od razu wszystko wydało się jakieś łatwiejsze. Gdzieś w głębi mieszkania rozległo się znajome, pocziwe człapanie i Genowefcia ukazała się w otwartych drzwiach.

— A czego to pani mnie tak woła? — zapytała jakby nigdy nic. — Zaraz dzieci zabiorę, umyję i nakarmię.

Anda chciała jeszcze zapytać, czyje to są właściwie dzieci, a jeśli to są jej dzieci, to jak się nazywają, kiedy w głębi mieszkania rozległ się dźwięk dzwonka.

— Ktoś dzwoni, Genowefciu — szepnęła bezradnie. Genowefcia poczłapała wobec tego w tamtą stronę i wróciła po chwili rozpromieniona:

— Jaśnie pani ciotcia Eleonora prosi panią do telefonu!

— Do telefonu?! — ucieszyła się Anda.

— A tak! — Genowefcia promieniała w tej chwili dumą — do telefonu! Wszyscy w całym mieście zazdroszczą nam, że mamy telefon.

— No, nie ma znowu tak czego zazdrościć. Ostatecznie to nie jest takie nadzwyczajne.

189

— Jak to nie jest nadzwyczajne? W całej Warszawie może jest z pięćdziesiąt telefonów!...

— Och, co ty opowiadasz, Genowefciu! Ale czekaj, najpierw muszę porozmawiać z ciotką Eleonorą. To bardzo ważne!

Szybko, jak tylko pozwalała jej na to obfita tusza, pobiegła za Geno-wefcią. W długim przedpokoju wisiał na ścianie dziwny przyrząd — była to metalowa skrzyneczka z korbką. Obok wisiała dziwaczna, podobna raczej do trąbki słuchawka. W słuchawce zabrzmiał zniekształcony, brzęczący jak stara, zdarta płyta głos ciotki Eleonory:

— Anusiu! — chrypiał głos — chciałam ci wyjaśnić, że rok niestety na razie pozostał ten sam — tysiąc dziewięćsetny!

— Rany boskie! Ciągłe dziewięćsetny! — jęknęła z rozpaczą Anda.

— Tak, ale zawsze chyba lepiej, że jesteś jednak mężatką. Tylko tyle na razie udało się zrobić. Zegarmistrz poruszył kółko, które zazębiło się w tym samym stopniu o czas jak i o twój los. Otóż wskutek tego nastąpiła zmiana i jak się przekonałaś, może trochę niespodziewanie — jesteś mężatką i masz czworo dzieci. Bardzo miłe dzieci, zapewniam cię. I masz również miłego męża. To Karol, znasz go przecież. Był twoim drużbą na weselu Ewity! Żal mi się ciebie zrobiło, kiedy byłaś taka brzydula i zahukana przez wszystkich! Tak, moja droga! W naszej epoce, to znaczy chciałam powiedzieć w mojej, panna musi wyjść za męża! Ale na razie jesteś urządzona.

— Nie chcę być urządzona i nie chcę być mężatką z dziećmi! — krzyknęła Anda do słuchawki w kształcie trąbki. — Chcę być znów na Rakowieckiej i mieć czternaście lat i pięć miesięcy! Co? Tak, i pięć miesięcy! Dlaczego teraz niemożliwe? Halo! Halo!

W staroświeckiej słuchawce panowała jednak cisza.

— Halo! Halo! — jaki jest numer do ciotki? Genowefciu! — denerwowała się Anda.

— Zdaje mi się, że dwadzieścia pięć!

— Taki numer? Ale jak to się nakręca. Przecież tu nie ma tarczy.

— Bo się prosi telefonistkę, to połączy.

— Nic nie rozumiem, ale spróbuję. Halo! Proszę numer dwadzieścia pięć!

— Zaraz połączę — powiedziała bardzo grzecznie telefonistka ku wielkiemu zadowoleniu Andy.

190

— Ta epoka ma jednak swoje dobre strony — stwierdziła — przynajmniej ludzie są uprzejmi i nikt mnie nic zwymyśla. Ale /a chwilę straciła dobry humor.—Numer nie odpowiada — Uwiadomiła! — w na/ bardzo grzeczna telefonistka.

— Niemożliwe! Przecież przed chwilą rozmawiałam I kimi ' Ul gam, niech pani jeszcze próbuje dzwonić.

Wreszcie udało się uzyskać połączenie. Jednak ku wielkiemu mieniu Andy w telefonie odezwał się męski głos.

— Tu mówi kamerdyner Jan. Jaśnie pani raczyła wyjechać,

— Jak to wyjechać? Dokąd?

— Na miasto, powozem!

Anda rzuciła słuchawkę pełna oburzenia.

— No, masz ci los, wyjechała! Na miasto! Jak gdyby nigdy nic. (!ie kawa jestem, dokąd pojechała ta moja ukochana ciotunia.

Kładąc słuchawkę niechcący spojrzała w lustro. Ujrzała w nim jakąś paniusię, spowitą w fałdy różowego, obszytego gipiurą szlafroka. Osoba była uczesana pretensjonalnie, z włosami podwiniętymi na czymś w rodzaju wałka do góry i upiętymi w śmieszny kok na czubku głowy. Ponadto osoba posiadała dość pełny podbródek, a zadarty nos tkwił między tłusciutkimi policzkami. Patrząc na to stworzenie Anda nie miała jednak tym razem żadnych złudzeń — to była ona we własnej osobie. Przecież już знаła te złośliwe kawały ciotki Eleonory. Co więc teraz począć? Jak wyzwolić się z tej okropnej historii? A te dzieci?

Krzyczało to wszystko gdzieś w głębi mieszkania, a po chwili cała czwórka wpadła do przedpokoju wołając:

— Mama! Mama!

— Ta mama to niby ja! — jęknęła z rozpaczą Anda. — Boże! Co ja zrobić?! I pomyśleć, że mam zajmować się nimi i wychowywać? Za nic na świecie! Ja przecież tego nie potrafię! Co począć?

— Mamo!

Potomstwo stało przy niej rozczochrane, nie ubrane, w mokrych majtkach i wymagało, żeby się nim zajęła.

— Co robić, Genowefciu? — spytała bezradnie.

— Trzeba im będzie chyba zmierzyć gorączkę, proszę pani — powiedziała Genowefcia — zdaje mi się, że są jakby niezdrowe.

— Jeszcze i to! Nie dość, że w ogóle mam masę dzieci i nie wiem, co

191

—!

mii

mm

! z nimi począć, to jeszcze w dodatku są chore! Oj, poczekaj, ty ukochana cioteczna babciu! Niech ja cię tylko dopadnę! Dysząc chęcią zemsty, podreptała w ślad za Genowefcią do dużego pokoju, zastawionego łóżeczkami. Wszystko wskazywało na to, że jest to pokój dziecinny. Ponieważ nie bardzo wiedziała, jak się mierzy gorączkę małym dzieciom, pozostawiła to Genowefci, która po chwili wykrzyknęła pogodnie:

— Wszystkie mają gorączkę. Dwoje ma pewno odrę, a dwoje koklusz!

— Trzeba zaraz wezwać lekarza! Mam nadzieję, że penicylina pomoże na wszystko?

— A po co wołać lekarza — sprzeciwiła się Genowefcią — takie rzeczy leczy się domowym sposobem. Ziółek im naparzę.

— Ależ ja jeszcze nie miałam koklusz i mogę zachorować — zdenerwowała się Anda.

— E, dorosłe osoby na koklusz nie chorują, na odrę też! Prawda, przecież była dorosłą osobą. I to jak dorosłą!

— A co zrobimy na obiad, proszę pani? Trzeba kucharci wydać dyspozycje.

— Co na obiad? Co na obiad? — Andę ogarnęła panika. Rany boskie! Co ma być na obiad? Najlepiej będzie zrobić te potrawy, które zawsze uważała za najlepsze. — Może zupeł pomidorową z ryżem i pierożki z mięsem? Co? Genowefciu?

— Niech się tam pani już z kucharcią lepiej naradzi. Pomidorowa może być, a jakże, pierożki też — na przystawkę, ale co na pieczyste? Może rostbef? Może polędwica, bo nasz pan lubi! Albo może pieczeń — żeby tylko kucharcią dostała odpowiednie mięso, na przykład pierwszą krzyżową albo kawałek skrzydła.

— Czyjego skrzydła? — ze zgrozą spytała Anda. Bo jeśli była mowa o kawałku skrzydła, to musiałyby to być skrzydło jakiegoś ogromnego ptaszyska. Widać w tysiąc dziewięćsetnym roku mogły się takie rzeczy zdarzać.

Tymczasem Genowefcią po swojemu gderała:

— Jak to czyjego? No, wołowego! Tylko aby było ładne!

— Wołowego skrzydła? Wołowego?... — To już było zupełnie niezrozumiałe. Wiedziała na podstawie podręczników, że był kiedyś tam

192

okres taki, kiedy na świecie istniały różne dziwaczne stworzenia. Jakies tam dinozaury czy coś takiego. W każdym razie były dziwaczne. Ale żeby w roku tysiąc dziewięćsetnym zdarzały się takie rzeczy jak woły ze skrzydłami?

To wydało się jej mocno podejrzanym. Nic innego, tylko Genowefcią nabija się z niej. A znów do tego nie można dopuścić, jeśli się jest kobietą zamężną i w dodatku matką czworga chorych na odrę i na koklusz dzieci. Mama w żadnej epoce nie dopuściłaby do czegoś podobnego. I już miała zamiar jakoś zwrócić Genowefci uwagę na niestosowność tych dowcipów, kiedy Genowefcią znów zaczęła po swojemu, pocziwie gderać:

— Oj, już widzę, że pani nic się na tym nie rozumie, jak się które mięso nazywa. Tyle razy przecież tłumaczyłam, że skrzydło to się nazywa najlepszy kawałek wołowiny na pieczeń. Oj, nigdy z pani nie będzie taka gospodyni jak nasza pani starsza, co to się na wszystkim zna. A na deser co zrobimy?

— Mleczko waniliowe — zadysponowała rozpromieniona nagle Anda. W tym jednym wypadku przynajmniej czuła się zupełnie pewna.

— Poproszę pieniędzy, to zaniosę kucharci.

— Pieniądzy?

Tak, to brzmiało znów niedobrze. Skąd się bierze pieniądze, kiedy się jest mężatką, matką czworga dzieci i grubą paniusią w jednej osobie.

— Pieniądzy? — powtórzyła.

— Za darmo nie dadzą. Chociaż, jeśli znów by pani nie miała pieniędzy, to weźmiemy na kredyt. Zapiszą na książeczkę, a potem się zapłaci.

To było cudowne wyjście!

— Bardzo proszę, moja Genowefciu... rzeczywiście! Nie przyszło mi na myśl! Niech weźmie na kredyt.

— To już lecę do kuchni — oświadczyła Genowefcią — a potem pójdę do magła. — I szybko zniknęła za drzwiami.

A po co chodzi się do magła? — zastanawiała się Anda. Nie miała jednak zbyt wiele czasu na pograżanie się w rozważaniach, gdyż leżące w łóžeczkach dzieci wzywały jej pomocy.

— Mamo, mnie się chce pić — woła mała gruba dziewczynka o rudych warkoczykach. Trochę większy od niej chłopak z zadartym nosem i piegami wrzeszczał, że się nudzi, druga dziewczynka domagała się, aby

13 — Godzina pąsowej...

193

natychmiast coś jej poczytać, a najmłodszy zwierzał się głośno, że bardzo, i zaraz chce siusiu! Anda chwyciła się za głowę.

W tejże samej chwili rozległ się donośny dzwonek i znów ukazała się Genowefcia z ogromnym, okrągłym pudłem w ręku.

— Przynieśli, proszę pani, od Eulalii.

— Od jakiej znów Eulalii? Dzieci płakały coraz głośniej.

— Od tej modystki! Podręczna przyszła i powiada, że pani wczoraj zamówiła dwa kapelusze!

— Ja zamówiłam dwa kapelusze! No, trudno. Nic sobie co prawda takiego nie przypominam, ale niech zostaną.

Przecież widzisz, Genowef-ciu, co się dzieje. Nie mam czasu teraz na żadne kapelusze! Dlaczego te dzieci tak krzyczą i płaczą?! Co z nimi trzeba zrobić?

— Przy kapeluszach jest rachunek. Pytają, czy pani teraz zapłaci.

— Zapłacić! A skądże! Przecież nie mam pieniędzy.

— To powiem, że później się zapłaci.

— Powiedz tak, powiedz, błagam cię, Genowefciu, i zaraz wracaj i zrób coś z tymi dziećmi. Bo widzisz, co się tu dzieje.

— Widzę, widzę.

Genowefcia wróciła po chwili i zaraz zajęła się dziećmi. Mycie, wycieranie nosów, sadzanie na nocniczki szło szybko i sprawnie. Cały jednak czas gderała:

— O, czas, żeby już pani umiała się dziećmi opiekować. Któż ma to lepiej zrobić niż matka rodzona! Albo panienkę, czyli bonę trzeba by do nich zgodzić. Bo ja już nie daję rady, proszę pani. I sprzątanie, i kucharci pomagam, i w ogóle wszystko robię, a także samo przepierkę dla pani i dla dzieci.

— Nic się na tym wszystkim nie znam — żałośnie przyznała Anda. — I wydaje mi się to bardzo trudne. A jak to się „godzi” taką bonę czy jak tam to powiedziałaś?

— To już może lepiej starszą panią niech pani o to poprosi, żeby się tym zajęła. A tymczasem niech pani zobaczy te kapelusze, co je przysłali.

— Kapelusze? Masz rację, muszę zobaczyć!

Otworzyła okrągłe pudło i aż krzyknęła ze zdumienia. Kapelusze były tak duże, że rozmiarami przypominały miednice. Pełno na nich było strusich piór i wstążek.

194

— I ja to mam nosić?

Podłużne lustro toalety w rogu pokoju ukazało wizerunek tęgiej osoby w różowym szlafroku i w ogromnym kapeluszu.

— Jak ja wyglądam?! Wcale nie chcę być takim wstrętnym babskiem! I po co mi ten kapelusz?!

Zirytowana do najwyższego stopnia Anda zerwała z głowy arcydzieło domu mody pod firmą „Eulalia” i rzuciła z rozmachem. W tejże chwili drzwi pokoju otworzyły się i stanął w nich okazały pan z dużą rudą brodą. Zdobny w błękitne strusie pióra wielki kapelusz bezszelestnie spoczął na jego łysiejącej czaszce ku zachwytowi dzieci i przerażeniu Andy.

— Bardzo przepraszam — szepnęła — ale ja naprawdę niechcący. Rudobrody jegomość zaczerwienił się z irytacji i zerwał co prędzej

strojne nakrycie głowy, rycząc przy tym basem:

— Tego już za dużo, moja pani! Co to za rzucanie kapeluszami? Nie podoba się?

Anda tak przestraszyła się basowego ryku grubego jegomościa, że co prędzej oświadczyła zgodnie:

— Podoba mi się, ogromnie mi się podoba.

— No, właśnie podoba się! — Jegomość z tej odpowiedzi był również niezadowolony. — Podoba się — powtórzył. — I dlatego kupuje się po dwa kapelusze od razu. A kto ma za to zapłacić? Naturalnie mąż.

— Tak, właśnie mąż — uprzejmie i skwapliwie zgodziła się Anda. Była najgłębiej przekonana, że ma do czynienia z właścicielem firmy, który przyszedł się upomnieć o pieniądze.

— Mąż na pewno zapłaci — powtórzyła, chcąc ugłaskać grubasa. Ale ku jej ogromnemu zdziwieniu oświadczenie to podsycało jeszcze irytację nieznanego jegomościa.

— Dosyć tego, moja droga — powiedział opryskliwie. — Mało, że sztasz pieniędzmi w sposób przekraczający wszelkie granice, ale jeszcze w dodatku pozwalasz sobie na kpiny ze mnie. Nie rozumiem, co się z tobą stało! I pomyśleć, że to matka czworga dzieci tak się zachowuje.

— Ja też nie rozumiem... — szepnęła. Przyjrawszy się rudobrodemu grubasowi dostrzegła w nim coraz więcej podobieństwa do kuzyna Karola. Ależ tak! Niewątpliwie to był Karol, a ona wyszła za niego za mąż. I to wszystko działo się dzięki szatańskim machinacjom ciotki Eleonory!

195

A w dodatku najgorsze było to, że Karol wyglądał tak poważnie, tak groźnie i tak na nią krzychał, jakby co najmniej był nauczycielem matematyki. No, to ładna historia i ładna przyjemność mieć takiego męża. To już lepiej, naprawdę lepiej było być starą panną. No i co w ogóle zrobić z tym grubasem, brodatym Karolem? Trzeba jakoś łagodnie a uprzejmie. Po co ma znów wrzeszczeć.

— To ja już więcej nie będę — powiedziała najgrzeczniej, jak tylko potrafiła — a w ogóle chciałabym, żeby już nareszcie wszystko było tak jak przedtem...

— Dobrze, że wyrażasz skruchę, moja droga. Najwyższy czas.

— Kiedy tu nie chodzi o skruchę, tylko o to, żeby znów wszystko było tak jak przedtem, na Rakowieckiej...

— Co ty opowiadasz, na jakiej Rakowieckiej?...

— Ach, pan nic nie rozumie!...

Brodaty grubas zarechotał teraz szyderczo:

— Nie rozumiem! Oczywiście! Ostatni krzyk mody w roku tysiąc dziewięćsetnym — nie zrozumiana przez męża kobieta!

To powiedziawszy wybiegł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

— A to diabelec! — mruknęła Anda. — Cóż to za awanturnik! I czego on właściwie ode mnie chce?

— E, pogniewa się i przestanie. Bywają gorsi. I tak niejedna zazdrości pani takiego męża — sapnęła Genowefcia. Rozkoszny mąż! Gruby, wrzeszczący facet! A więc tak wygląda Karol w roli męża. Dziękuję! Wcale nie chcę takiego męża! Chciałabym, żeby był grzeczny i sympatyczny. I żeby był wysportowany tak jak ja.

W tym momencie znów spojrzała przypadkiem w duże lustro na sąsiedniej ścianie. I znów ta pulchna paniusia powtarzająca wiernie jej ruchy.

— Ja nie chcę być tym wstrętnym babskiem!

Była zbuntowana do ostatecznych granic. Pierwszy raz w życiu miała ochotę płakać. Łkała więc głośno, a duże, słone krople łez spływały po jej rumianych i pełnych policzkach. Dzieci wtórowały jej, krzycząc i szlochając żałośnie.

Wygramoliły się z łóżeczek i stały przy niej, pulchne, rudowłose, ryczące z całych sił:

— Mama! Mama!

— Przecież ja nie mam pojęcia, jak się wychowuje dzieci — łkała

196

bezzradnie — w ogóle to wszystko jest okropnie trudne. Już chyba wołałabym dwóję z algebry!

Naraz przypomniała sobie:

— Genowefciu! Ja jestem teraz mężatką, prawda? Zresztą sama to

mówiłaś i nawet nie próbuj zaprzeczać. A przecież ciotka Eleonora obiecała mi na weselu Ewity, że kiedy będę

wychodziła za mąż, to podaruje mi ten swój porcelanowy zegar. Prawda? I oto ładnie dotrzymała obietnicy! Zegara

nie ma, a ja jestem, dzięki mej pięknej ciotce, wstrętnym, grubym babiszonem z czworgiem dzieci! Oszukała mnie, po prostu

oszukała!

— O jakim znów zegarze pani mówi? — wrzuciła ramionami Genowefcia. — Przecież porcelanowy zegar stoi na komódce!...

— Na komódce?

— No pewnie! Proszę zobaczyć!

I Genowefcia otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju.

Rozdział siedemnasty

Na pękatej komódce, tej samej z pokoju na Rakowieckiej, tykał najspokojniej w świecie porcelanowy zegar, malowany w sentymentalne kwiatki. A obok stała we wdzięcznej pozie ciotka Eleonora. Ubrana była tak samo jak na tej swojej fotografii w zielonej pluszowej ramce i uśmiechała się jak zawsze — trochę zalotnie i trochę ironicznie. W smukłej dłoni trzymała świeżą pąsową różę.

— Obraziłaś mnie — szepnęła z wyrzutem — posądziłaś o oszustwo!

— Nie wiedziałam, że zegar jest tu — wyjąkała zaskoczona Anda.

— Jak widzisz, moje dziecko.

— To... to znaczy, że mogę, że mogę... — wyjąkała Anda.

— Oczywiście! To znaczy, że możesz robić z nim, co zechcesz. Jest teraz twoją własnością. Nie muszę chyba dodawać, że pragnęłabym, abyś odnosiła się z właściwym sentymentem do tej starej pamiątki rodzinnej. Sama musisz przyznać, że jak dotychczas obchodziłaś się z nim raczej gwałtownie.

Anda skinęła głową.

— Tak, ale przyznasz też, ciociu, że miałam dość powodów do tego. Ta cała dziwaczna historia, w którą zaplątałam się dzięki tobie...

— Dzięki mnie? — roześmiała się ciotka Eleonora. — Zdaje mi się, jeśli mnie pamięć nie myli, że nie zmuszałam cię, abyś cofnęła zegar. Był to twój pomysł, a tylko przypadek zrządził, że zrobiłaś to w owej szczególnej godzinie pąsowej róży...

198

— Ale wtedy ty, ciociu, mogłaś opuścić pluszową zieloną ramkę i wrócić do swojej epoki, w której spędzałaś bardzo przyjemnie czas, podczas kiedy ja...

— Ach, czyż naprawdę narzekasz na miniony czas? Czy nie było w nim jednak chwil pełnych uroku? A poza tym, pomyśl — jaka różnorodność wrażeń!

— Nie, nie — potrząsnęła głową Anda — ja już wolę moją epokę.

Zbliżyła się do zegara. Tykał cichutko, a jego złote misterne wskazówki zbliżały się do godziny 5 minut 15. Za chwilę powinien wydzwonić swój śmieszny kurancik.

— A gdzie jest kluczyk? — spytała Anda, wyciągając rękę do ciotki Eleonory.

— Oto kluczyk — odpowiedziała ciotka. I podała jej różę, po czym, unosząc lekko falbaniaste suknie, wskoczyła zgrabnie w obramowanie zielonej pluszowej ramy, która nie wiadomo skąd znalazła się nagle na ścianie. — Oto klucz — powtórzyła.

— Jak to?! — krzyknęła Anda. — Przecież to jest róża!

Ale w odpowiedzi usłyszała cichy i jakby niknący w oddali śmieszek ciotki Eleonory. Zegar zaczął w tej chwili wydzwaniać kwadrans.

— Przecież to jest róża — powtórzyła rozpaczliwie Anda. — Gdzie jest kluczyk? Ja muszę nakręcić zegar. Muszę!

— A dlaczego musisz? — rozległ się obok głos mamy. — Przecież prosiłam, żebyś nie nakręcała sama tego starego zegara. Cóż to za nieposłuszna dziewczyna! W dodatku widzę, że skaleczyłaś się w palec, i dlaczego przymierzasz nowe spodnie zamiast odrabiać lekcje? Wróciłam się, bo zapomniałam rękawiczek, i cóż zastaję? Co ty tu wyprawiałaś, Andula?

— Mama? — zdumiała się Anda. — Mama?

Rozejrzała się. Była znów w pokoju na Rakowieckiej. Obok trzymając ją za rękę, stała mama. Śliczna, młodo wyglądająca, ubrana w nowy, modny płaszcz i nowy, wiosenny kapelusz. A na ścianie, w ramce z zielonego pluszu, na spłowiełej fotografii, z wdziękiem wspierała się o kolumnę ciotka Eleonora. W dłoni trzymała pąsową różę.

— A jednak ta róża jest pąsowa — zdumiała się Anda.

— Musiałś widocznie dotknąć fotografii skaleczonym palcem — zauważyła mama — czekaj, trzeba jednak zalać skaleczenie wodą! —

199

nioną. Stój spokojnie i nie kręć się. Zaraz ci zabandażuję rękę. I proszę zdjąć te nowe spodnie. I co widzę, na łóżku rzucona spódniczka poplamiona atramentem! Ładna historia! Ciekawa jestem, kto wyczyści te plamy.

— Ja — zawołała Anda — przecież potrafię to doskonale, droga mateczko! Sama mnie tego uczyłaś w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku, akurat sto lat temu! I twierdziłaś, że tego rodzaju wiadomości są niezbyt dobre dla młodego dziewczęcia. Nosiłyśmy wtedy bieliznę z perkalu, a ty byłaś piekielnie dostojna.

— E, co to za żarty, Andula. A może ty masz gorączkę? — zdenerwowała się mama. — Pokaż rękę. Nie, puls dobry, no to przebierz się i zabieraj się do lekcji. A co do tej fotografii, to trzeba będzie spróbować zmyć ostrożnie tę plamkę zimną wodą i wprawić nowe szkło.

— Nie, nie, mamu, proszę nie zmywać! Niech tak zostanie! Niech ciotka Eleonora, to znaczy niech ta cioteczna prababka trzyma w dłoni pąsową różę, dobrze?

— Wiesz, że może i masz rację — że to nawet ładnie i zabawnie wygląda z tym zabarwionym kwiatkiem. Czemu nie? Niech tak zostanie — zgodziła się mama. I otworzyła jedną z szuflad w komódce, aby wydobyć kawałek bandaża do przewiązania skaleczonej ręki Andy.

A podczas kiedy mama stała odwrócona w stronę komody, ciotka Eleonora, sadowiac się wygodniej przy swojej kolumnie, powąchała raz jeszcze pąsową różę i mrugnęła porozumiewawczo. Ale to widziała tylko Anda i nikt więcej.